

**MAGDALENA
WOLIŃSKA-RIEDI
(TVP):**

**WIDZIAŁAM
RZYM, KTÓRY
ZAMIERA**

**PROFESOR ANDRZEJ NOWAK:
JESTEM WSTRZĄŚNIĘTY REAKCJĄ NAJWIĘKSZYCH MEDIÓW
SZWEDZKI SPOSÓB NA PANDEMIE. JAK TO DZIAŁA?**

**O CO CHODZIŁO
GOWINOWI
I DLACZEGO PRZEGRZAŁ**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 16 (385) 2020
14-19 kwietnia 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI

UJAWNIAMY GROŹNY PLAN OPOZYCJI

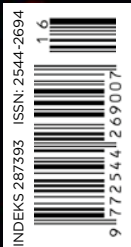
TAK CHCĄ SPALIĆ WYBORY

POCZTA



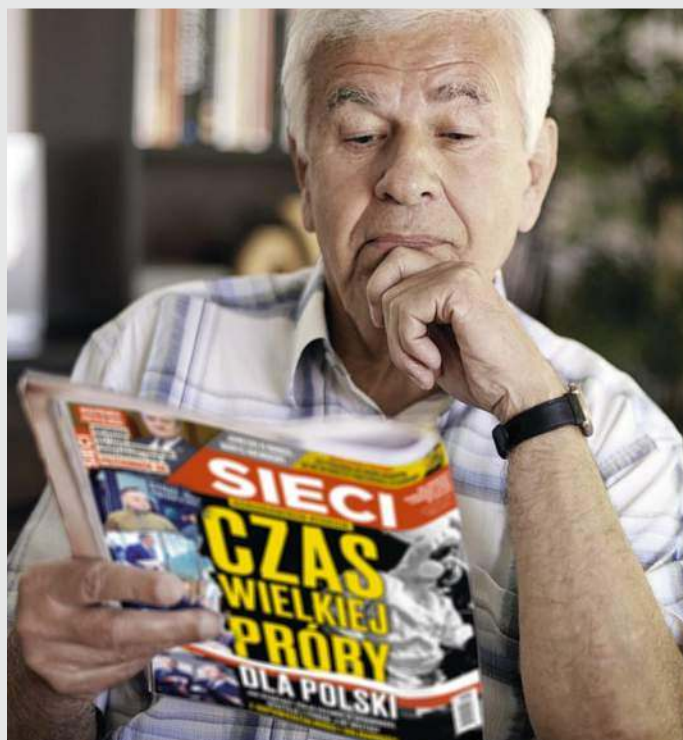
**PRZESYŁKI LISTOWE
WYJMUJE SIĘ**
PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK PO GOŁOZIE 14⁰⁰

**CELEM JEST WYWOŁANIE CHAOSU.
TO MA UNIEMOŻLIWIĆ
SKUTECZNĄ WALKĘ Z KRYZYSEM
I WYNIĘŚ ICH DO WŁADZY.
NIE COFNĄ SIĘ PRZED NICZYM**



ZAMÓW **SIECI** DLA SWOICH BLISKICH

**ZOSTAŃCIE W DOMACH
I CZYTAJCIE SWÓJ ULUBIONY TYGODNIK**



PRENUMERATA

- **do 30% taniej!** Tylko 75 zł za 3 miesiące
- tygodnik trafia **wprost** do skrzynki
- jest **bezpiecznie** zafoliowany

ZAMÓW NA:

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



E-PRENUMERATA

- **do 70% taniej!** Tylko 9,99 zł za miesiąc lub 89,99 zł za 12 miesięcy
- do czytania na **komputerze, smartfonie, tablecie**
- w prezencie dostęp do magazynu **wSieci Historii**

ZAMÓW NA:

www.SiecPrzyjaciol.pl

Solidarność w dobie zarazy

7 kwietnia obchodziliśmy Światowy Dzień Zdrowia. Normalnie nikt z nas nie zwróciłby uwagi na takie święto, tym bardziej że zdecydowana większość Polaków nie miała dotąd najmniejszego pojęcia o jego istnieniu. Jednak ten rok za sprawą szalejącej pandemii koronawirusa jest inny od poprzednich. Lekarze, pielęgniarki, wszyscy pracownicy służby zdrowia stoją dziś na pierwszej linii frontu walki z wirusem. Dostrzegamy ich poświęcenie i odwagę, bo to od nich zależy teraz w ogromnym stopniu nasze zdrowie, a może nawet życie. Wyrazem tej społecznej wdzięczności była akcja #BrawaDlaWas, a w pełni zasłużone oklaski rozległy się tu w poprzek politycznych podziałów.

Zastanawiam się jednak, czy podobne oklaski i ponadpartyjna solidarność byłyby możliwe w przypadku innych profesji, które również – podobnie jak służba zdrowia – utrzymują nas dziś w jakiejś takiej normalności. Z tą różnicą, że w hierarchii społecznej stoją znacznie niżej. Myslę tu o dziesiątkach tysięcy zwykłych ludzi: o sprzedawczyńach w sklepach, kierowcach i motorniczych, policjantach, dostawcach towaru, listonoszach i kurierach – można długo wymieniać kolejne zawody. Ich życie tak bardzo się nie zmieniło, nie pracują on-line, nie uczestniczą w telekonferencjach i nie martwią się odwołanymi wakacjami na Teneryfie. Nie mają takiego komfortu jak inni, aby pozostać w domach, bo każdego dnia muszą wyruszać do pracy. Oczywiście boją się wirusa, ale warunki materialne zmuszają ich do codziennego podejmowania ryzyka. Całkowicie obce im są problemy sytych, którzy narzekają, że rząd zabrania im jeżdżenia na rowerze czy wejścia do parku. Nie chodzi tu o to, aby pastwić się nad miłośnikami spacerów na świeżym powietrzu, ale o to, by dostrzec proporcje: to, co dla jednych jest przyjemnością (wyjść sobie z domu, bo mam dość siedzenia), dla innych jest koniecznością (muszę wyjść z domu, bo inaczej nie zarobię na życie).

Warto docenić ludzi, których przez ostatnie lata często upokarzano, uznawano za margines społeczny przepijający 500+, bo nagle się okazało, że stali się niezbędni do tego, abyśmy mogli w miarę normalnie funkcjonować. Można złośliwie się zapytać, a jaki pożytek mamy dziś z nieszczęsnych celebrytów, którym jeszcze niedawno tłumy zwykłych ludzi przeszkadzały w uprawianiu jogi nad Bałtykiem? Gdzie oni są, co zrobili, w czym pomogli?

Być może niektórzy z nich zdolni są do refleksji, ale nie robiłbym tu sobie wielkich nadziei. Polskie społeczeństwo jest zbyt silnie podzielone klasowo, aby koronawirus zdołał to zmienić. Dla większości tych „lepiej wykształconych z wielkich miast” (piszę w cudzysłowie, bo można mieć poważne wątpliwości zarówno co do ogólnej erudycji, jak i rzeczywistego pochodzenia tej grupy) świat nadal powinien się kręcić wokół nich. Ich obawy związane są głównie z tym, że ta uprzywilejowana pozycja może się nagle zachwiać.

Jak inaczej interpretować bowiem dość powszechne w tych środowiskach wezwania do natychmiastowego zdjęcia lockdownu? To jasne, że gospodarka długo nie przetrzyma w hibernacji, ale mam wrażenie, że „lepiej wykształconym” nie chodzi o gospodarkę rozumianą jako dobro wspólne, lecz o jak najbardziej egoistyczną troskę o utrzymanie dotychczasowego stylu życia. Lud ma zasuwać do roboty i nie wykręcać się zarazą. Bo jeśli ktoś siedzi dziś przy kasie w supermarkecie albo rozwodzi paczki, to jest looserem, który sam jest sobie winien.

Niestety, koronawirus jest zbyt słaby, aby zmusić nas do solidarności. 

Konrad Kołodziejski




26

Z Jarosławem Gowinem rozmawia Marcin Fijołek


38

Artyści w antrakcie Maja Narbutt


42

Media i demokracja w czasach zarazy Marek Budzisz

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 MASECZKI OPADŁY**
Krzysztof Feusette
- 9 ŁZY WŚCIEKŁOŚCI**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 ŻĄDAJĄ KLĘSKI DLA POLSKI**
Jan Pietrzak
- 13 CZAS KANALII**
Bronisław Wildstein
- 14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY – KRZYSZTOF PASTOR**
Michał Korsun
- 15 SKORO I TAK LUDZIE UMIERAJĄ...**
Dominik Zdort
- 16 MOSAD W POLSKIM LESIE**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 WAŻNE SŁOWO: SOLIDARNOŚĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20 CEL: SPALIĆ TE WYBORY**
Michał Karnowski
- 23 KORESPONDENCYJNIE, CZYLI BEZPIECZNIE**
Marek Pyza
- 26 Z JAROSŁAWEM GOWINEM**
rozmawia Marcin Fijołek
- 30 LAWINA MANIPULACJI**
Marzena Nykiel

PANDEMIA KORONAWIRUSA

- 32 Z MAGDALENĄ WOLIŃSKĄ-RIEDI**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 36 EWANGELIZACJA NA INTENSYWNEJ TERAPII**
Grzegorz Górny
- 38 ARTYŚCI W ANTRAKCIE**
Maja Narbutt
- 42 MEDIA I DEMOKRACJA W CZASACH ZARAZY**
Marek Budzisz
- 46 ŚWIECZKA I „CIEMNA LICZBA”**
Andrzej Nowak
- 48 TWIERDZA PAŁAC**
Marcin Wikło

- 50 ŻYCIE PO ŻYCIU**
Aleksandra Jakubowska
- 53 SZWEDZKI SPOSÓB NA WIRUSA**
Aleksandra Rybińska
- 56 Z NIENKE FEENSTRĄ**
rozmawia Anna Racinińska
- 58 CZY ŚWIAT OSZALAŁ?**
Maciej Pawlicki

OPINIE

- 60 KACZYŃSKI I GOWIN: PIERWSZE STARCIE**
Jan Rokita
- 62 W CO GRA LIDER POROZUMIENIA?**
Stanisław Janecki
- 64 CO BY TU JESZCZE SPIEPRZYĆ, PANOWIE**
Jacek Kowalski

SIECI KULTURY

- 67 MAM TĘ MOC**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 70 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

- 71 TECHNOLOGIE – GADŻETY**
Paweł Gadaczek

PODRÓŻE

- 74 MOJE SMAKI: PRZY STOLE Z WŁADCĄ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 NIENAWIŚĆ W CZYSTEJ FORMIE**
Hanna Karp
- 78 PLAGA**
Alina Czerniakowska
- 79 RESET**
Lech Makowiecki
- 80 OPUSTOSZAŁE, A MOŻE... SPUSTOSZONE KOŚCIOŁY**
Jan Pospieszalski
- 81 NA CZAS KWARANTANNY LEKTURY DO PRZYPOMNIENIA**
Leszek Długosz
- 82 KARA ZA BEZBOŻNOŚĆ**
Andrzej Zybortowicz

**Sprawdź
wiarygodne
źródła:**

www.gov.pl/koronawirus
Bezpłatna infolinia 24/7:
800 190 590



Tarcza Finansowa

**100 mld zł na utrzymanie produkcji
i zachowanie miejsc pracy**

Jeszcze w kwietniu, polskie: mikro, małe, średnie oraz duże firmy, będą mogły prosto i szybko otrzymać gotówkę na zachowanie płynności i utrzymanie miejsc pracy. Rusza potężny, nowy program wsparcia finansowego dla firm dotkniętych skutkami koronawirusa.

Co to?

Tarcza Finansowa PFR to program subwencji skierowany do wszystkich polskich firm – od zatrudniających na umowę 1 pracownika po duże przedsiębiorstwa, których obroty spadły co najmniej o 25% w wyniku skutków koronawirusa.

Jaka forma wsparcia?

Ten zastrzyk finansowy to subwencja na 3 lata. Spłata pierwszej raty następuje dopiero w 13 miesiącu od jej otrzymania. **75% subwencji może mieć charakter bezzwrotny!**

Na co można wydać?

Pieniądze z subwencji można przeznaczyć na: utrzymanie działalności firmy, pensje pracowników, dopasowanie firmy do zmian rynkowych, a ¼ na spłatę firmowych kredytów.

Gdzie?

Wszystko będzie działać się online.

W kanałach bankowości elektronicznej. Robimy tak ze względu na stan zagrożenia epidemią i ze względu na szybkość działania. Pierwsze pieniądze będą mogły być wypłacone firmom jeszcze w kwietniu.

Ile i kto?

Do polskich firm trafi 100 mld zł, z czego większość do podmiotów zatrudniających 1–249 pracowników.

Mikrofirma (1–10 pracowników) może otrzymać ponad 300 tys. zł.
Mała i średnia firma: 3,5 mln zł.

Jakie dokumenty?

Program realizowany jest w oparciu o oświadczenia właścicieli firm, a nie segregatory zaświadczeń i dokumentów.

Jakie warunki?

Żeby skorzystać z subwencji maksymalnie bezzwrotnej należy spełnić trzy proste warunki:

1. Płacisz podatki w Polsce.
2. Utrzymujesz produkcję/usługi.
3. Nie zwalniasz pracowników.

100 mld zł = 4.5% PKB

łączna wartość finansowania w ramach Tarczy Finansowej

60 mld zł

zakładana wartość subwencji bezzwrotnych

Więcej informacji znajdziesz na stronie: www.pfr.pl oraz infolinii: 800 800 120



KANCELARIA PREZESA
RADY MINISTRÓW



Tarcza
Antykrzysowa

eprasa.pl d5160c936b



PFR
Polski Fundusz Rozwoju

Sygnalista nadaje

🔊 Czy Poczta Polska byłaby w stanie dostarczyć w ciągu paru dni 30 mln pakietów wyborczych, a później je odebrać? Parę liczb: przedsiębiorstwo doręcza ponad 5 mln przesyłek dziennie. Dysponuje prawie 6 tys. samochodów. Zatrudnia około 30 tys. kurierów i listonoszy. W całym kraju mamy 7,6 tys. placówek pocztowych oraz 16 tys. skrzynek. Wniosek: dadzą radę.

🔊 Opozycja też próbuje liczyć. „W Siedlcach do głosowania uprawnionych jest 59 577 osób. Przy zachowaniu bezpiecznego, dwumetrowego odstępu – kolejka wyniesie 119 km” – poinformowała posłanka KO **Kamila Gasiuk-Pihowicz**. Oczywiście przy fałszywym założeniu, że będzie jedna skrzynka na koperty i wszyscy pójdą głosować, do tego w tym samym momencie. Te wybory trzeba zrobić choćby dla celów pedagogicznych, wychowawczych, bo to zdziwcinienie staje się nie do zniesienia.

🔊 Ustawa o głosowaniu korespondencyjnym przeszła przez Sejm, ale będzie musiała przejść jeszcze raz, po powrocie z Senatu. Z rządu odszedł Jarosław Gowin, który nie zgadza się na majowe wybory. „Moja dymisja to na pewno nie początek emerytury, ale początek nowego planu” – ogłosił. Ma to być plan odbudowy gospodarczej. Czy za ruchami Gowina, który w tak trudnym momencie wywołał kryzys w centrum władzy, nie stoi także plan czysto polityczny?

🔊 Są wypowiedzi, które warto notować. Kosiniak-Kamysz: „Destabilizacja rządu nie byłaby dziś dobra. Choć jestem w opozycji do tego rządu”. Dziennikarz Konrad Piasecki: „[Przejęcie władzy] w sytuacji kryzysu, jakiego świat nie

pamięta? Z budżetową katastrofą i gigantycznymi zobowiązaniami socjalnymi? Bez stabilnej większości? Przejmowanie władzy dzisiaj to prosta droga do politycznego samobójstwa”. Opozycja gra dziś o wszystko, nie interesują jej półśrodki.

🔊 Na wieść o możliwości przeprowadzenia wyborów korespondencyjnych odezwał się Donald Tusk. „Poczta Polska powinna Polakom dostarczyć maseczki zamiast pakietów do głosowania. Trzeba ratować życie, nie władzę” – napisał, nie dodając, że pewnie gdyby dłużej porządził, to nie mielibyśmy już narodowego operatora pocztowego. Ale sam pomysł dobry: do pakietów wyborczych trzeba dołączyć i maseczki, i rękawiczki.

🔊 Tusk udzielił też wywiadu „Newsweekowi”, w którym apeluje: „Nie zrobimy piekła jak po Smoleńsku”. Oj tak, nie zróbcie. Jeden tak nikczemny numer wystarczy.

🔊 Szymon Hołownia chce demonstrować. „Wybory będą nielegalne. Nie będą ani równe, ani powszechne. Co z tego, że SN będzie rozpatrywał protesty wyborcze. Jak będzie trzeba i zdejmą kwartanę, to trzeba będzie wyjść na ulicę i przypomnieć, co to znaczy demokracja”. To jednak miękki zawodnik, skoro uzależnia demonstracje od zdjęcia ograniczeń w gromadzeniu się. Tak to on z reżimem nie wygra.

🔊 Zdaniem Marka Sawickiego będzie tak jak po wojnie. „Szykuje się powtórka wyborów z 1947 r. Partia wybory zorganizuje, partia wyniki wydrukuje”. Ciekawe, czy Sawicki wie, że jego środowisko polityczne – dawne ZSL – albo było

🔊 *Niektórzy politycy obozu rządzącego tłumaczą, że wprowadzenie stanu nadzwyczajnego wiązałoby się z koniecznością wypłaty odszkodowań zagranicznym firmom, które polskie sądy z pewnością chętnie by zasądzały. Ale czy tylko o zagraniczne firmy chodzi? Czy i krajowe koncerty medialne, które mają także interesy kinowe i restauracyjne, nie poszłyby tą ścieżką? I czy to także nie jest ważne tło walki z majowymi wyborami?*

po stronie fałszujących, albo na fałszerstwie skorzystało. I jedno jest pewne: wyniki wyborów korespondencyjnych będą uczciwsze niż wyborów samorządowych z czasów PO-PSL.

🔊 **Robert Biedroń** ma pomysł: „Przeznaczmy te środki, które państwo ma wydać na przeprowadzenie niepotrzebnych dzisiaj wyborów, na walkę z koronawirusem, na wsparcie osób, które dzisiaj masowo tracą pracę, na wsparcie dla małych i średnich przedsiębiorstw, na dofinansowanie utrzymania miejsc pracy”. To apel, który mówi nam jedno: to nie są prawdziwi demokraci. Prawdziwy demokrat wie, że walka z epidemią jest ważna, ale wybory też są ważne.

🔊 **Grzegorz Braun** z Konfederacji zadał pytanie o głębszy sens kolejnych obostrzeń związanych z walką z zarazą: „Jedna rzecz to opiekować się słabszymi. Ale zamykać kościoły, zamykać lasy? Co wy tam knujecie w tych lasach, kto ma tam lądować w tej puszczy, że Polacy nie mogą wyjść na spacer. [...] Popadam w coraz częstsze obawy, że pan premier i jego ekipa jadą kolejką, do której wsiedli, ale nie wiedzą, do jakiego celu”. Cenny, racjonalny głos w tych trudnych czasach.

🔊 Braun ciągnął dalej: „Kiedy zaczniecie wychodzić z tego oblędu, którym jest zamknięcie państwa, zamrożenie gospodarki. To pytanie domaga się natychmiastowej odpowiedzi!”. Nie on jedyny tak pyta. Ale to pytanie musi brzmieć konkretniej: czy dla ratowania gospodarki poświęcisz swoich rodziców, swoich dziadków lub chore dziecko sąsiadów? To jest istota dylematu, przed którym stanęliśmy.

🔊 Podczas konferencji lidera PO Borysa Budki i Małgorzaty Kidawy-Błońskiej mikrofony wychwyciły, jak przewodniczący PO sufluje „prawdziwej kandydatce” na prezydenta, co ma mówić. „Potem mów, że dzięki naszemu sprzeciwowi, że się... no! Powiedz, że nie może być wyborów” – suflował szef PO kandydatce swojej partii zaraz po tym, gdy dziennikarze zadawali konkretne pytania. Może dlatego liderzy PO nie narzekają na kampanię Kidawy-Błońskiej? Wiedzą, że biorąc pod uwagę jakość kandydatki, i tak jest nieźle.

🔊 Tymczasem rządzona przez **Rafała Trzaskowskiego** Warszawa „tnie wydatki jak nigdy”. „Gazeta Wyborcza” cytuje burmistrza jednej z dzielnic, który tak opisuje telekonferencję z prezydentem stolicy: „Byliśmy w szoku. Takiego zaciskania pasa jeszcze nie było. Gdy prezydent skończył mówić, byliśmy ogłuszeni, nikt nie zabrał głosu”. Tylko na tyle ich stać?



🔊 Cięcia obejmą m.in. wstrzymanie wszystkich nowych przetargów na inwestycje oraz wycofanie się z tych, które można jeszcze zatrzymać, a także zatrzymanie większości remontów i modernizacji dróg, zakaz uzupełniania etatów, przegląd i redukcję umów czasowych, ograniczenie wydatków na promocję, wydatków na utrzymanie urzędów (w tym papieru do drukarek), odwołanie wszystkich pikników i wydarzeń kulturalnych. Niestety nie ma słowa o wstrzymaniu finansowania środowisk LGBT. Na to pieniądze z pewnością się znajdują.

🔊 Opozycja bije własne rekordy wściekłości i populizmu, wyjątkowo przecież wyśrubowane. Przykład pierwszy z brzegu, wypowiedź posła KO Cezarego Tomczyka: „Sasin Jacek mówi, że ludzie umierają teraz i będą umierać po wyborach. To się już nie mieści w głowie. Putin by tego nie wymyślił, żeby dla władzy próbować wybić własny naród. Nie darujemy wam tego”. Słyszą to państwo? „Wybić własny naród”. Tak, tego, co wyprawia opozycja, nie można ani darować, ani zapomnieć.

🔊 „Super Express” ujawnił, że Katarzyna Kuczyńska-Budka, żona lidera PO Borysa Budki, uczestniczyła w imprezach rozrywkowych, przebywając jednocześnie na zwolnieniu. „W czasie gdy miała być niezdolna do pracy, Kuczyńska-Budka wzięła udział m.in. w koncercie w Sosnowcu, meczu siatkówki w Gliwicach czy święcie Solidarności w Gdańsku”. Teraz ma zwrócić ponad 13 tys. zł do kasy ZUS. Skoro będąc w opozycji, pozwalają sobie na tak wiele, co będą robili, gdy zdobędą władzę?

🔊 Kamil Durczok, który wciąż cieszy się wolnością po tym, jak przejechał pół Polski w stanie po spożyciu alkoholu, pochwalił się, że wybrał się z psem na spacer po lesie, łamiąc tym samym zakaz. „Idziemy z Dymitrem pobiegać do lasu. A wy, matoly, nasłapcie. Durne zakazy” – ogłosił. Tyle zostaje z ich nadęcia, gdy spadną z piedestału: dziecinne prowokacje i niedojrzałość. Swoją drogą tego jednego to można chyba jakoś namierzyć.

🔊 Rząd informuje o walce z epidemią poprzez płatne ogłoszenia w różnych mediach, ale nie w „Wyborczej”. Wojciech Czuchnowski ubolewa: „Zdaniem rządu PiS, czytelnicy »Wyborczej« nie zasługują na informację »Jak bezpiecznie robić zakupy«. Kolejne kryzysowe ogłoszenie władz dziś we wszystkich dziennikach poza »GW« – nakład 127 tys. egz. plus 220 cyfrowo. Jak widać, nienawisć do »Wyborczej« przegrywa z rozsądkiem...”. Tu jednak rząd ma rację: skoro „GW” pisze o PiS jako o „mafii”, nie wypada nawet proponować.

W czasie gdy normalna większość społeczeństwa doskonale rozumie konieczność wprowadzenia surowych obostrzeń dotyczących kontaktów międzyludzkich w pandemii, ba, nie tylko rozumie, ale i stosuje się do nich – dla bliskich, dla siebie, dla obcych, dla lekarzy, pielęgniarek, ich dzieci, żon i mężów – nienormalna mniejszość społeczeństwa, a może nawet jego zupełny margines, nie zajmuje się niczym innym tylko obostrzeń tych podważaniem. Negowaniem ich skuteczności. Nakłanianiem do łamania. W jakim celu?

Aż strach napisać, ale oczywisty wniosek może być jeden. Nie dla jakichś urojonych „praw człowieka” (do czego – umierania czy zabijania?), a wyłącznie w celu od lat jednym i tym samym. By wrócić do władzy. Te pęd, parcie, samozaparcie, zaparcie i popęd w jednym pchają kolejne jednostki do słów i czynów tak idiotycznych, że ich najdurniejszy nawet wyborca widzi to gołym okiem. I, owszem, zgłasza przeciw PiS, bo inaczej nie chce, nie umie lub nie lubi, ale żeby czynił to z przekonaniem większym niż to, z którym senator Michał Kamiński zakłada w czasie zarazy rękawiczki, by potem przeczesywał nimi własne nozdrza – to już nie.

Cała bowiem, a na pewno większość obecnej awantury politycznej bierze się ze strachu totalnej opozycji przed otrzymaniem w najbliższych wyborach strzału w gębę od narodu. Za osiem zmarnowanych (choć nie przez mafie) lat. Za butę, pychę i targowicę. Za cynizm graniczący z tępotą, i to nie w tzw. partyjnych dołach, a na samej górze totalnej ferajny. Ferajna wie, że nadchodzi koniec i dla wielu „chłopców” nie starczy już miejsca pod wielkim Donaldem z nieba. Dlatego walczy do upadłego. Choćby na końcu tej drogi miała stać już tylko kamieni kupa z przyległościami. Choćby totalny plan ostatniej szansy miał polegać na zmuszeniu rządu do wprowadzenia stanu klęski żywiołowej, a wraz z nim, raczej szybciej niż wolniej, bankructwa kraju po fali obligatoryjnych odszkodowań.

Czy jednak totalnych obchodzi prosta konstatacja, iż wypłacając właśnie teraz gigantyczne rekompensaty np. sieciom zachodnich supermarketów, stać nas będzie na znacznie mniejszą pomoc np. dla polskich małych i średnich przedsiębiorstw? Dla ludzi w nich zatrudnionych i ludzi w nich zatrudniających? Raczej nie. Gdyby mieli się tym przejmować, prezydenci Trzaskowski, Sutryk, Dulkiewicz czy Jaśkowiak, wzorem np. prezydenta Szczurka w Gdyni, dawno zwolniłyby firmy ze swojego terenu z opłat czynszowych w czasie zamknięcia interesu. Nie robią tego. Wolą wołać, że „państwo ich zostawiło”. Znamienne – ich, liberałów. To samo państwo, które chwilę wcześniej było dla nich zbędnym reliktem słusznie minionej epoki państw narodowych. To samo, które

Maseczki opadły



KRZYSZTOF FEUSETTE

miało dać się wessać w tryby Unii Europejskiej rozumianej jako kombinat wielkich i małych interesów, z jedną stolicą, jedną flagą, jednym rządem i jednym, do bólu jednorodnym społeczeństwem. A jednocześnie – z tolerancją oraz solidarnością na sztandarach. I tylko tam. Reakcja (a raczej jej brak) Brukseli na dramat

Włochów dowodzi tego najmocniej. Wiekopomne były słowa wielkiego Donalda, iż tylko pożyteczni idioci Kremla mogą twierdzić, że Unia nie pomaga. Chwilę potem szefowa Komisji Europejskiej przeprosiła Włochów za... brak pomocy Unii.

Wielki Donald, rzecz jasna, nie przestał obrażać ludzi widzących więcej niż on. Były „król Europy”

jest dziś bowiem nagi jak nigdy dotąd. Brakuje mu doradców, speców od bon motów, polerowaczy wizerunku czy osób, które przed kolejnym wpisem na Twitterze chwycą za łokieć i szepną: „Donku, nie wypada” albo „Donku, to głupie”. Zdążył już od początku pandemii oskarżyć rząd o to, że ten chce na koronawirusie zarobić, że nie mówi prawdy (czytaj: o liczbie ofiar i zakażonych), że testy (w Brukseli mu nie zrobiono mimo gorączki) powinny być na żądanie

i że na żądanie są one w Polsce tylko dla ludzi władzy (choć to marszałek Grodzki z PO jako pierwszy z polityków „przetestował się” na życzenie). Z teflonowego księcia na białym koniu, który miał porwać do boju armię antypisu, pozostał zardzewiały Don Kichot, a w zasadzie Donald Kiszon, wygrażający Węgrom za wprowadzenie stanu wyjątkowego i Polakom za niewprowadzenie. Świadomy nieuchronnej (w maju, sierpniu czy za rok) klęski Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, która oznaczać musi oddanie sterów opozycji w ręce Władysława Kosiniaka-Kamysza. Bo ten, żeby przegrać z „kobietą z Ursusa”, musiałby chyba przejechać już nie zakonnicę, a całą redakcję „Gazety Wyborczej” w cięży. Zapewne, jak cały ich świat, urojonej.

Można zatem, tak po ludzku, zrozumieć tyleż rozpaczliwy, ile ohydny plan totalnych na uniknięcie wiatrów historii. Sprowadza się on, pisząc brutalnie, do zasady: im gorzej (dla Polski), tym lepiej (dla totalnych). Stąd tak wielu wśród nich już nie „pożytecznych”, a totalnie szkodliwych „idiotów”, wzywających swoich wyborców, widzów i czytelników do łamania prawa w trakcie zarazy. Nazwiska? Znajdą je państwo na internetowych stronach antyrządowych mediów. „Do lasu nie można? Skandal!”. „Dwa metry? Jak to?!”. „Małoletni sami nie wyjdą? To co mają robić?!”. „Mandat w koronawirusie? Prawnik podpowie, jak nie płacić!”...

Bo przecież im gorzej, tym lepiej. Bo przecież, by żyło się lepiej, komuś musi być gorzej. I tak się owa gra z pogranicza życia i śmierci toczy. Współczując pacjentom, lekarzom i ich bliskim, skwitować to można tylko w jeden sposób, parafrazując znaną reklamę: „Naprawdę chce się ż”. Chociaż akurat to „ż” pisze się „rz”.

Jak internet długi i szeroki niesie się Polaków narzekanie i podwaja echem: że nie można wyjść do lasu, na spacer, że trzeba zachować odległości i stać pod sklepem, że nie można biegać, jeździć na rowerze ani na rolkach. A może zamiast narzekać, należałoby pomyśleć o osobach starszych, chorych, słabszych, które tylko w ten sposób można ochronić?

Nieprzychylnie rządowi portale i tytuły publikują mające chwycić ze serca listy ludzi cierpiących z bezczynności, uwięzionych w domach, znużonych sprzątaniem. W jednym z takich listów (wyborcza.pl) pani Halina rozpacza: „Jestem obywatelką Polski i kiedy patrzę, jak polski rząd »radzi« sobie z epidemią, Łzy wściekłości cisną mi się do oczu”.

Mnie zaś cisną się do oczu Łzy, gdy patrzę na obrazki z Włoch czy Hiszpanii, a także gdy patrzę na dane dotyczące liczby zachorowań z Wielkiej Brytanii (gdzie nawet premier rządu padł ofiarą własnej, później zmiennej, strategii) i Francji. Łzy wściekłości napływały mi do oczu także wtedy, gdy pomimo ogłoszenia stanu epidemii widziałam obrazki tłumów ludzi w sklepach, na skwerach, w lasach, na bulwarach i nie mogłam zrozumieć, dlaczego Polacy tak bardzo nie chcą się uczyć na dramatycznym przykładzie południa Europy.

Restrykcje (bardzo trudne dla wszystkich – co do tego nie ma wątpliwości), które wprowadził polski rząd po to, by nie powtórzył się u nas włoski scenariusz, to na ten moment jedyna szansa, by go uniknąć. Szkoły zamknięto zaraz na początku epidemii, gdy w Polsce było raptem kilka przypadków. Nie wiemy, czy skuteczniejsza jest szwedzka metoda polegająca na izolowaniu wyłącznie ludzi starszych, bo chorują i umierają także młodzi i dzieci. Na pewno jednak nie może być zgody na metodę belgijską, by nie ratować osób starszych, bo taki brak szacunku dla ludzkiego życia po prostu nie mieści mi się w głowie.

Polski rząd zdecydował się na strategię narodowej kwarantanny, bo z powodu braku leków i szczepionki to jedyna znana metoda, by wyhamować rozprzestrzenianie się wirusa (dowodzi tego przykład Ja-

Łzy wściekłości

Kochana pani Halino i reszto społeczeństwa, która siedzisz uwięziona w domach mimo pięknego słońca, pomyślcie, że macie lodówki pełne jedzenia, a z nieba nie sypią się bomby



ponii czy Tajwanu). Wszystko po to, by maksymalnie spłaszczyc krzywą zachorowań. Czy to się powiedzie, zależy od nas, od naszej dyscypliny oraz umiejętności oparcia się pokusie grupowych spacerów, zakupów, grillowania w lasach itd. „Robimy wszystko, żeby wyhamować rozprzestrzenianie wirusa. Temu służą wszystkie nasze dotychczasowe działania. Długo rozmawialiśmy z premierem, prezydentem, kolegami z rządu i wspólnie doszliśmy do wniosku, że wyżej cenimy życie i zdrowie ludzkie niż wyniki gospodarcze. Poniesiemy koszty gospodarcze, ale ratujemy ludzi” – mówił mi minister Szumowski w wywiadzie dla „Sieci”, który publikowaliśmy kilka tygodni temu.

Łzy wściekłości cisną mi się do oczu, także gdy widzę, jak opozycja na każdym kroku próbuje podstawiać rządowi nogę. Od pierwszego momentu, od chwili gdy Małgorzata Kidawa-Błońska siała zamęt, zarzucając władzom ukrywanie informacji o chorych. Czy konsens, który powstał w parlamencie, gdy uchwalano pierwsze przepisy w związku z epidemią, nie mógłby trwać dłużej? Czy częściej nie mógłby się pojawiać scenariusz, w którym rząd klaszcze opozycji, a opozycja rządowi? Polacy potrzebują zgody tu i teraz, natychmiast, już! Dla dobra nas wszystkich, dla dobra Polaków.

Jestem przekonana, że gdyby rząd nie wprowadził drastycznych restrykcji, gdybyśmy w Polsce mieli takie statystyki jak we Włoszech, Hiszpanii czy Francji, pani Halina także płakałaby rzewnymi łzami, jej list wydrukowałaby wyborcza.pl, ale wówczas mielibyśmy tysiące, dziesiątki tysięcy ofiar.

Kochana pani Halino i reszto społeczeństwa, która siedzisz uwięziona w domach mimo pięknego słońca, pomyślcie, że macie lodówki pełne jedzenia, wszystko można zamówić przez internet, a z nieba nie sypią się bomby. Jeszcze chwilę tę narodową kwarantannę wytrzymamy. A wtedy Łzy wściekłości zamienimy na Łzy radości, szczęśliwi, że wraca normalność. I wtedy ze zdwojoną siłą będziemy bić się o rozkwit gospodarki i o nowe miejsca pracy.

Dorota Łosiewicz

Grecki minister spraw zagranicznych Nikos Dendias powiedział, że Turcja, organizując niedawny napływ imigrantów na granicę turecko-grecką, chciała wykorzystać ich desperację do swoich politycznych celów. Dodał, że tego rodzaju polityka, w której wykorzystuje się ludzką krzywdę, jest nie do pomyślenia w XXI w. Z kolei turecki szef dyplomacji oskarżył greckie siły porządkowe o zastrzelenie kilku imigrantów. W opinii Mevlüta Çavuşoğlu środki, których użyły greckie siły bezpieczeństwa na wspólnej granicy, stanowią pogwałcenie zasad, do których winny się stosować państwa NATO. Ta wymiana uprzejmości między ministrami Grecji i Turcji uzmysławia, że mimo chwilowego uspokojenia sytuacji na wspólnej granicy problem nie uległ rozwiązaniu i w każdym momencie można się spodziewać kolejnego szturm u uchodźców chcących dostać się do Europy.

Tureckie media pełne są informacji, że Grecja traktuje znajdujących się na jej terytorium uchodźców w kategoriach karty przetargowej używanej do szantażowania Europy. Na utrzymanie 100 tys. uchodźców Grecja uzyskała dotychczas 3 mld dol. wsparcia z Brukseli. Porównuje się to z 4 mln uciekinierów z Syrii koczujących w Turcji, na których potrzeby Ankara wydała w ostatnich latach 40 mld dol., co dla jej budżetu jest obciążeniem ponad miarę. Europejska pomoc dla Ankary,

Turcja

Graniczny węzeł gordyjski

szacowana przez tureckie władze łącznie na 2,7 mld euro, jest nie tylko niewystarczająca, ale dla tureckich komentatorów stanowi oczywiste świadectwo unijnej hipokryzji. Turcja krytykuje również Unię Europejską za niedostateczne wsparcie dla ustanowienia przez Ankara strefy zdemilitaryzowanych w północnej Syrii, do których mogliby wrócić przeciwnicy reżimu Asada. Z kolei Unia oskarża Turcję o szantażowanie Europy niekontrolowanym napływem imigrantów oraz o prowadzenie agresywnej polityki we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego.

Na razie nic nie wskazuje na to, aby te kontrowersje mogły zostać złagodzone. Zwłaszcza w sytuacji, gdy w znajdującym się nieopodal Aten obozie dla uchodźców odnotowano pierwszą infekcję COVID-19, a wcześniej sześć przypadków potwierdzono w obozie na wyspie Moria, gdzie w niesłychanie trudnych warunkach znajduje się 20 tys. osób. Uchodźcy napływający z Turcji będą teraz dodatkowo postrzegani jako zagrożenie epidemiologiczne, co gwarantuje wzmocnienie granic, a nie szukanie kompromisowych rozwiązań, na które rządy europejskie nie mają w obecnej sytuacji pieniędzy. Wszystko to razem wzięte oznacza, że obecna cisza na grecko-tureckiej granicy jest tylko czasem poprzedzającym burzę, a może nawet huragan.

Marek Budzisz

USA

Nowe Pearl Harbor

Naczelny lekarz USA Jerome Adams porównał walkę z koronawirusem do najmroczniejszych dni w historii USA. „To nasze Pearl Harbor, nasze 9/11, tylko nie w jednym miejscu, ale w całym kraju. Chcę, żeby Ameryka to zrozumiała” – mówił. Nic więc dziwnego, że kampania wyborcza w USA została częściowo zamrożona.

W poniedziałek dziewięciu burmistrzów najważniejszych miast stanu Wisconsin przełożyło prawyborcy Partii Demokratycznej, jednak następnego dnia zdominowany przez republikanów stanowy Sąd Najwyższy unieważnił ich decyzję. Pomimo ostrych protestów demokratów obawiających się niskiej frekwencji, wynik prawyborów nie przyniesie raczej zaskoczeń, bo rywalizujący z Johnem Bidenem senator Bernie Sanders po przegraniu w lutym i marcu dwóch superwtorków, 8 kwietnia wycofał się z wyborów.

Joe Biden odwołuje się do centrum i domaga się przywrócenia tzw. Obamacare. Biden przekonuje, że Trump, uderzając

w program opieki zdrowotnej sygnowany przez administrację Obamy, pozbawił opieki zdrowotnej 20 mln Amerykanów. Jednak przywołanie Obamacare zdaje się mieć jeszcze jeden wymiar. Czysto psychologiczny. Wyborcy demokratów wolą nie pamiętać już tego, że prezydentura Obamy zbiegła się w czasie z kryzysem finansowym 2008 r. i zamiast tego szukają stabilizacji. W czasie kryzysu jest to zrozumiała reakcja. „The Washington Post” podał badanie, z którego wynika, że strach przed koronawirusem wpłynął negatywnie na poparcie dla Sandersa proponującego radykalne zmiany.

Donald Trump mógł być jeszcze dwa tygodnie temu niemal pewny reelekcji, po tym jak okazało się, że jego przeciwnikiem na jesieni będzie pozbawiony energii Joe Biden. Pandemia i nadchodzący kryzys finansowy zmieniają jednak reguły gry. Kto wie, czy Amerykanie nie będą tęsknić za czasami Obamy i czy nie pomoże to Bidenowi. Jednak efekt psychologiczny może być zupełnie inny. Kryzys może przypomnieć rządy George’a W. Busha tuż po atakach z 11 września 2001 r. Bush wcielał się wtedy w kowboja, co przełożyło się początkowo na jego wysokie poparcie. Trump jest jeszcze lepszym aktorem i ma w sobie beczelność twardego przywódcy. Takiego lidera mogą pragnąć Amerykanie w czasach, gdy naczelny lekarz USA mówi o nowym Pearl Harbor.

Lukasz Adamski





Kosmiczne eldorado

 **Wielka Brytania**

Koniec epoki Corbyna

Brytyjska Partia Pracy wybrała nowego lidera. 57-letni były prokurator krajowy Keir Starmer zastąpi Jeremego Corbyna, który kierował partią od września 2015 r. Starmer uzyskał 56,2 proc. głosów, pokonując m.in. Rebecce Long-Bailey, którą Corbyn wyznaczył na swoją następczynię. Wygrana Starmera oznacza nie tylko koniec samego Corbyna, ale także corbynizmu – pisze dziennik „The Guardian”. Corbynizm to dość mgliste pojęcie opisujące lewicową, antyglobalistyczną ideologię, która wyłoniła się z kryzysu finansowego 2008 r. i za czasów Corbyna stała się przewodnią ideologią laburzystów. Manifest Partii Pracy z 2017 r. zachwalał corbynizm jako „radikalną alternatywę dla kapitalizmu rynkowego praktykowanego w Wielkiej Brytanii przez ostatnie 40 lat”. Najwyraźniej zbyt radykalną dla wielu Brytyjczyków.

Wyraźny skręt w lewo Partii Pracy pod kierownictwem Corbyna był ostro krytykowany przez jej prawe skrzydło, a postawa ówczesnego lidera w obliczu brexitu (był on za opuszczeniem Unii, podczas gdy większość partyjnej bazy była przeciw), dodatkowo pogłębiła podziały w ugrupowaniu oraz odstraszyła wyborców, co skutkowało dwiema porażkami przy urnach w 2017 i 2019 r. Do tego doszły liczne kontrowersje, m.in. antysemickie wypowiedzi Corbyna, dla którego Państwo Izrael jest symbolem imperializmu.

Starmer ma więc przed sobą nie lada wyzwanie: będąc politykiem centrum, musi zjednoczyć zwaśnione frakcje i sprawić, że Partia Pracy znów stanie się wybieralna (od 2005 r. nie wygrała ani jednych wyborów). Oznacza to m.in. odzyskanie wyborców wśród klasy robotniczej, także tych z północy kraju, którzy w ostatnich wyborach woleli oddać głos na konserwatystów, preferując szybkie zakończenie ciągnącego się trzy lata procesu brexitowego nad radykalne tezy Corbyna i jego niepewne obietnice drugiego referendum.

Odzyskanie zaufania wyborców nie będzie jednak łatwe. Ostatnie sondaże wskazują, że rządząca Partia Konserwatywna może liczyć na poparcie aż 52 proc. wyborców, a Partia Pracy – jedynie na 28 proc. Starmer obiecuje, że laburzyści pod jego kierownictwem nie będą już „totalną opozycją” i zaczną współpracować z rządem, broniąc jednocześnie najsłabszych. Taki powrót do źródeł i dawnej wyborczej bazy. „Tam, gdzie musimy się zmienić – zmienimy się. To, co musimy przemyśleć na nowo – przemysłimy na nowo” – zapewnił. Pierwszym krokiem w tym kierunku ma być współpraca z rządem w walce z epidemią koronawirusa. Oczywiście konstruktywna.

Aleksandra Rybińska

Amerykane chcą wrócić na pierwszą pozycję w międzynarodowym wyścigu kosmicznym, z której w ostatnich latach coraz częściej byli wypychani przez Chiny i Rosję. Pierwszym zwiastunem nowej polityki była zapowiedź Donalda Trumpa z lipca 2019 r., gdy prezydent ogłosił, że w trakcie jego drugiej kadencji amerykańscy astronauta ponownie wylądują na Księżycu. Na początku zeszłego tygodnia Trump zrobił kolejny krok na tej drodze i postanowił przenieść kosmiczną rywalizację w zupełnie nowy, ekonomiczny wymiar.

6 kwietnia prezydent podpisał rozporządzenie wykonawcze, które pozwala Amerykanom na eksploatację surowców znajdujących się na Księżycu oraz innych ciałach niebieskich. W pierwszej kolejności chodzi przede wszystkim o wodę, niezbędną do funkcjonowania przyszłych załogowych misji księżycowych, ale nowe przepisy umożliwiają też wydobywanie innych surowców występujących w kosmosie. Zgodnie z rozporządzeniem Amerykanie powinni mieć prawo do prowadzenia komercyjnej eksploatacji kosmosu, a także do wydobywania i wykorzystywania znajdujących się w nim zasobów. „Przestrzeń kosmiczna, zarówno w sensie prawnym, jak i w fizycznym, jest wyjątkową przestrzenią dla działalności człowieka, a Stany Zjednoczone nie uważają jej za domenę publiczną” – głosi rozporządzenie.

Amerykane skorzystali tutaj z furtki, jaką dają niejasne przepisy traktatu o przestrzeni kosmicznej z 1967 r., który wprowadza zabrania państwom ustanawiania swojej suwerenności nad jakąkolwiek częścią Księżyca i zakazuje im rozmieszczania tam broni masowego rażenia, ale nie reguluje precyzyjnie kwestii wykorzystania występujących tam surowców, zaznaczając tylko, że eksploracja kosmosu powinna służyć dobru wszystkich państw. Amerykanie nie podpisali też tzw. Porozumienia księżycowego z 1979 r., które próbowało wprowadzić zasady eksploatacji Księżyca.

Na działania Trumpa nerwowo zareagowali Rosjanie. Rozporządzenie prezydenta nazwano „agresywnym planem przejęcia terytoriów innych planet”. „Były już przykłady w historii, gdy jeden kraj postanowił zająć terytoria w swoich interesach i wszyscy pamiętają, co z tego wynikło” – ostrzegł Siergiej Sawieliew, zastępca dyrektora generalnego Roskosmosu ds. Współpracy Międzynarodowej. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow dodał, że podjęte przez Amerykanów „próby prywatyzacji kosmosu są niedopuszczalne”.

Donald Trump zdaje sobie jednak sprawę z tego, że nie zdoła rzucić rękawicy Rosji i Chinom bez wsparcia finansowego ze strony amerykańskiego biznesu. A biznes nie będzie przecież podbijał kosmosu za darmo.

Konrad Kołodziejcki

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Żądają klęski dla Polski

Opozycja natrętnie, agresywnie, codziennie domaga się wprowadzenia klęski żywiołowej. Epidemia to dla nich za mało, to ich nie satysfakcjonuje. Żądają klęski dla Polski.

Lwy przy Pałacu Prezydenckim uśmieły się jak norki ubawione pomysłem posła Gowina, by podarować Andrzejowi Dudzie bez wyborów dwa lata następnej kadencji prezydenckiej. Ciekawe, komu Gowin przydzielił pozostałe trzy lata?

Przyczajony tygrys, podniecony Kamysz, zażądał, by wstrzymać zakup samolotów F-35. Migi są dużo tańsze, powiedziała mu oblatana żona.

W Sejmie 6 kwietnia toczyła się debata, w której opozycja całą winą za koronawirusa w Polsce, świecie i we wszechświecie obarczyła rząd Morawieckiego. Był to festiwal szaleństwa Soczystych Buraków...

Kierwiński: „PiS chce ukraść Polakom wolne niezależne wybory”. No i mamy konflikt, bo Kierwiński et consortes chcą Polakom ukraść całą Polskę.



Jan
Pietrzak

Giertych jest oburzony zakazem wchodzenia do lasu. Jedynie tam jeszcze może spotkać jeleni, którzy chcą go słuchać.

Globalizacja nakręcana przez banki, koncerny, korporacje, poza wadami, ma też pozytywne strony. Zauważyła to równoległa cywilizacja wirusowa i zaatakowała globalnie. Jesteśmy świadkami zderzenia cywilizacji. Nie jest to zderzenie, które zapowiadał w 1993 r. Huntington, ale równie bolesne.

Grono speców od dywersji i prowokacji pokrzykuje, że wybory nie mogą odbyć się w maju. Ale konstytucja nie pozwala na zaniechanie wyborów z powodu podwyższonej gorączki opozycji.

Wiecznie rozgorączkowana histeryczka, którą dla hecy wybrano do Sejmu, powiada tak: „Kiedy cały świat zajmuje się epidemią, PiS zajmuje się obsadzaniem posad”. Państwo polskie, niezależnie od świata, musi sprawnie działać. I działa.

Budka, stojąc obok Kidawy przy mikrofonie, podpowiadał jej tekst. Jak sufler w teatrze. Tyle że teatr amatorski, aktorka trzeciorzędna, budka spróchniała.

Moje wędrówki w czasie

Z **Maciejem Kurzajewskim**, dziennikarzem i prezenterem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„To był rok!” – o którym powiedziałby pan tak prywatnie?

Maciej Kurzajewski: 1997, chociaż wielką pokusę odczuwam przy 1973, w którym się urodziłem, ale z tego roku niewiele pamiętam, a 1997 był wyjątkowy, bo wtedy przyszedł na świat mój pierwszy syn Franek. I zaczął się zupełnie nowy rozdział w moim życiu. Zrozumiałem, że bycie ojcem wymaga jeszcze większej odpowiedzialności, ale też, że pojawienie się dziecka to coś najpiękniejszego, co może nas spotkać. Ta sytuacja powtórzyła się, gdy urodził się mój drugi syn Julian, za chwilę 14-latek. Ale rok 1997 był ważny też z innych powodów.

Jakich?

Miałem 24 lata. Już na studiach zacząłem pracę w redakcji sportowej TVP i to był cudowny czas zdobywania doświad-

czenia, obcowania z moimi idolami – zarówno sportowymi, jak i dziennikarskimi. Zwłaszcza z Włodzimierzem Szaranowiczem, który był i pozostaje dla mnie mistrzem.

Program „To był rok!” pojawia się w TVP1 premierowo.

Rzutem na taśmę udało nam się nagrać cały drugi sezon, czyli dziesięć odcinków. Będziemy więc mogli – razem z Marzeną Rogalską i Kasią Zielińską – spotykać się z państwem jeszcze przez parę niedziel. Bardzo się z tego cieszymy, bo wędrując w czasie, wracając do dobrych wspomnień, mamy szansę oderwać się od tego, co dziś niesie życie; uzmysłwić sobie – zapewne nie pierwszy raz – jak ważne jest pielęgnowanie relacji z bliskimi. Nawet jeśli bywa to tak trudne jak w obecnych czasach.



Fot. Pięta Meszko/KPA

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czas kanalii



Wyeksponowany w portalu „Wyborczej” list czytelniczki: „Francuzi, choć zawsze z wszystkiego niezadowoleni, mają dużo szczęścia. Mają niesłuchanie zmobilizowany rząd, premiera i ministra zdrowia, którzy w dobie epidemii wykonują razem ciężką robotę i bardzo dokładnie informują społeczeństwo o podejmowanych działaniach (...). Ale jestem obywatelką Polski i kiedy na to patrzę, lży wściekłości cisną mi się do oczu. Bo czy my w Polsce wiemy coś o strategii walki rządu z epidemią? Czy taka strategia istnieje?”

Na ten tekst zwróciła już uwagę Dorota Łosiewicz na portalu wPolityce. Chciałbym jednak sprawę pociągnąć.

Kiedy piszę ten felieton, liczba zachorowań na koronawirusa wynosi we Francji ponad 1,5 tys. przypadków na milion mieszkańców, liczba śmierci na milion to 137. W Polsce liczba śmierci na milion to 3, a liczba chorych – 120. Kiedy „Wyborcza” list ten publikowała, stan był jeszcze bardziej korzystny dla naszego kraju. Czy redakcja i jej czytelnicy marzą, aby dane w Polsce zbliżyły się do francuskich?

Zachwyty nad Francją nie zostały opatrzone informacją, że ponad 600 francuskich lekarzy pozwało premiera i byłą minister zdrowia za bezczynność i ukrywanie informacji o rozprzestrzenianiu się koronawirusa w kraju. Minister w wywiadzie dla „Le Monde” przyznała, że kiedy zrezygnowała w lutym z funkcji, aby kandydować w wyborach na mera Paryża, wiedziała, że wybory nie powinny się odbywać, o czym poinformowała prezydenta i premiera.

Przyjmijmy, że autorka listu, „pani Halina”, to zwykła zakompleksiona kretynka. Ale co sądzić o redakcji, która eksponuje jej idiotyzmy i zamieszcza je obok im podobnych tekstów, których jedynym celem jest zdezwauowanie wysiłków polskiego rządu w walce z epidemią?

Tak zachowuje się Zjednoczony Antypisowski Front (ZAF) w czasie kryzysu wywołanego zarazą – od TVN po „Newsweeka”, od Onetu po „Fakt”. Jego odbiorcy jak owa Halina będą mieli kłopot, aby dowiedzieć się o strategii rządu na czas zarazy, a już na pewno nie o tym, że jak dotąd okazuje się ona wyjątkowo efektywna, i to również na tle najbogatszych krajów Zachodu. Będą natomiast zasypywani wiadomościami o tym, że za mało jest testów, respiratorów, maseczek, kombinezonów, rękawiczek, lekarzy, pielęgniarek, łóżek, szpitali, pieniędzy i środków, a władze PiS (zwłaszcza oczy-

wście Kaczyński) igrają ze zdrowiem i życiem obywateli i są winni wszystkich dotychczasowych zgonów oraz tych, które z ich powodów niechybnie nastąpią. ZAF będzie nagłaśniał najbardziej absurdalne zarzuty, insynuacje i pomówienia ze strony opozycji, która wydaje się rozpaczać, że epidemia w Polsce nie przybrała takiej skali, jak na Zachodzie. Skala zresztą nie ma znaczenia, gdyż słuchając wystąpień opozycji i odbierając jej ciągle dominujące w kraju media, musimy uznać, że rządzący doprowadzili do katastrofy, od której większej nie sposób sobie wyobrazić.

Andrzej Nowak na portalu wPolityce w tekście „Świeczka i »ciemna liczba«” (tekst na stronach 48–49) ze statystyką w ręce punktuje wszystkie niewiarygodne przekłamania opozycji i jej tub. Kiedy trzeba się konfrontować z rzeczywistością, zawsze przecież można odwołać się do „ciemnej liczby”, czyli ukrywanych jakoby przez władze zachorowań i zgonów. Wybitny historyk pokazuje, że pod ordynarną walką o władzę kryją się głębsze pokłady ojkofobii, kompleksu niższości i kolonialnej mentalności.

Ośrodki III RP przyzwyczaiły nas już, że w ich wydaniu logikę zastępują zajadłość i stęzenie propagandy, czyli nienawiści i pogardy. Donald Tusk, który patronuje tej kampanii z Brukseli, z jednej strony domaga się wyrzucenia Węgier z EPL za wprowadzenie w nich, zgodnie z wszelkimi normami, stanu wyjątkowego, a jednocześnie opowiada, że PiS igra z życiem obywateli... nie wprowadzając stanu wyjątkowego i próbując przeprowadzić korespondencyjne wybory. W wypadku Polski ustawa o wyborach to zamach stanu, a stan wyjątkowy to ratunek dla demokracji.

A kiedy braknie nawet takich „argumentów”, zaczyna się potok najzwyklejszych obelg, zwłaszcza pod adresem Kaczyńskiego, w których celują rzecznicy III RP. Plują nimi artyści i profesorowie, autorytety i celebryci.

Nie o same słowa zresztą chodzi. Opozycja i jej medialni funkcjonariusze robią wszystko, aby zdestabilizować państwo polskie, wprowadzić zamęt i uniemożliwić działanie rządu. PiS ma przegrać, nie liczy się jakim kosztem.

Moment kryzysu, jakim jest epidemia, wymaga mobilizacji i solidarności. Prowadzić winien do zawieszenia zwykłych antagonizmów i walki o władzę. W rzeczywistości ukazuje jednak również ciemną stronę zbiorowości, ujawnia najgorsze instynkty i odsłania ukrywane na co dzień, odrażające oblicza. Staje się czasem kanalii.

Fot. Andrzej Wiktor

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY

Krzysztofa Pastora

PRZED KORONAWIRUSEM



La Foce

Jedno z najcudowniejszych miejsc na ziemi jest posiadłością należącą do rodziny mojej żony. Villa La Foce została zbudowana pod koniec XV w. jako schronisko dla pielgrzymów i kupców. W 1924 r. majątek, który był w ruinie, kupili dziadkowie – Antonio i Iris Origo (znana pisarka). Zainwestowali oni w renowację budynków, wybudowali sierociniec, dom kultury i szkołę. Piękne ogrody zaprojektował angielski architekt Cecil Pinsent. Choć od 25 lat dwa razy do roku regularnie się tam pojawiajemy, za każdym razem jestem zaskoczony i oczarowany pięknem tego miejsca. Prawdę mówiąc, mój zachwyt staje się już tematem żartów przyjaciół.

W La Foce powstało wiele moich baletowych projektów. Ciekawostką jest to, że zdjęcia z tej posiadłości zostały użyte w scenograficznych projekcjach wizualnych do baletu „Don Giovanni”. Niejednokrotnie w toskańskiej posiadłości gościłem też zespoły artystyczne, z którymi tworzyliśmy koncepcje spektakli. Podczas prac nad baletem „Burza” pracowałem z wizualnymi artystami – Shirin Neshat i Shoja Azarim, z Jeanem Kalmanem od scenografii i oświetlenia, kostiumolożką Tatyana van Walsum i dramaturgiem Willemem Brulsem. Zamknięci na wiele dni, w ciszy i spokoju intensywnie pracowaliśmy nad oryginalnymi koncepcjami. W La Foce pracowałem też z dramaturgiem Klausem Bertishem nad przedstawieniem „Tancerz, klaun, Bóg” dla Holenderskiego Baletu Narodowego, którego kanwą jest biografia wielkiego polskiego tancerza i choreografa Wacława Niżyńskiego. Powstało tam zresztą bardzo wiele pomysłów i koncepcji moich przedstawień, bo jest to miejsce przepiękne, posiadające swoją duszę i bardzo inspirujące.

Wilno

Prawie 10 lat temu zaproponowano mi stanowisko dyrektora Litewskiego Baletu Narodowego w Wilnie. Nie od razu się zgodziłem, w tym czasie byłem bowiem choreografem rezydentem w Het Nationale Ballet w Amsterdamie, z kolei w warszawskim Teatrze Wielkim – Operze Narodowej od dwóch lat zajmowałem stanowisko dyrektora Polskiego Baletu Narodowego.

Choć praca w Wilnie wymagała z mojej strony okrojenia innych ciekawych projektów, finalnie podjąłem rękawicę i nie żałuję. Z litewskim zespołem zaczęliśmy tworzyć nowe wartości, spektaklami w oryginalnych artystycznych interpretacjach wielokrotnie oczarowaliśmy wileńską publiczność. Po dekadzie pracy ze wspaniałymi ludźmi postanowiłem przekazać stery świetnemu choreografowi Martynasowi Rimeikisowi. Prawie od dwóch lat przygotowuję go do objęcia tego stanowiska. Staram się go prowadzić, przekazuję tajniki, dzielę się kontaktami, objaśniam, jak rozmawiać z tancerzami, jak reagować na ich rzeczywiste potrzeby i kaprysy. Wiem, że Martynas doskonale sobie poradzi, ale też może zawsze na mnie liczyć. Zdjęcie zostało wykonane przy okazji wspaniałej gali z okazji moich 60. urodzin, zorganizowanej właśnie przez Litewski Narodowy Teatr Opery i Baletu. Ta piękna kobieta na fotografii to Swietłana Zacharowa, jedna z największych gwiazd światowego baletu.





Chicago

2014 r. Na zdjęciu stoję z Ashley Wheeler, dyrektorem artystycznym chicagowskiego Joffrey Ballet, oraz dyrektorem administracyjnym tego zespołu Gregiem Cameronem. Wystawiałem tam „Romeo i Julię”. Tak na marginesie, ze względu na pandemię mają teraz wirtualny tydzień wspomnień, tym razem poświęcony właśnie mojemu przedstawieniu. Joffrey Ballet to zespół mniejszy od zespołu Teatru Wielkiego, bo liczy około 40 osób, ale jest bardzo międzynarodowy i inspirujący, pełen różnych osobowości artystycznych.

Dla tematu, jakim jest „Romeo i Julia”, taka mieszanina świadomych artystów jest doskonałym połączeniem. Pracowałem z nimi ponad miesiąc przed premierą i około tygodnia przed spektaklem w Nowym Jorku. Publiczność i krytycy odebrali spektakl w Chicago znakomicie. W Nowym Jorku na wszystkich wyprzedanych siedmiu spektaklach w Lincoln Center, w David T. Koch Theatre, czyli tam, gdzie na co dzień występuje New York City Ballet, reakcja publiczności była entuzjastyczna, natomiast recenzje były mieszane. To, co było dla nich kontrowersyjne, to fakt, że bohaterów nie umieściłem w czasach renesansu. Świat mojej interpretacji dzieła Szekspira jest bardziej uwspółcześniony, ale bez dziwactw. Opowiadałem o tej najbardziej znanej historii miłości, ale umieszczając ją w bardzo silnie zarysowanym kontekście konfliktu między dwiema zwaśnionymi rodzinami. Ale może zaistnieć on pomiędzy religiami czy grupami etnicznymi. Tak naprawdę ten konflikt trwa cały czas. Romeo i Julia umierają także w naszych czasach. Pamiętam, gdy wybuch wojny na Ukrainie podzielił wiele rodzin.

Wcześniej, w 1996 r., pracowałem w Zagrzebiu nad projektem Donau Ballet w czasie kryzysu na Bałkanach. Ta wojna była dosłownie na wyciągnięcie ręki, nasz teatr został bowiem zbombardowany, w wyniku czego ja i wielu tancerzy zostaliśmy ranni. Do dzisiaj uważam, że to cud, że tam nikt nie zginął. Wtedy też media rozpisywały się na temat Romea i Julii z Sarajewa. Historia dotyczyła zabitej przez snajperów zakochanej pary Bośniaczki i bośniackiego Serba, którzy chcieli się przedostać przez most do serbskiej strefy.

Spisał Michał Korsun

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Skoro i tak ludzie umierają...

Ponieważ po śmierci moich rodziców stałem się seniorem rodu, to młodszy członek klanu Zdortów, którzy dotychczas rzadko się ze mną kontaktowali, teraz regularnie pytają o zdrowie. Może to tylko skutek nudy, nieuchronnej w czasach kwarantanny, a może – w coś święcie wierzę – troska o staruszkę. O jego zagrożone życie. Bo wiadomo – kowid chętniej sięga po seniorów niż młodzieńców.

W czasach koronawirusa kwestie życia i śmierci nabrały zresztą nowego wymiaru. Na przykład sprawa aborcji.

W Wielkiej Brytanii epidemia spowodowała, że życie człowieka najwyraźniej straciło na wartości. Ktoś doszedł do wniosku, że skoro i tak ludzie umierają, to nic nie szkodzi, żeby ułatwić uśmiercanie „płodów”. Rząd zatwierdził możliwość przyjmowania przez kobiety dwóch środków wywołujących śmierć dziecka w łonie matki.

Dotąd także z tych tabletek korzystano, ale wyłącznie w szpitalach. Teraz, po zapisaniu owych substancji przez lekarza, panie mogą połknąć je tam, gdzie chcą i kiedy im przyjdzie ochota. Oficjalnie zmiana procedur związana jest z epidemiologicznym bezpieczeństwem – chodzi o to, aby mniej ludzi wychodziło z domów.

Epidemię mają ograniczać także nowe przepisy przyjmowane w niektórych stanach USA. Tyle że tam mamy do czynienia z odwrotną tendencją: prokurator generalny Teksasu zakazał wykonywania „jakiegokolwiek aborcji, która nie jest medycznie konieczna, by uratować życie lub zdrowie matki”. Za złamanie tego przepisu grozi kara 1 tys. dol. grzywny lub nawet pół roku więzienia.

Wcześniej podobne zasady wprowadził stan Ohio – tam procedury aborcyjne wymagające użycia środków ochrony osobistej, w tym rękawiczek i maseczek, muszą zostać wstrzymane jako „nieistotne”. I znów: chodzi o środki higieniczne i miejsca w szpitalach, które – zdaniem wielu Amerykanów – powinny służyć raczej do ratowania ludzkiego życia niż do jego pozbawiania.

Polscy zwolennicy swobodnego przerywania ciąży na razie dość nieporadnie usiłują wpisać się w klimat pandemii. Historyczne przekonywanie, że władza zamknęła granice, aby nie dopuścić do wyjazdów aborcyjnych Polek na Słowację, a pod osłoną kowidu Sejm zaraz przyjmie projekt ustawy zakazujący aborcji, brzmią komicznie.

Mam jednak wrażenie, że rząd bardziej zajmuje się dziś walką z epidemią niż ochroną życia dzieci nienarodzonych. Niestety (jak powiedzą jedni) lub na szczęście (jak stwierdzą inni).

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

OGNIEM NA WPROST

Mosad w polskim lesie



Podczas słynnej już poniedziałkowej sesji Sejmu głos zabrał poseł Konfederacji Grzegorz Braun. Poruszył ważki temat zakazu chodzenia po lesie. Gdyby nie kontekst, sprawa byłaby niewarta funta kłaków, tym bardziej że Sejm nie jest od tego, żeby zajmować się pierdołami. Ale – widać – się myliłem. Ten jeden z liderów ugrupowania „wolnościowego” (w każdym razie za takie się uważają) wypowiedział się o polecanej przez resort cyfryzacji w ramach informowania społeczeństwa o sposobach walki z pandemią aplikacji na smartfona, że grozi ona totalną inwigilacją obywateli. Jego zdaniem spiskiem na terenie Polski kieruje trio: Marek Zagórski (minister), Wanda Buk (podsekretarz stanu) i Adam Andruszkiewicz (sekretarz stanu). Ten ostatni był jeszcze niedawno posłem Ruchu Narodowego. Celem działania tej złowieszczej trójki jest doprowadzenie Polaków do takiego stanu, żeby sami na siebie założyli „takiego elektronicznego pastucha”. Idąc drogą prostych skojarzeń, Braun w ramach tego chytrego planu dostrzega zakaz wchodzenia do lasu. „Co wy tam knujecie w tych lasach? – dopytuje podejrzliwie. – Kto tam ma lądować w tej puszczy, że Polacy nie mogą wyjść na spacer, przewietrzyć się”. Jest pytanie, jest i odpowiedź. „Czy wy sami wiecie, co to za agenda? Może starsi i mądrzejsi objawiają wam z dnia na dzień. Co to za scenariusz, w którego odgrywanie tak się bardzo zaangażowaliście?”. I wszystko jasne. W polskich kniejach znajdują się tajne strefy zrzuć i lądowiska, które już od momentu wybuchu pandemii stanowią jeden z podstawowych elementów mostu powietrznego pomiędzy Polską a Izraelem. Do kraju są przetrzucani inżynierowie, agenci, bankowcy i rabini w celu sterowania najnowocześniejszą technologią inwigilacji Polaków. Ma ona służyć otumanieniu narodu i w konse-

kwencji wyrażeniu dobrowolnie zgody na odszkodowania za mienie bezspadkowe. Operację nadzorują Zagórski, Buk i Andruszkiewicz z Ministerstwa Cyfryzacji. Czas na dewastację telefonii komórkowej w RP, która znalazła się w rękach Mosadu i Szin Bet. Zniecierpliwiony elektorat pyta liderów Konfederacji: „Kiedy wybije godzina »W«?”.

Słynny z przestrzegania praworządności Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wydał postanowienie o zawieszeniu Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Dokładnie to wezwał do zawieszenia przepisów o Izbie Dyscyplinarnej w zakresie odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów. Ale tylko i wyłącznie sędziów, czyli nie: prokuratorów, adwokatów i notariuszy. Skoro zawieszenie przepisów o ID dotyczy wyłącznie sędziów z pominięciem innych zawodów prawniczych, to znaczy, że TSUE wszedł w narrację sędzi Ireny Kamińskiej i zgodził się na „wyjątkowość” tego zawodu. Tak więc sędziowie również według TSUE są kastą. Brawo Trybunał!

Zamknięci w domach i poddani kwarantannie celebryci są bliźniaczymi załamania nerwowego. Dlatego z ulgą przyjęli decyzję parlamentu o wyborach w maju. Nareszcie! Mamy swoje kolejne pięć minut. Możemy oprotować! Wszystko poszło po staremu. Dawne składki: Maciej Stuhr, Wojciech Mann, Paulina Młynarska i Krzysztof Zalewski. Ten ostatni wypowiedział się jak zwykle z klasą i na

poziomie, jak na celebrytę przystało: „Panie Jarosławie! Mój kot wpi...doli pana kotu!”. Do combo dołączyła jak zwykle egzaltowana Krystyna Janda ze swoimi mądrościami: „Ludzie, jeżeli ten absurd by się spełnił, to nie chodźcie tam! Po to także, żeby się ocalić jako ludzie”. Jednak wszystko przebiła inicjatywa pod hasłem „zestaw egzotyczny” Wojciech Mann plus patchworkowa rodzina Lisów. Wszyscy ścigają się z TVN i Czerską w strzykaniu jadem na rząd. Odpowiem krótko: „Nie świruj! Idź na wybory”. A jak nie chcesz, „to też niewielki kram”. Obejdzie się w tych ciężkich czasach bez wydawania niepotrzebnych kosztów na drugą turę.

W związku z pogarszającą się kondycją psychiczną przebywających w zamknięciu z powodu pandemii wykształconych mieszkańców wielkomiejskich ośrodków rząd Mateusza Morawieckiego rozważa przyjęcie pakietu pomocowego w ramach tzw. tarczy antykrzysowej. Polegać ma on na dofinansowaniu przez państwo zakupów rowerów stacjonarnych oraz tzw. bieżni domowych, a także na wydaniu odpowiednich przepisów w drodze rozporządzenia Rady Ministrów (podstawa prawna: Ustawa z dnia 5 grudnia 2008 r. „O zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi”). Przepisy te zobowiązują administratorów budynków wielorodzinnych do bezpłatnego użyczenia ćwiczącym pomieszczeń gospodarczych, takich jak komórki lokatorskie, piwnice, kanciapy, położonych na terenach osiedlowych, w celu montażu ww. urządzeń.

Andrzej Rafał Potocki

Ważne słowo: solidarność

Lech Kaczyński urodził się cztery lata po zakończeniu II wojny światowej. Jako nastolatek wraz ze swoim bratem Jarosławem zagrał w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Już wówczas, jako 13-latek, deklarował jednak, że w przyszłości chciałby zajmować się polityką. I zrealizował ten młodzieńczy plan, wypełniając go m.in. działalnością opozycyjną w Solidarności, a w wolnej Polsce pełnieniem funkcji senatora, posła, ministra w Kancelarii Prezydenta RP, prezesa Najwyższej Izby Kontroli, ministra sprawiedliwości, prezydenta Warszawy, by w 2005 r. zostać prezydentem Polski.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Lech Kaczyński miał wizję Polski silnej, nowoczesnej, świadomej swojej historii, aktywnie i suwerennie działającej na arenie międzynarodowej. W czasie swojej prezydentury odwiedził 36 państw, składając 116 wizyt. Prezydent był przekonany, że dla Polski gwarantem bezpieczeństwa, modernizacji i rozwoju jest realizacja idei Europy Ojczyzn. Jesienią 2009 r. Lech Kaczyński wynegocjował wszystkie postulaty Polski odnoszące się do traktatu lizbońskiego. Dotyczyły one w szczególności energetyki i gwarancji suwerenności państw narodowych. Za priorytety swojej polityki uważał współpracę i sojusz naszego kraju ze Stanami Zjednoczonymi. Zabiegał o posadowienie na terytorium Polski elementów tarczy antyrakietowej, która inicjatywa została odrzucona przez rząd Donalda Tuska.

W 2006 r. na forum Debaty Generalnej 61. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku postulował upowszechnienie globalnej solidarności państw w odpowiedzi na negatywne skutki globalizacji. Dążył do umacniania przyjacielskich stosunków z Niemcami i Rosją. Wspierał starania Gruzji i Ukrainy o akcesję do NATO. Za wielką wartość uznawał solidarność z narodami, które leżą na południowy wschód od Polski. Współpraca z odległymi państwami kaukaskimi opierała się na wspólnych doświadczeniach historycznych i planach dotyczących budowy łańcucha bezpieczeństwa energetycznego właśnie od dalekiego Kaukazu aż po kraje skandynawskie. Pod koniec 2007 r. podpisał z ukraińskim prezydentem Juszczenką deklarację poświęconą partnerstwu strategicznemu obu państw. Pracował nad poprawą stosunków polsko-litewskich. W sierpniu 2008 r., w obliczu inwazji wojsk rosyjskich na Gruzję, był inicjatorem podróży prezydentów Ukrainy, Litwy, Estonii i premiera Łotwy do Gruzji, by wspólnie uczestniczyć w wiecu politycznym w Tbilisi i udzielić poparcia prezydentowi Gruzji Micheilowi Saakaszwilemu. Zorganizowana przez Lecha Kaczyńskiego wizyta była demonstracją solidarności przywódców krajów Europy Środkowej i Wschodniej z zaatakowaną przez Rosjan Gruzją, która zwróciła uwagę międzynarodowej opinii publicznej i powstrzymała wejście Rosjan do stolicy Gruzji. Prezydent przewidywał, że rosyjskie zagrożenie dotyczy nie tylko Gruzji, lecz także Ukrainy, a w przyszłości również republik nadbałtyckich i Polski. Lech Kaczyński dążył

do zacieśnienia współpracy z państwami bałkańskimi. Opowiadał się za przystąpieniem Turcji do UE. Po śmierci Lecha Kaczyńskiego w bardzo osobistym liście Szymon Peres wyraził swoje uznanie dla jego działalności na rzecz polepszenia relacji polsko-izraelskich.

W 2006 r. powołał nowy order – Order Krzyża Wojskowego, który jest nadawany za zasługi w działaniach przeciwko terroryzmowi lub podczas operacji pokojowych. Odznaczył orderem Orła Białego Andrzeja Gwiadzę, Zbigniewa Herberta i Annę Walentynowicz. 57 odznaczonych przekazał cichym bohaterom stanu wojennego, którzy przez długie lata po obaleniu komunizmu pozostawali niedocenieni przez wolną Polskę.

Słowem przewodnim prezydentury Lecha Kaczyńskiego, i bez wątpienia całej jego drogi życiowej, była „solidarność”, która powinna stale towarzyszyć wolności. Uważał, że silnym społeczeństwem i silnym państwem możemy stać się tylko wówczas, gdy będziemy ze sobą współpracować i sobie ufać. Polska solidarna nie była idealistycznym celem, ale warunkiem zapewnienia nam zrównoważonego rozwoju.



Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość

o śmierci

ŚP.

MARTY OLSZEWSKIEJ

*działaczki opozycji antykomunistycznej i niepodległościowej
wybitnej dziennikarki prasy niezależnej i podziemnej,
odznaczonej Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.*

*Przez całe życie dawała wraz
z mężem Premierem Janem Olszewskim
przykład odważnego zaangażowania społecznego
i wielkiego patriotyzmu.*

Rodzinie oraz Bliskim

składam najszersze wyrazy żalu i współczucia.

Adam Glapiński

Prezes Narodowego Banku Polskiego

RZECZY POSPOLITE

Preppers

Preppersem zostałem w 2012 r., po spędzeniu dwóch tygodni w Nowym Jorku, akurat wtedy gdy na miasto uderzył huragan Sandy i przez tydzień w dużej jego części nie było prądu. To wtedy zobaczyłem, jak kruche jest bezpieczeństwo, którego uludą żyją (żyły dotychczas) społeczeństwa cywilizacji Zachodu, i że wystarczy... zwykły brak prądu, by waliło się wszystko. Wtedy, jak za pstryknięciem palcami, przestają działać internet i telefony komórkowe, stacje benzynowe, terminale płatnicze, bankomaty, pompy tłoczące wodę. Miasto ogarnia ciemność. Ludzie robią się przerażeni i bezradni. Natychmiast wzrasta przestępczość. Gangi ruszają z bronią na ulice, pamiętamy przecież sceny plądrowania sklepów na Florydzie po uderzeniach huraganów.

To dlatego od lat utrzymuję w domu zapas wody pitnej i żywności umożliwiający długie niewychodzenie z domu, mam dobrze zabezpieczoną apteczkę, nauczyłem się udzielania pierwszej pomocy i zawsze wożę ze sobą przynajmniej maseczkę do sztucznego oddychania.



**Tomasz
Łysiak**

Takie sytuacje jak ta – z koronawirusem – pokazują, że istnieją dwa obszary, na których dobrze zorganizowane państwo powinno być przygotowane na wszelkiego rodzaju klęski (powódź, susza, wojna, epidemia, promieniowanie radioaktywne). Pierwszym jest poziom instytucjonalny. Tu wyraźnie potrzeba jednego, doskonale wyposażonego i zorganizowanego centrum ostrzegającego przed zagrożeniami, mającego zespoły ekspertów i technologie, a także spinającego działania innych służb z różnych dziedzin. Takie centrum powinno alarmować i przygotowywać państwo na złe scenariusze, zanim zrobią to organizacje światowe (jak WHO, która działa w takim tempie, jak widać).

Drugim poziomem jest przygotowanie obywateli do tego typu wyzwań. To wymaga wieloletniej, zakrojonej na szeroką skalę pracy – nauki odpowiedzialności i takiego sposobu zachowań ludzi, którzy sami z siebie przygotowują się na różne zagrożenia, uczą się, a w wypadkach ekstremalnych reagują dojrzałe. W pewnej mierze na rozsądną skalę każdy powinien być swego rodzaju preppersem – człowiekiem zawsze gotowym na różne scenariusze. Bo życie to nie bajka. **///**

Unijny szmonces

Jeśli winen jestem komuś stówkę, to mój problem, ale gdy wiszę mu sto tysięcy i więcej, to już nie mój, to jego problem. Koronawirus nas dopadł, wydatki na walkę z tą śmiertelnością pandemią rosną, kasy pustoszeją. Pół biedy, jeśli jest z nich co wybierać, cała bieda, gdy w nich pusto i nie ma nawet z czego starych długów spłacać. No, ale gdy śmierć czyha w powietrzu, czy ktoś odmówi potrzebującemu?

Zadłużone po uszy Francja i Włochy, przy wsparciu równie obciążonej Hiszpanii, uderzyły w nutę solidarności: niech Unia Europejska dodrukuje pieniądze lub wyda euroobligacje, no bo trwoga i pożoga. Tyle że Unia własnych pieniędzy nie ma, a dysponuje jedynie tym, co członkowie wspólnoty wpłacają, z nami włącznie. W końcu to myślimy wymyśliли Solidarność, więc jak tu nie poprzec? Niby w eurostrefie nie jesteśmy, ale każdy głos się liczy. Tym bardziej że te wredne Niemce i pomniejszych kraje, jak Holandia na przykład, solidaryzować się nie chcą. Tak w każdym razie mówi się w Paryżu czy w Rzymie.

Rzecz w tym, że nie o solidarność tu chodzi, a o gigantyczne zadłużenie południowców właśnie, a w detalu o zinstrumentalizowanie Europejskiego Banku Centralnego i rozłożenie ich niefrasobliwego gospodarowania finansami na cudzych, w tym naszych, barkach. Kwestia upolitycznienia eurobanku



**Piotr
Cywiński**

była przedmiotem wielkiego konfliktu między Francją a Niemcami już podczas uzgadniania unijnego traktatu z Maastricht. Ten sam temat powrócił na marginesie kryzysu eurowaluty w 2008 r. Ale nawet wówczas, w tak trudnej sytuacji, Niemcy nie zgodziły się na podporządkowanie EBC dłużnikom i nie ustąpiły w sprawie euroobligacji. Na marginesie prezydent Francji Emmanuel Macron jeszcze przed wybuchem pandemii bezskutecznie naciskał na kanclerz Angelę Merkel, żeby – mówiąc ogólnie – cała Unia partycypowała w spłacaniu francuskiego zadłużenia. Nie wyszło, Berlin nie ustąpił.

Dziś, w obliczu walki z koronawirusem, Francja zyskała dodatkowych, równie niewypłacalnych sprzymierzeńców. Rozumiem pojęcie solidarności, ale wobec życia południowców wspólnoty na kredyt, gdy o pandemii nikt jeszcze nawet nie myślał, mam poważne obawy, czy ustępstwa na ich rzecz nie zachwieją stabilnością finansową całej Unii i nie uderzą pośrednio także w nasze portfele. Pożyczki mają to do siebie, że trzeba je kiedyś spłacić. I tu przypomnia mi się stary szmonces: „Panie Rapaport – pyta Goldberg – kiedy mnie pan oddasz te pieniądze, co je pan ode mnie pożyczyleś, ile razy ja się mam pana prosić? Na to Rapaport: – A ile razy ja się pana musiałem naprosić, żebyś mnie pan je pożyczył...?”. **///**

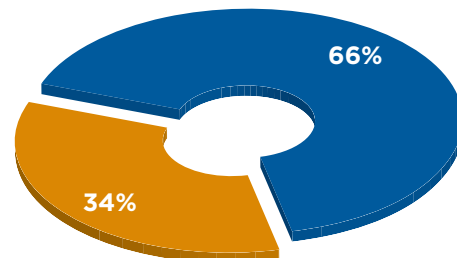
RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

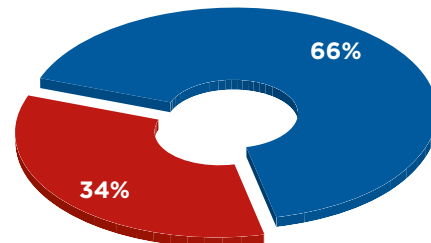
Na którą z poniższych osób oddałaby Pani/odałby Pan głos w drugiej turze wyborów prezydenckich?

Andrzej Duda



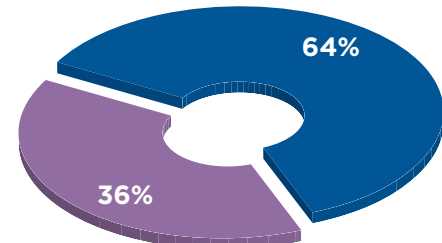
Małgorzata
Kidawa-Błońska

Andrzej Duda



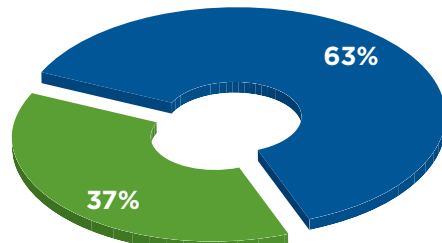
Robert Biedroń

Andrzej Duda



Szymon Hołownia

Andrzej Duda



Władysław
Kosiniak-Kamysz

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1062.

Zakres czasowy badania 27-30 marca 2020 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE, MARCIN FLJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYŻA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOREDACJA: ANNA LABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTŁOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARINĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ADAM BURAKOWSKI/REPORTER, ANDRZEJ MNACZUK/REPORTER, PIOTR ZAGIEL/REPORTER, EAST NEWS, MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK.COM, SERGIO NALU

Co! spalić te wybory

Decyzja o przeprowadzeniu wyborów w maju należała do najtrudniejszych z tych, które musiał podjąć obóz rządzący w ciągu ostatnich pięciu lat. Argument, że jeśli się nie odbędą, Polska wpadnie w długi okres chaosu, i to właśnie wtedy, gdy stabilność będzie niezbędnym warunkiem pokonania skutków epidemii, był jednak rozstrzygający



Chyba możemy już sobie wyobrazić, jak ten dzień wyborów prezydenckich będzie wyglądał. Z jednej strony pełna mobilizacja struktur państwowych, w tym Poczty Polskiej, by głosowanie było możliwie najbezpieczniejsze i sprawnie przeprowadzone (o tym więcej w artykule Marka Pyzy na s. 23). Z drugiej – mnożące się akcje totalnej opozycji, która spróbuje wykreować wrażenie, iż dzieje się coś strasznego, a opór wobec wyborów wytwarzają jakiś polityczny moment zwrotny. Plan ten widać dobrze na filmie, który od kilku dni kolportują w internecie tzw. Obywatelskie RP, organizacja skrajna, ale wpływowa w środowiskach medialnych obozu III RP. Widać na nim ludzi przekazujących sobie płonącą kartę – w domyśle wyborczą – i wypowiadany wspólnie tekst: „Jeśli w maju przeprowadzą głosowanie, to nie będą wybory. Bandyckie przepisy nie są prawem, a uchwalające je zgromadzenie nie jest Sejmem RP. W dniu tego głosowania połamamy wszystkie zarządzenia władzy, a im wyższe chcą dać kary, tym lepiej”.

Warto zauważyć, że wśród osób akceptujących tak agresywny manifest jest Piotr Niemczyk, na początku lat 90. jeden z szefów Urzędu Ochrony Państwa. W tamtym okresie nastąpiło zespolenie części byłych środowisk esbeckich z częścią świata byłej opozycji solidarnościowej. Może to wskazywać na chęć użycia tych zasobów w akcji antywyborczej. Jedno nie ulega wątpliwości: opozycja już wie, że wybory odbędą się w maju, zapewne 17 lub 24. Swoją linię oporu przesunęła zatem z okopu pod hasłem „Nie dla wyborów” na punkt, nad którym wisi plakat z napisem: „Wybory będą, ale my zrobimy wszystko, by były jak najgorsze i by wam było jak najtrudniej”.

PRÓBY BLOKADY

Marszałek Senatu Tomasz Grodzki już dał do zrozumienia, że tam, gdzie polskiej demokracji najbardziej pomo-



MICHAŁ KARNOWSKI

głaby szybka praca nad uchwaleniem zasad korespondencyjnych wyborów, on zorganizuje coś przeciwnego. W planach ma rozciągnięcie na 30 dni przedstawienie – konsultacje, zasięganie opinii, marszczenie brwi, medialne popisy. Tak jak zawsze, kiedy interes obozu III RP leży na szali (i tylko wtedy), do nakręcania atmosfery konfliktu włączył się także Donald Tusk. „Poczta Polska powinna Polakom dostarczyć maseczki zamiast pakietów do głosowania. Trzeba ratować życie, nie władzę” – stwierdził.

Widać tu linię opowieści konsekwentnie prowadzoną przez środowisko Platformy Obywatelskiej: cała dyskusja nie jest rzekomo rozmową o wyborach, których przeprowadzenie jest wymagane bezwzględnie przez konstytucję, ale walką obozu Zjednoczonej Prawicy o zachowanie władzy. Dlaczego tak ma być, nie bardzo wiadomo. Ani sondaże dające przewagę prezydentowi Andrzejowi Dudzie w walce o reelekcję, ani generalnie pozytywne oceny Polaków rządu w czasie walki z epidemią nie dają podstaw do takich zarzutów. Dlaczego niby obóz rządzący miał się znaleźć w sytuacji konieczności „ratowania władzy”, dlaczego i kogo Jarosław Kaczyński ma się „bać” – trudno pojąć.

KLĘSKA KIDAWY

Warto więc odwrócić pytanie: czym dla obozu platformerskiego jest walka o przesunięcie terminu wyborów? Odpowiedź wyłania się z sondaży i przebiegu kampanii: grą o uratowanie cienia szansy na zwycięstwo, bitwą o anulowanie przewidywanej już klęski. Ta klęska byłaby tym bardziej bolesna, że doznana nie tylko w starciu z prezydentem Dudą, ale także z konkurentem z opozycji: Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Im dłużej to trwa, tym wyraźniej widać, jaką pomyłką było wystawienie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej w tych

wyborach. Gubi wątki, zmęczenie odbiera jej zdolność poprawnego wysławiania, nie ogarnia wszystkich spraw, które kandydat ogarniać musi. Coraz częściej przegrywa w sondażach z kandydatem PSL. Bliski opozycji publicysta „Polityki Insight” Wojciech Szacki ocenił w Radiu Tok FM: „Za każdym razem, jak coś mówi, to widzę niepokój i mam wrażenie, że nie jest to obawa o los Polski, tylko strach przed tym, że za chwilę powie coś, z czego później będzie śmiało się pół internetu”. Co ciekawe, ta obserwacja przeczy tezie, że nie było warunków do prowadzenia kampanii wyborczej. Małgorzata Kidawa-Błońska straciła tak bardzo nie dlatego, że nie miała możliwości wystąpienia, ale ponieważ mówiła dużo i Polacy uważnie jej słuchali.

Ciekawie ujął to na antenie „Salonu dziennikarskiego” Piotr Semka z tygodnika „Do Rzeczy”, przypominając, że tuż po nominacji Kidawy-Błońskiej politycy PO pytali zachwyceni samych siebie: „Jak mogliśmy wcześniej na to nie wpaść?”. I wskazując, że nie przypadkiem nikomu taki pomysł przez lata nie przyszedł do głowy, bo pewna sympatyczność tej działaczki PO pozwalała jej z sukcesem i zyskiem dla całej formacji pracować w drugiej linii, ale nie ma w niej potencjału na lidera. Wygląda zatem, jakby popełniono ten sam błąd, co przy wskazaniu Ewy Kopacz na następczynię Donalda Tuska w roku 2014.

DLA PO TO WALKA O WSZYSTKO

Takie pomyłki mają swoje konsekwencje. Wybór Kopacz na premiera ułatwił Prawu i Sprawiedliwości zwycięstwo w roku 2015. Teraz rysująca się na horyzoncie upokarzająca porażka Kidawy-Błońskiej może umożliwić politykom PSL i Lewicy przejęcie dużej części zasobów Platformy. W powietrzu unosi się już zapach możliwego łupu. Partia, która nie jest w stanie wskazać sprawnego przywództwa ani silnego kandydata na prezydenta, nie może tak bardzo dominować nad innymi po stronie opozycyjnej. Wymuszenie zmian w wzajemnych relacjach, zabicie poparcia dla PO, to dla pozostałych wielka szansa, a dla PO śmiertelne zagrożenie. Dlatego ta własna partia musi uczynić wszystko, by ten

moment odwlec w czasie. Walka z majowym terminem wyborów jest tu zasadniczym środkiem, jakim dysponuje.

Snuta cynicznie i wulgarnym językiem opowieść o opozycji o strasznym rzekomo Jarosławie Kaczyńskim, który w oderwaniu od zwykłych Polaków chce wyborów, by „po trupach” utrzymać władzę, to jedno z największych oszustw politycznych ostatnich miesięcy. W rzeczywistości jest odwrotnie: scenariusz bez wyborów prezydenckich to dla Polski wiadomość najgorsza z możliwych, perspektywa chaosu w najgorszym z możliwych momentów – gdy będziemy walczyli o wyjście z kryzysu.

W czasie gdy kluczowe będzie skupienie na ochronie (lub przywróceniu) miejsc pracy, na mobilizacji wszystkich sił do wygrania walki konkurencyjnej w globalnej gospodarce, do utrzymania programów prorodzinnych, Polacy dostaliby wściekły atak opozycji.

WIELKIE WYZWANIE

Wszyscy musimy mieć świadomość, że przed nami kryzys, jakiego nie znaliśmy od roku 1989. Być może – jak się uda – krótkotrwały, ale na pewno bardzo głęboki. Tak poważny, że nie ma rządu, który jest w stanie go zupełnie zatrzymać, anulować jego skutki. Ale od sprawnej, stabilnej władzy, od współdziałania prezydenta, premiera, Sejmu, będzie zależało, czy uda się go zmniejszyć, a potem z niego możliwie najszybciej wyjść.

Z tej perspektywy wybory w maju, choć trudne i wymagające, są ceną wartą zapłacenia za kontynuowanie rozwoju Polski, za niezamarnowanie tego, co osiągnęliśmy w ostatnich latach. Pozornie atrakcyjne i proste ich przesunięcie oznaczałoby zaś piekło anarchii, a w konsekwencji trwale zejście na znacząco niższy szczebel rozwoju. Narody i państwa, które sprawnie z tego zamrożenia wyjdą, mogą na tym nawet w rywalizacji zyskać. Te, które zatracą się w wojnie politycznej, mogą bardzo dużo stracić. Na przykład ich kluczowe firmy zostaną przejęte przez tych, którzy będą mieli kapitał.

I pamiętajmy – to nie Prawo i Sprawiedliwość chce zrobić wybory, ale musi je przeprowadzić państwo polskie – zgodnie z obowiązującym prawem. Prezydent bez mandatu demokratycznego będzie natychmiast podważany w swojej prawomocności. Czy ktokolwiek z dziś namawiających do przesunięcia wyborów może zaręczyć, że dzień po upływie konstytu-

**Atak będzie potężny.
Od możliwego sabotowania
działań (próby rewoltowania
pracowników Poczty) po
wezwanie do bojkotu, a może
i akcje fałszerstw, by proces
wyborczy skompromitować**

cyjnej kadencji prezydenta Andrzeja Dudy opozycja nie zacznie twierdzić, iż nie jest to już legalny prezydent? Że podpisywane przez niego ustawy nie mają już mocy prawnej? Nie sądzę. Doświadczenia obozu Zjednoczonej Prawicy z ostatnich lat jednoznacznie wskazują, że z opozycją, która sama siebie nazwała totalną, nie da się porozumieć. Że jedyne, o czym ona myśli, to przejęcie władzy.

OPOZYCJA GRA NA KŁĘSKĘ POLAKÓW

Czyni tak i teraz: Małgorzata Kidawa-Błońska, Donald Tusk, Borys Budka i inni z tej formacji doskonale rozumieją wagę stabilności politycznej w walce ze skutkami katastrofy, jaka spadła na świat. Ale właśnie dlatego chcą, by Polsce się nie powiodło. Grają na kłeskę, zgodnie z założeniem, że im gorzej będzie w kraju, im ciężiej będzie Polakom, tym łatwiej odzyskają władzę. Choćby na gruzach planów i marzeń milionów Polaków.

Teraz, w sytuacji załamania się ich kampanii prezydenckiej, doszedł jesz-

cze jeden czynnik pchający ich w tym kierunku, czyli chęć uniknięcia upokorzenia ze strony innych formacji opozycyjnych. Pewną rolę gra tu również presja ze strony wielkiego kapitału prywatnego, także medialnego: gdyby wybory przesunąć poprzez wprowadzenie stanu klęski żywiołowej, mógłby on liczyć na wielkie odszkodowania ze strony skarbu państwa.

Smutek, żal, które przewijają się w wypowiedziach stwierdzających, iż ofiar jest w Polsce mniej, niż można się było obawiać, że rząd premiera Mateusza Morawieckiego sobie jednak radzi, że ochronił Polaków i przedstawia kolejne tarcze antykryzysowe – to nam mówi wszystko o intencjach totalnej opozycji. W tym kontekście cała akcja Jarosława Gowina, chybotanie rządową łódką w imię mirażu porozumienia z opozycją wokół przedłużenia kadencji prezydenta Andrzeja Dudy, jawi się jako niezrozumiała, nierozsądna akcja polityczna podjęta w wyjątkowo trudnym dla Zjednoczonej

Prawicy momencie.

WYBÓR ZERO-JEDYNKOWY

To będą trudne miesiące. Atak będzie potężny. Od możliwego sabotowania działań (próby rewoltowania pracowników Poczty) po wezwanie do bojkotu, a może i akcje fałszerstw, by proces wyborczy skompromitować. Wszyscy, którzy rozumieją stawkę, o jaką toczy się walka – a są nią elementarna sprawczość i stabilność Rzeczypospolitej w czasie wielkiej katastrofy światowej – muszą zachowywać powagę i tam, gdzie trzeba, być gotowi do działania.

Widać dziś wyraźnie, że prezes Jarosław Kaczyński trafnie rozpoznał w momencie wybuchu kryzysu, że odsuwanie wyborów prezydenckich jest nie tylko niemożliwe, ale oznacza także wielopiętrowe konsekwencje, które odebrałyby Polsce kluczowy atut: stabilność polityczną. To był i jest wybór zero-jedynkowy: głosowanie w maju, a potem stabilność i skupienie na walce z kryzysem albo historyczna, piekielna, pewnie trwająca rok, kampania. 

Korespondencyjnie, czyli bezpiecznie

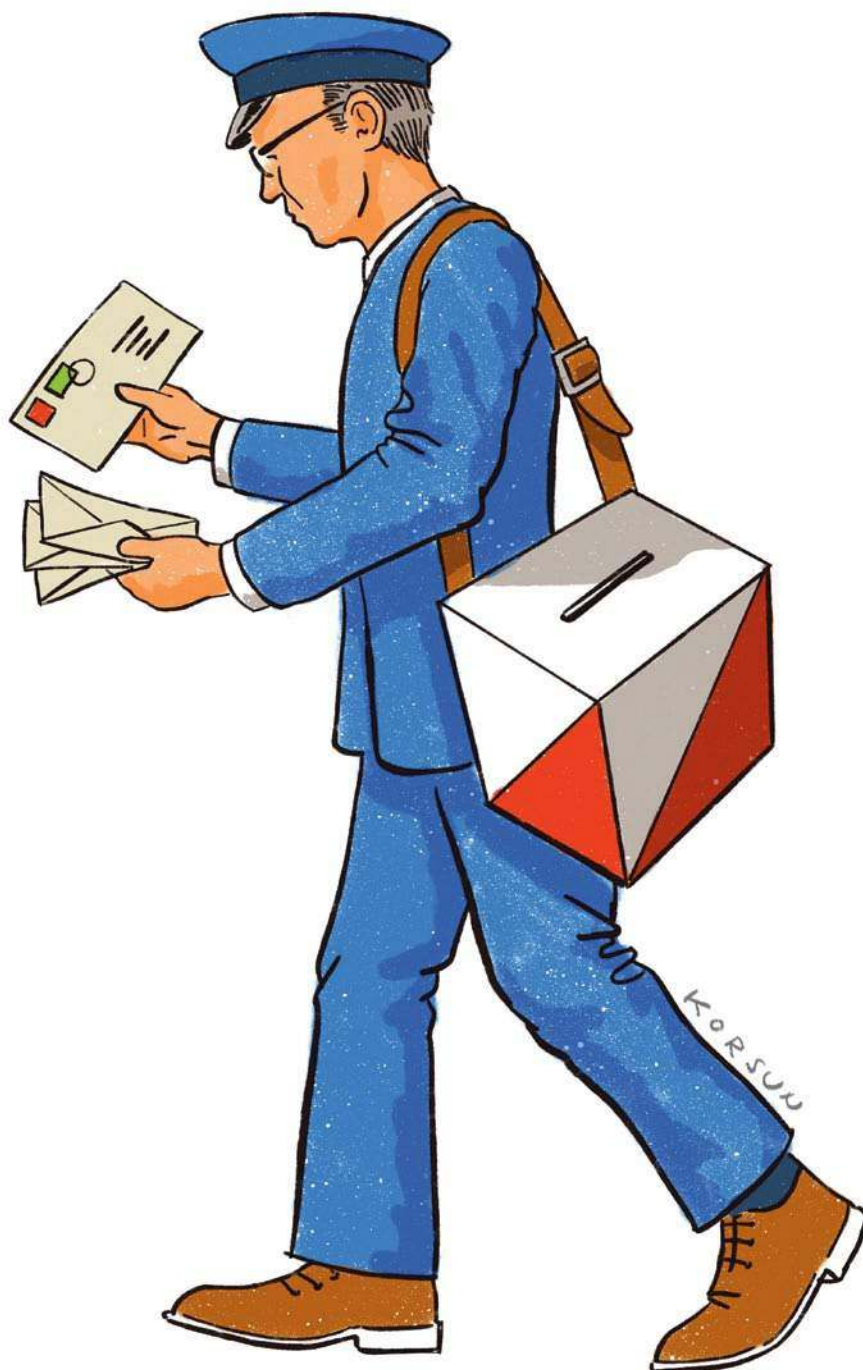
To będzie zupełna nowość w polskiej demokracji. Po raz pierwszy weźmiemy udział w powszechnym głosowaniu korespondencyjnym.

Opozycja histeryzuje, ale nie ma żadnych powodów sądzić, że taka formuła wyborów wpłynie na rozprzestrzenienie się epidemii. Nie tylko dlatego, że nie będzie lokali wyborczych. A jak to wszystko się odbędzie?



MAREK PYZA

Jest jeszcze trochę pytań związanych z formułą głosowania, bo czekamy na szczegółowe przepisy określające niuanse procedury wyborczej. Znajdą się one w rozporządzeniach wydanych przez ministra aktywów państwowych. To na wicepremierze Jacku Sasinie spoczywać będzie ciężar przygotowania elekcji. Znamy jednak projekt ustawy i dotychczasowe wyjaśnienia przedstawicieli rządu, które pozwalają spokojnie czekać na maj.



WYZWANIE DLA POCZTY

Na wysokości zadania musi stanąć Poczta Polska. Czy podola? A dlaczego miałyby nie podolać? Owszem, przez długie lata spółka miała pod górkę i słabła w oczach. Nic dziwnego, skoro orędownicy wygaszania wszystkiego co polskie i otwierania naszego rynku na firmy zagraniczne konsekwentnie oslabiali pozycję Poczty, za wszelką cenę dążąc do liberalizacji usług.

W 2008 r. rozpoczęto przygotowania do jej prywatyzacji. Na szczęście nie doszło do tego. Zabrano za to spółce kontrakt na przesyłki sądowe, a także próbowano odebrać najbardziej dochodowe segmenty rynku, jak doręczanie niewielkich przesyłek (pięć lat temu stanowiły ponad 70 proc. całego rynku pocztowego i generowały niemal połowę jego przychodów). Stało się to w 2013 r., kiedy rynek pocztowy został otwarty dla konkurencyjnych w stosunku do Poczty Polskiej operatorów.

W 2015 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała miażdżący raport pokazujący, że przeprowadzona w latach 2011–2014 restrukturyzacja „polegała głównie na redukcji placówek pocztowych i zatrudnienia”, a więc „nie sprzyjała poprawie dostępu do powszechnych usług pocztowych”. Za tym szło rosnące niezadowolenie klientów z szybkości obsługi, wysokości cen oraz pracy listonoszy.

Dziś Poczta Polska doręcza codziennie 5 mln listów i 350 tys. paczek. Dysponuje 7,6 tys. placówek (ta liczba sukcesywnie rośnie od 2015 r.) i 16 tys. skrzynek pocztowych. Zatrudnia ponad 80 tys. pracowników, w tym prawie 30 tys. kurierów i listonoszy. Na dostarczenie pakietów wyborczych do 15 mln gospodarstw domowych będzie mieć kilka dni. Na jednego listonosza przypadnie więc kilkaset pakietów, rozłożonych na kilka dni. 100 pakietów na jeden dzień. To niewielkie wyzwanie.

Władze Poczty nie zabierają głosu w debacie publicznej dotyczącej przeprowadzenia wyborów korespondencyjnie. Nie odnoszą się do lamentów tych, których rządy zmierzały do upadku przedsiębiorstwa. Po prostu

przygotowują się do wypełnienia obowiązku, jaki czeka spółkę. A ten w zasadzie będzie się ograniczał do dwóch działań – dostarczenia wszystkim wyborcom pakietów do głosowania i przetransportowania głosów do komisji wyborczych.

PAKIET DO SKRZYNKI

W przesyłce, która ma trafić do naszej prywatnej skrzynki pocztowej (tu szczegółowy tryb doręczenia będzie doprecyzowany w rozporządzeniu resortu aktywów państwowych, wiadomo, że pakiet dostaniemy w ostatnim tygodniu przed wyborami), znajdować się będzie następujący zestaw: instrukcja, karta do głosowania, oświadczenie

Dlaczego stanie w kolejce do skrzyni wyborczej ma być ryzykowne, a identyczne stanie w kolejce do sklepu (przy zachowaniu odpowiednich odstępów) już nie?

o osobistym i tajnym oddaniu głosu z danymi osobowymi, m.in. numerem PESEL (ma zastąpić legitymowanie się przed komisją) oraz dwie koperty – jedna tylko na kartę do głosowania (nazwijmy ją „wewnętrzną”) oraz druga („zewnątrzną”), do której włożymy oświadczenie oraz kopertę z głosem.

17 maja (to najbardziej prawdopodobna data wyborów) wszystko będzie już w naszych rękach. Wtedy między godz. 6 a 20 trzeba będzie na chwilę wyjść z domu, by zagłosować (kopertę możemy też przekazać zaufanej osobie). Skrzynie na głosy mają być ustawiane przed budynkami, w których dotychczas znajdowały się lokale wyborcze. Aby zwiększyć liczbę punktów, w których można zagłosować, a tym samym zmniejszyć możliwość gromadzenia się ludzi, rząd rozważa

umieszczenie skrzyń również przed urzędami pocztowymi, bankami, komisariatami oraz na państwowych stacjach benzynowych. Każda skrzynia będzie pilnowana przez wojsko lub policję. Rząd planuje też uruchomienie specjalnej aplikacji (oraz druk map), która wskaże nam skrzynię najbliższą miejscu zamieszkania.

Głos umieścimy w kopercie wewnętrznej, oznaczonej napisem „koperta na kartę do głosowania” (nie będzie zawierała żadnych innych informacji) i wrzucimy do skrzyni. Ta po zakończeniu głosowania zostanie przetransportowana do siedziby obwodowej komisji wyborczej (Poczta Polska ma na to trzy godziny od zakończenia głosowania). Komisja najpierw sprawdzi, czy w kopercie zewnętrznej znajduje się oświadczenie o osobistym oddaniu głosu. W przypadku poprawnie wypełnionego oświadczenia wciąż zaklejona koperta wewnętrzna z głosem trafi do urny wyborczej. Po skompletowaniu anonimowych głosów nastąpi ich wypisanie z urny i przeliczenie. Ważne, by kopertę z głosem zakleić! Jeśli tego nie zrobimy, głos będzie nieważny. Podobnie gdy w kopercie znajdzie się więcej niż jeden głos.

Wśród licznych przepisów, które doprecyzuje w rozporządzeniach minister aktywów państwowych, znajdują się też m.in. te dotyczące doręczania pakietów osobom przebywającym na kwarantannie, w szpitalach czy więzieniach, a także odbierania od nich kopert zwrotnych.

Do spisu wyborców będzie się można dopisać najpóźniej w dniu wejścia w życie ustawy (czyli kilka dni przed wyborami). To ważna informacja dla tych, którzy chcieliby zagłosować, a nie przebywają w miejscu swojego zameldowania. Tylko jak to zrobić, gdy nie wolno się przemieszczać? Najprawdopodobniej będzie to można zrobić zdalnie – przez telefon.

Przepisy mają jeszcze kilka niewypełnionych luk. Nie wiadomo, jakie procedury będą obowiązywać wyborców za granicą. Ustawa przewiduje, że muszą oni zgłosić zamiar głosowania konsulowi do 14. dnia przed wyborami.

Tyle że do tego czasu ustawa może jeszcze nie być uchwalona, bo z zapowiedzi i działań marszałka Senatu wynika, że sechce wykorzystać maksymalny 30-dniowy termin procedowania w Izbie Wyższej, co opóźni ostateczne przyjęcie przepisów przez Sejm.

Wciąż nie jest też jasne, jak będziemy mogli zagłosować, gdy ktoś ukradnie nam pakiet ze skrzynki (wiadomo, że jest to przestępstwo zagrożone karą nawet trzech lat więzienia). Albo co w sytuacji, gdy skrzynki na klatce schodowej są uszkodzone i nie zapewniają bezpiecznego pozostawienia pakietów. Na dookreślenie tego typu wątpliwości jest jeszcze kilka tygodni.

WŚCIEKLIZNA OPOZYCJI

Ta sama opozycja, która parę lat temu forsowała głosowanie korespondencyjne, dziś nie chce o nim słyszeć. Powód jest jasny – jeśli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, żaden z kontrkandydatów Andrzeja Dudy nie będzie miał większych szans w starciu z urzędującym prezydentem. Trwa więc festiwal kłamstw na temat niekonstytucyjności głosowania korespondencyjnego, a także prorocstwa gwałtownego wzrostu zakażeń, na jakie będziemy narażeni przy wyborach. „Krew na rękach” czy doprowadzanie Polaków „do urn” odmieniane są przez wszystkie przypadki.

Ale nie wytrzymuje to konfrontacji z logiką. Jak i kiedy mielibyśmy się bowiem zarażać? Czym różni się rzekome niebezpieczeństwo związane z wyciągnięciem ze skrzynki pakietu wyborczego od towarzyszącego wyjmowaniu zwykłego listu, reklamy czy awiza? Dlaczego ewentualne stanie w kolejce do skrzynki wyborczej ma być ryzykowne, a identyczne stanie w kolejce do sklepu (przy zachowaniu odpowiednich odstępów) już nie? Przy zachowaniu podstawowych środków ostrożności, jakie stały się nieodłącznym elementem naszej codzienności, głosowanie korespondencyjne jest najbezpieczniejszym, jakie dziś można przeprowadzić.

W debacie fruwają też argumenty opierające się na doświadczeniach innych państw. Obóz władzy wskazuje

m.in. na przykłady Szwajcarii (przed tygodniem korespondencyjnie wybrano tam władze w trzech kantonach), Korei Południowej (która 15 kwietnia wybierze korespondencyjnie parlament), a przede wszystkim Bawarii, gdzie 15 i 29 marca odbyły się wybory lokalne.

Do landu z południa Niemiec chętnie odwołuje się też opozycja, która podnosi, że po tygodniu od drugiej tury bawarskiej elekcji niemal dwukrotnie wzrosła tam liczba zakażonych koronawirusem (do ponad 24 tys. przypadków), a ofiar śmiertelnych – czterokrotnie (do 437). Te statystyki robią furorę na kontaktach w mediach społecznościowych polskich polityków wrogich wobec rządu. Ale nie chcą oni zauważyć innych. Np. takich, które pokazują, że w Polsce w identycznym okresie (29.03–06.04) wzrost zakażeń był... ponaddwukrotny, a liczba ofiar zwiększyła się pięciokrotnie. Bez wyborów. Może więc głosowanie w Bawarii nie miało jednak żadnego znaczenia dla rozwoju epidemii?

OBŁUDA Z NIEMIEC

Zresztą sami Niemcy wykazują się wyjątkową hipokryzją, gdy opowiadają o planach polskich władz. 4 kwietnia największa niemiecka gazeta „Süddeutsche Zeitung” (z siedzibą w Bawarii) pisała: „Zgodnie z demokratycznymi standardami polskie wybory prezydenckie 10 maja powinny zostać przełożone ze względu na brak kampanii wyborczej, a trwającą pomimo to propagandą państwa na rzecz urzędującego prezydenta Andrzeja Dudy, jak również z uwagi na nieodpowiedzialne narażenie milionów obywateli i obywateli w czasie pandemii”. I dodawała: „Ale demokratyczne standardy najwyraźniej nie interesują rządzącej partii PiS”.

I nie byłoby w tym nic dziwnego – ot, rytualny atak tego pisma na polski rząd – gdyby nie publikacja w tym samym dzienniku z 30 marca zatytułowana: „Eksperyment wyborczy zakończył się sukcesem”. Artykuł podsumowujący głosowanie w Bawarii rozpoczynał się od słów: „Wybory lokalne pomimo kryzysu koronawirusa? Istniały obawy,

czy to się uda. Mieszkańcy Monachium w imponujący sposób rozwiali wątpliwości” – cieszyła się gazeta.

I dalej: „Obawy były potężne. Tak duże, że tydzień przed głosowaniem parlament stanowy uchwalił regulację prawną gwarantującą legalność głosowania. Wybory jako głosowanie korespondencyjne to nowość w historii Bawarii. Ta nowość miała w Monachium szczególne znaczenie. Ponieważ tu wyjątkowo duża liczba osób jest zarażona koronawirusem, a pandemia w szczególnie sposób wpływa na codzienne życie”.

Dziennik podkreśla, że taka decyzja niemieckich władz oznaczała eksperyment. I przywołuje rodzaje się na początku wątpliwości: „Co zrobić, jeśli dokumenty wyborcze nie trafią na czas do mojej skrzynki pocztowej? Gdzie umieścić list, jeśli nie mogę go oddać do dnia wyborów?”. Dalej „SZ” odnotowuje, że kampanii prawie nie było, w zasadzie przeniosła się do internetu, ale wyborców to nie zraziło. „Süddeutsche Zeitung” tryska euforią: „Mieszkańcy Monachium imponująco rozwiali te obawy w niedzielę. Po południu do departamentu administracji landu przybyło 600 tys. pocztowych kart do głosowania. Chęć głosowania była większa niż w pojedynku Reitera z Josefem Schmidem (CSU) w 2014 r., kiedy frekwencja wyniosła zaledwie 38,5 proc. Teraz była tak duża, że Reiter może rządzić z przytłaczającym mandatem w ciągu najbliższych sześciu lat”.

Warto zapytać: jak to więc jest, szanowni sąsiedzi? U was wybory korespondencyjne w czasie epidemii mogą się zakończyć wielkim sukcesem, a u nas nie? U was nie ma zagrożenia epidemicznego (mimo setek ofiar w jednym landzie), a u nas jest?

Nie da się wytłumaczyć ani obłudy Niemców wobec Polaków, ani manipulowania danymi i stosowania zwyczajnych kłamstw przez polską opozycję wobec swoich rodaków.

Wybory korespondencyjne są bezpieczne. I nie tylko da się je przeprowadzić, ale wręcz trzeba. Dla dobra naszej demokracji, o którą rzekomo tak drżą krytycy polskiego rządu – i ci nad Wisłą, i ich przyjaciele znad Renu. 

Czeka nas z Kaczyńskim poważna rozmowa

Uratowałem jedność rządu swoją dymisją. Uważam, że stanąłem na wysokości zadania
– mówi **Jarosław Gowin**, prezes Porozumienia, były wicepremier, w rozmowie z **Marcinem Fijołką**

W co pan gra, panie Gowin?

Jarosław Gowin: W Polskę. A dla naszego kraju ważne jest, by jak najszybciej odłożyć wybory prezydenckie i skoncentrować się na jedynej rzeczy, jaką jest ważna: walce o zdrowie, życie, ale i miejsca pracy Polaków. By nasze rodziny stać było na zapłatę czynszu, spłatę raty kredytu. Ponieważ nie przekonałem do przełożenia wyborów naszych koalicjantów z PiS, a opozycja nie chce się zgodzić na zmianę konstytucji, podałem się do dymisji.

Politycy PiS też mówią to co pan: ale ich wniosek jest inny. Wybory trzeba szybko zamknąć, a na kryzys gospodarczy reagować skutecznie, bez związania rąk totalną kampanią wyborczą.

Wszyscy wiedzą, że wybory tradycyjne nie mogą odbyć się 10 maja. I dlatego pomysł wyborów korespondencyjnych uważam za trafny. Niemniej jednak musi to być uzupełnione

o vacatio legis, przesuwającym wybory na czas bezpieczniejszy.

Dlaczego?

Jeżeli wybory odbyłyby się 10 maja metodą korespondencyjną, to byłoby źle przygotowane organizacyjnie, ich wynik byłby kwestionowany, a mandat przyszłego prezydenta

byłby podważany. Wreszcie przykład Bawarii pokazuje, że tego typu wybory nie są do końca bezpieczne na poziomie zdrowotnym. Nawet tam po wyborach doszło do wzrostu zachorowań.

W każdym landzie wzrosło, to żonglerka danymi.

To prawda, ale w Bawarii był to poziom wyraźnie wyższy niż średnia niemiecka.

Wróćmy do spraw technicznych. Wicepremier Jacek Sasin mówi jasno: postawimy na baczność pocztę, zmobilizujemy urzędników, pakiety dotrą do skrzynek. Damy radę, tylko trzeba działać, a nie kwękać.

To żadne kwękanie, ale wiele konkretnych pytań, na które nikt dzisiaj nie potrafi udzielić odpowiedzi. Pierwsza z brzegu wątpliwość: nie wszyscy Polacy mają skrzynki pocztowe przy domach, jak zatem bez osobistego kontaktu z mieszkańcami listonosz ma dostarczyć im kartę do głosowania? Tego typu wątpliwości technicznych jest mnóstwo. Poza tym jest zasadnicza wątpliwość konstytucyjna: czy przesłanie karty do głosowania bez potwierdzenia odbioru samo w sobie nie podważa wiarygodności wyborów.

A jednak nie mówi pan twardego „nie” wyborom korespondencyjnym.

Nie mówię, ponieważ da się to wszystko przygotować w ciągu dwóch-trzech miesięcy, ale nie w ciągu kilku tygodni – zwłaszcza przy braku podstawy prawnej. Obaj wiemy, że ustawa wróci z Senatu na początku maja. Pozostanie nam zaledwie kilka dni.

Możemy się przygotować na zapleczu, stanąć jako państwo w blokach startowych. I czekać na wystrzał 6 maja.

Uważam taką nadzieję za karkołomną, a tak ważny akt państwowy jak wybory prezydenckie nie powinien się odbywać w atmosferze loterii. Dziś odpowiedź: „zdążymy – nie zdążymy”, to rzut monetą.

W liście do członków Porozumienia pisze pan dość jasno, że premier i minister zdrowia byli przeciwni głosowaniu 10 maja. Ale czy również korespondencyjnemu? I czy po prostu nie próbuje pan dziś grillować ich z zewnątrz?

Dziś nie ma chyba ani jednego człowieka w Polsce, który uważałby, że można przeprowadzić wybory metodą tra-

ROZMOWA
Fijołka



Fot. Stanisław Kowalczyk/EasNews

dycyjną. To miałem na myśli, mówiąc o stanowisku ministra Szumowskiego. Co do możliwości przeprowadzenia wyborów korespondencyjnych – jeszcze nie zabrał głosu.

Może się pan zakiwał i dziś dorabia teorię do rzeczywistości? Jako lider partii nie bierze pan udziału w głosowaniu, jest pan jednak na „nie”, ale zachęca swoich ludzi, żeby głosowali na „tak”. Jednocześnie wychodzi pan z rządu, ale zostawia w nim wszystkich swoich ludzi. Uf!

Po kolei. Nie zgadzam się z utrzymywaniem terminu 10 maja i stąd moja dymisja. Jednocześnie uważam, że Polska w tak dramatycznym kryzysie potrzebuje rządu większościowego. Gdybyśmy 6 kwietnia zagłosowali przeciwko tej ustawie, to zapewne jeszcze przed świętami mielibyśmy rząd mniejszościowy – na moment gigantycznego kryzysu epidemicznego i katastrofy gospodarczej nałożyłby się jeszcze kryzys polityczny.

To była zero-jedynkowa alternatywa? Przekaz od Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego był właś-

nie taki: albo głos na tak, albo wyrzucenie z rządu całego Porozumienia?

Nieuczciwe wobec moich partnerów byłoby ujawnianie przebiegu rozmów. Uważam jednak, że taki scenariusz był prawdopodobny. W imię odpowiedzialności za państwo odsunąłem ten scenariusz w czasie. Ostateczne decyzje w sprawie ustawy posłowie Porozumienia będą podejmować po tym, jak ustawa wróci z Senatu. Daliśmy sobie i naszym partnerom z PiS czas do namysłu i do rozmów.

Kupił pan miesiąc.

„Kupiłem” dla państwa. A ceną tego „zakupu” była moja dymisja. Jest ona aktem symbolicznym. Formą niezgody na to, że polska klasa polityczna w ogóle zajmuje się sprawą wyborów prezydenckich zamiast tym, co ważne.

Musimy się tym zajmować. Takie mamy terminy konstytucyjne, wyczerpujące się furtki prawne i polityczne. Nie możemy dziś rozmawiać tylko o gospodarce.

Oczywiście ma pan rację. Ale właśnie dlatego najpierw wysunąłem propozycję przesunięcia wyborów o rok. Poparł ją tylko Władysław Kosiniak-Kamysz. Potem padła moja druga propozycja – zmiana konstytucji, wprowadzenie jednej, siedmioletniej, kadencji prezydenta i przesunięcie wyborów o dwa lata. To z kolei poparło tylko PiS. Wreszcie trzecia propozycja – przy głosowaniu korespondencyjnym zaproponowałem *vacatio legis*, by wybory odbyły się wtedy, gdy będzie to dopięte na ostatni guzik. I to nie zostało przyjęte, więc podałem się do dymisji.

To co nas czeka na początku maja? Jeśli każdy – od PiS, przez Porozumienie, po opozycję – pozostanie na swoim stanowisku, to czeka nas rozpad rządu.

Zrobię wszystko, by uniknąć tego scenariusza. Przez najbliższy miesiąc będę przekonywał wszystkich polityków – nie tylko PiS, lecz i opozycji – by poparli projekt zmiany konstytucji, a tym samym zdecydowali się przełożyć wybory o dwa lata.

Nie znajdzie pan tych 72 głosów: ani w KO, ani w Lewicy, ani w Konfederacji. Może w PSL, ale to i tak za mało. To jest mission impossible.

Sytuacja Polski, tak jak całego świata, jest dramatyczna. Każdy polityk musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy w warunkach globalnej pandemii chce kierować się partykularnymi interesami, czy jednak potrafi się wznieść ponad nie i zbudować konsens konstytucyjny. Będę do końca namawiał do tego rozwiązania.

Może to pan kieruje się partykularnymi interesami, podejmując te wszystkie gry i negocjacje? Może – mówiąc wprost – w imię swoich ambicji rozmontowuje pan dziś projekt Zjednoczonej Prawicy?

Tu nie chodzi o gry ani ambicje. Dowiodłem tego, odchodząc z rządu. Tutaj chodzi o odpowiedzialność za Polskę. Wybory 10 maja są organizacyjnie nie do przeprowadzenia. Ich wynik będzie podważany, co spowoduje, że najbliższe miesiące, a może i lata będą okresem chaosu politycznego, a i ryzyko epidemiczne będzie niemałe.

A furtka PiS dotycząca 17 maja?

Konstytucyjnie przesuwanie terminu wyborów poprzez zmianę zarządzenia marszałka Sejmu jest dyskusyjne. Ale w tej sprawie nie chcę się wypowiadać w sposób definitywny, analizuję jeszcze opinie ekspertów.

Zgodność z konstytucją to jedno. Mam na myśli ten dodatkowy tydzień przy sprawach organizacyjnych.

Organizacyjnie dodatkowy tydzień to, w mojej ocenie, zdecydowanie za mało.

Jak zatem zagłosuje Jarosław Gowin w maju? Umiem liczyć do pięciu, a na właśnie tylu głosach wisi dziś większość Zjednoczonej Prawicy. Krótko mówiąc: wisi ona na panu.

Musi się pan uzbroić w cierpliwość. Dzisiaj wszelkie deklaracje byłyby przedwczesne, bo zamykałyby pole do rozmów.

Jest jeszcze inny argument. Mówił pan w telewizji w Polsce.pl o konieczności odmrożenia gospodarki, a w kwestii w wyborów chce pan zamrozić tę normalność.

W tej chwili rzeczywiście powinniśmy jak najszybciej wracać do pracy, dopóki jeszcze te miejsca pracy istnieją. Natomiast trzeba minimalizować wszelkie dodatkowe ryzyko wzrostu epidemii, bo to przekłada się na śmierć konkretnych ludzi. To, co nie jest niezbędne – a wybory 10 maja nie są niezbędne – powinno być odłożone w czasie.

Co pan powie tym, którzy przekonują, że chybotanie dziś łódką koalicji to wielki błąd?

Nie przyjmuję tego zarzutu. Właśnie w imię zachowania stabilności podałem się dymisji. Apel, o którym pan wspominał, powinien być adresowany nie tylko do mnie, lecz także do innych liderów Zjednoczonej Prawicy. To wspólna odpowiedzialność za stabilny rząd.

Z całym szacunkiem, ale to PiS jest główną partią, Porozumienie nie gra w tej samej politycznej lidze. Witold Waszczykowski napisał nawet, że bez przystawek jak pana partia PiS i tak wygrałoby wybory, a problemów byłoby mniej.

Oczywiście PiS jest główną partią Zjednoczonej Prawicy. Wszyscy mają tego świadomość. Ale bez posłów Porozumienia w tym parlamencie nie da się stworzyć żadnego rządu większościowego. W tym sensie nie tylko ja, lecz i każdy z 18 posłów Porozumienia gra w tej samej lidze co reszta naszego obozu.

Zakrywacie się. Za chwilę będziemy mieli rząd mniejszościowy, a w rządzie zabraknie nie tylko pana, lecz i Porozumienia. Na horyzoncie może nawet wcześniejsze wybory.

Wcześniejsze wybory parlamentarne też nie mogą się odbyć w warunkach pandemii. Żaden odpowiedzialny polityk nie podniesie za nimi ręki w Sejmie. Z kolei scenariusz rządu mniejszościowego jest zły dla Polski i – jak powiedziałem – zrobię wszystko, co w mojej mocy, by mu zapobiec.

A może pan po prostu wyczuł dziś wiatr zmian i szuka partnerów w opozycji: w PSL, Platformie? Gowin premierem technicznym – słyszę i o takich pomysłach.

Jedyne rozmowy z politykami PO czy PSL, o których informowałem publicznie i o których uprzedzałem liderów PiS, dotyczą wyłącznie zmiany konstytucji. Niczego więcej.

A kontakty z Jarosławem Kaczyńskim? Scena w Sejmie, gdy podszedł pan do prezesa PiS, była więcej niż symboliczna. Zamrożone relacje.

Jesteśmy w częstym kontakcie. A na pewno przed ostatecznym głosowaniem na początku maja musimy odbyć zasadniczą, poważną rozmowę.

Co pan wtedy powie prezesowi Kaczyńskiemu?

Jak definiuję dobro Polski w tym dramatycznym momencie.

Co z tym odmrożeniem gospodarki? Kiedy miałyby się to odbyć?

W rządzie panuje powszechne przekonanie o potrzebie jak najszybszego realizowania tego scenariuszu. Czas na decyzję

w sprawie terminu nastąpi po świętach, nie chcę swoimi spekulacjami wprowadzać zamęt i utrudniać decyzji premierowi Morawieckiemu.

A zagrożenie związane z wzrostem zakażeń?

Jeżeli nie wrócimy do pracy szybko, to może się okazać, że przedawkowanie lekarstwa będzie gorsze od choroby. Nie tylko Polska, lecz każdy kraj świata już wkrótce stanie przed tragiczną alternatywą: albo tysiące zmarłych na skutek epidemii, albo dziesiątki tysięcy zmarłych na skutek odкладanych operacji kardiologicznych czy onkologicznych, depresji, samobójstw, generalnego obniżenia poziomu opieki zdrowotnej. Przedłużanie zamrożenia gospodarki wstrząsnęłoby fundamentami budżetu państwa i wkrótce zabrakłoby środków nawet na to, co dziś jest najważniejsze – czyli służbę zdrowia.

Kończąc: jeśli tutaj lekarstwo może być gorsze od choroby, to może na politycznym poletku też to tak wygląda: jeśli pomysł na wybory w maju jest trudną chorobą i wielkim wyzwaniem, to lekarstwo pt. rozważka rządu nie jest żadnym lekarstwem?

Uratowałem jedność rządu swoją dymisją. Uważam, że stanąłem na wysokości zadania.

Jedyne rozmowy z politykami PO czy PSL, o których informowałem publicznie i o których uprzedzałem liderów PiS, dotyczą wyłącznie zmiany konstytucji. Niczego więcej

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie



Lawina manipulacji

Od tygodni narastają manipulacje przedstawiane w niektórych mediach jako oczywiste fakty. Opozycja, która pierwsza rozpętała dyskusję o terminie wyborów już na początku epidemii, gdy rząd skupiony był wyłącznie na powstrzymaniu koronawirusa, teraz oskarża obóz rządzący o to, że myśli wyłącznie o przedłużeniu władzy. Ci sami, którzy wychodzili na ulice z hasłami „wolność” i „demokracja”, teraz wmawiają swoim zwolennikom, że należy powstrzymać ten najważniejszy akt demokratyczny. Szaleństwo rośnie



Udało się opozycji i wspierającym ją mediom ukuć głośny i nośny przekaz o bezdusznym rządzie, który skupia się wyłącznie na utrzymaniu władzy, zamiast walczyć o zdrowie obywateli. Każde działanie zmierzające do powstrzymania pandemii jest marginalizowane, choć przecież Polska jako jeden z pierwszych krajów wprowadziła ostre restrykcje. Te zresztą również były krytykowane. Pisano z oburzeniem, że PiS zamyka granice, izoluje nasz kraj, zawiesza edukację, zabrania wychodzić z domu. Każda z tych decyzji była przez liberalno-lewicowe media krytykowana. Z czasem dopiero przekonywano się, że były to decyzje słuszne, a inne kraje z opóźnieniem idą naszym śladem. Gdyby nie restrykcje, mielibyśmy dziś znacznie więcej ofiar. Minister zdrowia Łukasz Szumowski podkreśla, że gdyby nie wprowadzony dryl, zarażonych byłoby dziś 16,5 tys. osób. To wszystko w politycznej wojnie nie ma dla opozycji znaczenia. Fakty nie przeszkadzają przeciwnikom rządu w powielaniu fałszywych doniesień i zaostrzaniu sporu politycznego.



MARZENA NYKIEL

wsparcia”. Twierdzi, że „gdy prywatne osoby, firmy i organizacje przekazują pieniądze na walkę z wirusem, hierarchowie nie zdobyli się nawet na gest otwarcia drzwi w posiadanych przez kurie nieruchomościach dla ludzi wymagających kwarantanny”. A przecież Kościół na wiele różnych sposobów walczy ze skutkami pandemii. Pomaga wiernym materialnie i duchowo.

Kupuje respiratory, wspiera samotnych i potrzebujących, ponad 100 tys. wolontariuszy ze wszystkich 44 polskich diecezji pomaga osobom w kwarantannie, bezdomnym i tym, które same nie mogą zrobić zakupów. Kapłani z każdej parafii budują też duchową więź z parafianami w przestrzeni wirtualnej. Jednocześnie na wszelkie sposoby, z zachowaniem obostrzeń sanitarnych, starają się ułatwić wiernym korzystanie z sakramentów. Ale „Newsweeka” te sprawy zupełnie nie interesują. Ktoś poczuł, że może wykorzystać ten mroczny czas pandemii do zadania ciosu i skutecznego osłabienia Kościoła.

Ta sama taktyka rozgrywa się w przestrzeni politycznej. Tomasz Lis wyciąga najcięższe działa. „Dla milionów Polaków wirus to katastrofa, obecna albo przyszła, dla Kaczyńskiego to wyłącznie okazja. Pracy nie straci, zarobków mu nie obetną, przeżyje, a do tego może powiększyć swoją władzę. Przecież nigdy o nic więcej mu nie chodziło” – twierdzi redaktor naczelny „Newsweeka”, wypisując rzeczy, o których uczciwi ludzie wstydiliby się nawet pomyśleć.

ATAK NA KOŚCIÓŁ

Lektura ostatniego numeru „Newsweeka” może wywołać u czytelników skrajną histerię. Tygodnik nie poprzestaje na atakowaniu rządu, brutalnie atakuje także Kościół, twierdząc kłamliwie, że „w obliczu epidemii Kościół nie okazał

WALKA POLITYCZNA

Podsycaną przez media i polityków histerię utrzymuje w odpowiedniej temperaturze rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. „Mam wrażenie, że z każdym kolejnym dniem będziemy przekraczali kolejne kręgi ciemności, jeśli chodzi o standardy funkcjonowania państwa i przestrzeganie praw obywatelskich” – oświadczył w rozmowie z „Krytyką Polityczną”.

Opozycja znalazła nową strategię walki z rządem: bojkotowania wyborów i oskarżania o nie PiS. Jakby wybory były aktem przemocy i zła, a nie aktem demokracji. Zamiast skupić się na wymyślaniu nowych rozwiązań ich bezpiecznego przeprowadzenia, mówi o wyborach z odrazą i skrajną niechęcią. A gdzie obowiązek konstytucyjny, który nakazuje przeprowadzenie wyborów prezydenckich w maju 2020 r.? Marszałek Grodzki, „pierwsza twarz obozu demokratycznego”, stwierdził wprost, że majowe wybory są czymś wysoce niestosownym. „Narasta irytacja w narodzie, że parlament zamiast zajmować się ważnymi życiowo sprawami, skuteczną walką z pandemią, zajmuje się wyborami. Wybory są świętem demokracji. Święto robione w żalobie po – mam nadzieję najmniejszej ilości – zmarłych to będzie święto zepsute. To nie będzie święto demokracji. To będzie żądza władzy pchająca tych, którzy chcą za wszelką cenę tę władzę utrzymać, z zagrożeniem wybuchu epidemii” – stwierdził marszałek Senatu, nie kryjąc, że przegłosowaną w Sejmie ustawę o wyborach korespondencyjnych zamrozi w Senacie na 30 dni pod pozorem przeprowadzania szczegółowych analiz i konsultacji społecznych.

Jeszcze dalej posunął się Roman Giertych, który na antenie TVN24 stwierdził, że „Jarosław Kaczyński: chce doprowadzić do wcześniejszych wyborów” 10 maja. Nie ma już nowy o przełożeniu terminów wyborów, ale wmawia się ludziom, że konstytucyjny termin jest terminem przyspieszonym przez Prawo i Sprawiedliwość. „Istotą, celem Jarosława Kaczyńskiego jest w tej chwili doprowadzić do przyspieszonych albo w terminie tym konstytucyjnych wyborów prezydenckich, wyborów w czasie epidemii, bo on doskonale wie, że za trzy miesiące, z powodu tego, że zmarnotrawiono, wydano nieroztropnie bądź rozkradziono pieniądze z budżetu państwa, będzie tak ogromny kryzys gospodarczy i takie będą niepokoje społeczne związane z tym, że w Niemczech firmy mają pieniądze na przetrwanie, a w Polsce właściwie na wsparcie państwa mogą liczyć wyłącznie kuzyni, pociotki, znajomi posłów PiS-u” – stwierdził Giertych. TVN24 wielokrotnie powielało jego wypowiedź, by wystarczająco mocno wbiła się w świadomość widzów.

Staraniem polityków wszystkich opcji politycznych powinno być dziś zgodne wypracowanie bezpiecznego sposobu przeprowadzenia wyborów. Jest jeszcze trochę czasu na dopracowanie rozwiązań korespondencyjnych

Przekaz jest więc prosty. Majowe wybory to pisowskie zło. Pewnie tylko dlatego, że liderem sondaży jest Andrzej Duda, a kandydaci opozycyjni są tak słabi, że nie potrafią go dogonić. Liczą więc na kryzys, który dopadnie nas po pandemii, gdy będzie można zmanipulowanym przekazem jeszcze bardziej urabiać przestraszonych ludzi, wpływając na ich frustrację i preferencje wyborcze. Założenie to przyjęli niemal wszyscy kontrkandydaci prezydenta, powtarzając ustalony przekaz do znudzenia. Borys Budka sufluje ten przekaz Małgorzacie Kidawie-Błońskiej nawet na wspólnych konferencjach prasowych. „Powiedz, że nie może być wyborów” – szeptał jej do ucha podczas wystąpienia tak go-

raćkowo, że jego wypowiedź bez problemu zarejestrowały kamery. Gołym okiem widać, że przesunięcie wyborów ma służyć temu, by po wygaśnięciu mandatu prezydenta Dudy można było znowu powołać się na konstytucję i zakwestionować moc prawną głowy państwa.

Pojawia się też argument, że wybory nie można przeprowadzić w maju, ponieważ nie ma kampanii. A z czym mamy do czynienia, jeśli nie z kampanią? Oczywiście inną i specyficzną, bo inne i specyficzne mamy dziś czasy. Opozycyjna antypisowska strategia rozbijana jest do granic możliwości, tak jak to bywa w szczycie każdej kampanii. A że nie ma dotarcia bezpośredniego? Z kandydatami opozycji i tak spotykała się garstka ludzi. Najwięcej na braku spotkań traci prezydent

Duda. Poza tym, jak mawiał swego czasu Donald Tusk, opozycja ma internet. Życie całego świata przeniosło się do wirtualu, więc nie jest to przestrzeń marginalna.

SZCZERE INTENCJE

Staraniem polityków wszystkich opcji politycznych powinno być dziś zgodne wypracowanie bezpiecznego sposobu przeprowadzenia wyborów. Jest jeszcze trochę czasu na dopracowanie rozwiązań korespondencyjnych. Być może trzeba poszukać innych pomysłów, ale trzeba współpracować. Gdyby taka współpraca była choć trochę widoczna, można byłoby uwierzyć w szczerą intencję tych, którzy zaslaniają się troską o bezpieczeństwo i zdrowie Polaków. Na razie są nieustający bojkot i działania zmierzające do destabilizacji państwa. Opozycja chce przeciągnąć wybory tak, by wygasł mandat demokratyczny prezydenta Andrzeja Dudy. Wtedy będzie mogła kwestionować wszelkie decyzje rządzących. Jak odbije się to na życiu obywateli? Już dziś wszyscy jesteśmy zmęczeni tą brutalną walką. Potrzebujemy spokoju i stabilizacji. Władzy, która może skupić się na wzmocnieniu państwa w kryzysie, a nie na odpieraniu ciągłych ataków. To, w jaki sposób wyjdziemy z tej pandemii i kryzysu gospodarczego, zależy od tego, jak szybko wejdziemy w etap stabilizacji powyborczej.

Wnioski z włoskiej lekcji

Gdy widzę czyste kanały Wenecji, do których wróciły ryby, gdy widzę nad głową wielobarwne papugi w centrum Rzymu, a wszystko wokół jest tak rozśpiewane i rozćwierkane, jakbym była w ogrodzie botanicznym, to myślę, że natura mogła mieć dość człowieka

**Z Magdaleną Wolińską-Riedi, korespondentką TVP
w Watykanie, rozmawia Dorota Łosiewicz**

Dbaj pani o siebie? Słyszę kaszel...

Magdalena Wolińska-Riedi:

Staram się, ale prawda jest taka, że nie mam zbyt wiele czasu na dbanie o siebie. Praca zajmuje mi kilkanaście godzin dziennie. Nie pamiętam równie intensywnego okresu. O wolne poprosiłam parę dni temu, gdy miałam gorączkę i zaniepokoił mnie kaszel. Poza tym sytuacja jest dynamiczna, wciąż coś się dzieje, a widzom trzeba dostarczać świeżych informacji. Biorę oczywiście witaminę C, jem czosnek, piję herbatę z imbirem. Powinnam się może cieplej ubierać. Staram się też spać na tyle długo, by organizm się zregenerował. Oczywiście na ulicę wychodzę odpowiednio „uzbrojona”. Tam, gdzie trzeba, chodzę w maseczce, mam z sobą zawsze sprej do dezynfekcji: w kieszeni i w torebce (na wypadek gdyby ten z kieszeni został po zmianie marynarki w domu). Spryskuję klucze, ręce, telefon.

Ma pani poczucie misji?

Staram się nie działać tak, jak niektórzy inni dziennikarze, którzy, siedząc za biurkiem, opowiadają, co się dzieje. Nie mam wątpliwości, że wszystko trzeba po prostu pokazać. Także emocje. Świetnie się rozumiem z moim operatorem, on niemal czyta moje intencje. Nie wystarczy mi opowiadanie o zamkniętych sklepach, ja muszę je pokazać. Mam nadzieję, że moje opowiadanie obrazem, ale także słowem pomogło wielu ludziom w Polsce uświadomić sobie, co tu się dzieje, na długo przed tym, nim epidemia dotarła do Polski.

Relacjonuje pani czasy przełomu?

Mam poczucie, że mamy czasy przełomu, ale staram się o tym zbyt dużo nie myśleć. Wydaje mi się, że wrażliwość korespondenta, reportera, z powodu naszych licznych doświadczeń, jest znacznie bardziej wyczulona. Relacjonowałam kryzys migracyjny u wybrzeży Lampedusy, nadawałam ze środka morza ze statku policji skarbowej. Spędziłam na nim 15 godzin, widziałam ludzi, którzy umarli na kutrach. Byłam w epicentrum trzęsienia ziemi we włoskim Amatrice w 2016 r. W takich sytuacjach człowiek koncentruje się na „tu i teraz”, żeby jak najlepiej oddać to, czego doświadcza, co widzi. Podobnie jest w tych dniach. Wiem oczywiście, że przeżywamy czas zupełnie wyjątkowy, ale staram się oddać jak najlepiej po prostu to, co widzę, co jest moim udziałem. Jednak stojąc np. przy pustej fontannie di Trevi, robię czasem jakieś zdjęcie także na prywatny użytek. Może kiedyś, na spokojnie, będę mogła do tego wrócić, odtworzyć sobie wydarzenia, których byłam świadkiem. Najstarsi rzymianie nie pamiętają takich obrazów, takiej pustki.

Jak Włosi znoszą izolację?

Dla tych ludzi to naprawdę trudne doświadczenie. Trzeba znać Włochów, żeby zrozumieć, jak trudna jest dla nich izolacja. Oni normalnie w ogóle nie siedzą w domach, śniadania też jedzą w barach. Nawet jak mają mało pieniędzy, to i tak spotykają w sześć-osiem osób, żeby coś wspólnie wypić. Pośmiać się. Pograć w karty. Tu życie tętni i toczy się wspólnie. Mam wrażenie, że mój za-

wód to w tej chwili prawdziwe szczęście. My, dziennikarze, jesteśmy jedną z niewielu kategorii osób, które mogą się spokojnie przemieszczać. Policja zatrzymuje nas na każdym kroku, ale mamy oczywiście przy sobie niezbędne certyfikaty. Ja rozumiem pracę policji, oni mają. Nikt się nie złości.

Mimo zakazu wychodzenia na Włochów sypią się kary. Piękne słońce kusi, żeby wyjść na ulicę.

Mandaty się posypały, gdy do mediów trafiły informacje, że zaczyna być lepiej. Włosi od razu się rozluźnili, napięcie spadło. Nawet w Rzymie. Parę dni temu na ulicach nie było żywej duszy, dziś w kolejce do sklepu widziałam 10 osób. Z jednej strony władze nie mogą kłamać, ale z drugiej boją się, że to chwilowe rozprężenie może się źle skończyć. Tymczasem sytuacja jest daleka od ustabilizowania.

W Polsce często krytykuje się Włochów za luźne podejście do epidemii, że długo nic sobie z niej nie robili. Podejrzywam jednak, że w Polsce byłoby podobnie, gdybyśmy wcześniej nie widzieli dramatycznych scen z południa Europy.

Oczywiście, że tak by było. Polacy mogą powiedzieć, że mają wielkie szczęście (o ile można użyć tego słowa w takim kontekście), że nie zaczęło się w Polsce. Włosi wiedzieli, że w Chinach jest źle. Ale to było tak daleko od nich, że nikt, nawet rząd, nie myślał: „Przecież to zaraz będzie u nas”. Tu jest inna mentalność, kultura. I dlatego zaraza rozlała się jak czerwone wino na białym obrusie, momentalnie. 21 lutego miałam relacjonować przypadek pierwszego Włocha, który się zaraził, i sama myślałam: „Dobra, to przecież tylko jeden”. 23 lutego



zostałam wysłana do Mediolanu. Jechałam popołudniowym pociągiem, żeby zdążyć na wieczorne „Wiadomości”. To się roznosiło błyskawicznie: Codogno, szpital, w którym się nie poznano na chorobie... W ciągu 24 godzin zaraziło się w tej placówce 60 osób, wszystkie miały kontakt z kolejnymi i tak to szło, jak lawina. W tym czasie w Rzymie były dzikie tłumy w kolejce do Muzeum Watykańskiego. Czekalo kilka tysięcy ludzi, bo była to ostatnia niedziela miesiąca, a wówczas można wejść za darmo. Przed wejściem do pociągu do Mediolanu nagrywałam jeszcze w Watykanie wypowiedzi, bo wiedziałam, że na miejscu już nie zdążę. Zaczęłam młodą dziewczynę, która szła z walizką, i zapytałam, czy się nie boi podróżować. Powiedziała mi, że jest z Padwy, przyjechała ze swoim chłopakiem, a jej mama pracuje w szpitalu w Padwie jako pielęgniarka i relacjonowała jej dzień wcześniej, że dwie osoby umarły i jest wiele zakażonych. Zamarłam, bo od razu mi przeleciało przez myśl, że ta dziewczyna też może być zakażona. I tak to się właśnie roznosiło. W momencie kiedy kwarantanna została nałożona, faktycznie zabrakło dyscypliny. Ostatnio, w weekend 4–5 kwietnia, mandatami zostało ukaranych ponad 20 tys. Włochów. A to pewnie nikły procent tych, którzy wyszli, bo poczuli, że już jest lepiej. To jest wspaniały, kochany naród. Ale dyscypliny to mu brakuje. Niech Polacy uczą się na błędach, niech jeszcze trochę wytrzymają na tej kwarantannie. Ja się cieszę, że polskie władze tak szybko wyciągnęły właściwe wnioski z włoskiej lekcji. Dobrze, że od razu zamknięto szkoły. Wiem, że Polacy są zmęczeni, ale warto wytrzymać.

Co pani myślała, widząc papieża Franciszka samego na placu Świętego Piotra. Też miała pani skojarzenia z trzecią tajemnicą fatimską?

Faktycznie wiele osób pisało do mnie wówczas o podobieństwie tej sytuacji do tej zapisanej w trzeciej tajemnicy. Dla mnie to było przejmujące doznanie. Obserwowałam papieża Franciszka z dołu, od strony Via della Conciliazione. Widziałam, jak wspinał

się w górę, ku zadaszeniu, podszedł do krzyża. Widziałam w tym błaganie człowieka wznoszone do Boga. Miałam głębokie przekonanie, że człowiek sam nic nie może. Jest pyłkiem na ziemi. Tylko Bóg może pomóc. Co nam pokazała ta pandemia? Że najwięksi tego świata, ci najbogatsi, nic nie mogą. Wszyscy chorują, umierają. Człowiek, przy wszystkich swoich bogactwach, nie może nic. To doświadczenie uczy nas pokory. Papież Franciszek często mówi teraz, że powinniśmy wrócić do pier-

Niech Polacy uczą się na błędach, niech jeszcze trochę wytrzymają na tej kwarantannie. Cieszę się, że polskie władze tak szybko wyciągnęły właściwe wnioski z włoskiej lekcji. Wiem, że Polacy są zmęczeni, ale warto wytrzymać

wotnego sensu. Ludzie bez względu na szerokość geograficzną, nawet gdy uważają się za wierzących, słuchają, ale nie słyszą. Nie zagłębiają się ani w słowa papieża, w znaki, które zsyła niebo. Tymczasem papież w czasie Wielkiego Tygodnia próbował uzmysłowić nam, że tak właśnie należało te dni roku przeżyć. W ciszy. Wejść w siebie, w swoją niedoskonałość, słabości, zrobić rachunek sumienia. Zresztą cała ta sytuacja to zachęta do wielkiego rachunku sumienia ludzkości. Może do tego, by usłyszeć wreszcie Boga. Może zamknięcie, wsłuchanie się w siebie, na które nigdy nie ma czasu, pozwoli nam Go wreszcie usłyszeć?

Towarzyszy pani strach przed chorobą?

W Rzymie mniej, gorzej było na północy, w strefie zero. Byłam w okolicach Codogno, w regionie Lombardii, tam gdzie wszystko się zaczynało. To był okres od 23 do 29 lutego. Wówczas nie było jeszcze ograniczeń, zamknięcia kraju, nawet

Lombardia była otwarta. Tam się bardzo szybko rozwijała sytuacja. Przypadki zgonów i zachorowań pojawiały się lawinowo. Wirus się rozprzestrzeniał bardzo szybko, a jednak na ulicach były tłumy ludzi, sklepy były otwarte. Panował duży niepokój, ciężko było w ogóle ogarnąć sytuację. Gdy pojawiały się nowe informacje o kolejnych przypadkach, ścisnęło mi się gardło. Jednego z tamtych dni dostałam świeże raporty o godz. 18.05, a o 18.12 miałam wejście do „Panoramy” i z trudem wstrzymywałam płacz, tak przytłaczające były te dane. Jednak strach mnie nie paraliżuje. Gdyby tak było, wówczas nie wyszłabym z domu, nie byłabym w stanie pokazywać widzom prawdy. To jest oczywiście ekstremalne doświadczenie. Podobnie zresztą było, gdy relacjonowałam trzęsienie ziemi we Włoszech. Właśnie podczas wejścia na żywo do TVP Info czułam, jak pod nogami trzęsie mi się ziemia, ludzie krzyczeli, ja zresztą też. Ale to była sama prawda.

Wiara pomaga przetrwać takie ekstremalne doświadczenia?

Tak. Wszystko oddaję Bogu. Wierzę, że ze wszystko ma głębszy sens niż to, co widzimy do pierwszego zakrętu. Takie przekonanie daje spokój. Ale z wiarą, losem i Bogiem nie można igrać. Nie można Go wystawiać na próbę, np. poprzez kontakt bez ochrony z osobami zakażonymi. Natomiast trzeba ufać. Myślałam sobie, że po coś tu jestem. To nie jest przypadek. Jak i to, co się dzieje, też nim nie jest. Gdy widzę czyste kanały Wenecji, do których wróciły ryby, gdy widzę kaczkę z młodymi, która wchodzi przez uchylone drzwi apteki we Florencji na Starym Mieście, gdy widzę nad głową wielobarwne papugi w centrum Rzymu, a wszystko wokół jest tak rozśpiewane i rozczwierkane, jakbym była w ogrodzie botanicznym, to myślę, że natura mogła mieć dość człowieka. Wcześniej często zresztą miewałam taką refleksję, gdy towarzyszyłam papieżowi Franciszkowi w jego podróżach. Kiedyś przesiadaliśmy się w Etiopii, w drodze na Madagaskar. O godz. 6.00 na lotnisku był niebywały kocioł. Tysiące spieszących się o świcie ludzi. Albo lotnisko w Dubaju. Pod rękawki w jednym czasie podsta-

wiono 100 samolotów. Dubaj o 3.00 nad ranem tętni życiem podobnie jak o 17.00. Człowiek, który próbuje zapanować nad światem, przeraża mnie bardziej niż obecna cisza w Rzymie. Chcieliśmy być panami wszystkiego, to teraz czas na lekcję pokory.

Co się teraz dzieje z pani rodziną? Z córkami? Jak pani łączy opiekę nad dziećmi z pracą?

Moje dzieci utknęły w Szwajcarii. Na początku marca, zaraz po zamknięciu szkół, pojechały do taty, który obecnie tam pracuje. Później zamknięte zostały granice. Szwajcaria też jest mocno zakazana. Wymiana pracowników z Lombardią jest bardzo duża. 60 tys. ludzi dziennie przekracza granicę między Lombardią a kantonem Ticino. W Szwajcarii jest ponad 20 tys. zakazanych na 8 mln mieszkańców. Próbowałam sprowadzić dzieci z powrotem do Watykanu, korzystając z pomocy konsulatu, ale nie było możliwości, więc one są tam, a ja tu. Na pewno w tej trudnej sytuacji mogę przynajmniej zdecydowanie bardziej poświęcić się pracy.

Zostańmy jeszcze na chwilę przy rodzinie. Nie jest tajemnicą, że zamieszkała pani w Watykanie po tym, jak wyszła za mąż za członka Gwardii Szwajcarskiej. O życiu w Watykanie napisała pani fascynującą książkę pt. „Kobieta w Watykanie”. Jak tam jest?

Nie ma drugiego państwa na świecie, którego obywatele pochodziliby z tak wielu zakątków świata i mówili tak wieloma językami. Zameldowanie w Watykanie jest tymczasowe i wydane jedynie na czas zatrudnienia lub pełnionej misji. Dla moich córek wielojęzyczność to ogromny dar, który otrzymały dzięki wychowaniu tutaj. Dzieci tracą prawo do obywatelstwa po ukończeniu 25. roku życia, a współmałżonek w wypadku separacji czy rozwodu. Gwardziści przechodzą na emeryturę najpóźniej w wieku 45 lat i wtedy oddają paszport. Plusem mieszkania w Watykanie jest to, że dzieci podczas zabawy mogą spotkać papieża. Pewnego razu w czasie spaceru moje córki chciały odwiedzić tatę, który



Fot. Archiwum prywatne

miał służbę w Domu św. Marty. Gdy ześleliśmy do obszernego holu, natychmiast wykorzystaly ozdobne filary, by pobawić się w chowanego. Franciszek zbliżył się po cichu, schował za kolumną, popukał jedną z córek po ramieniu, po czym ponownie się ukrył. Ta zabawa

Człowiek, który próbuje zapanować nad światem, przeraża mnie bardziej niż obecna cisza w Rzymie. Chcieliśmy być panami wszystkiego, to teraz czas na lekcję pokory

w ciuciubabkę trwała może dwie minuty, ale dzieci go nie zauważyły. Jakież było ich zdziwienie, gdy po chwili wychylił się zza filara. Śmiechom nie było końca.

Wystarczy się zakochać w gwardziście i już można brać ślub?

To nie jest takie proste. Na ślub trzeba mieć zgodę sekretarza stanu, czyli watykańskiego premiera. Warunkiem uzyskania zgody jest wyznanie i świadectwo moralności przyszłej małżonki. Koniecznie musi być praktykującą katoliczką i nie może być rozwódką. Jeszcze parę lat temu zgoda, aby zamieszkać za murami otaczającymi Watykan, była uzależniona od dostępności wolnego mieszkania, a apartamentów do dyspozycji jest niewiele. Narzeczeni mu-

siali czekać więc latami. Papież Franciszek zmienił tę zasadę i pozwolił, by gwardziści mieszkali także poza murami, w budynkach eksterytorialnych w najbliższej okolicy Watykanu.

Jak będą wyglądały Włochy po epidemii?

Aż trudno sobie to wyobrazić. To będzie wielki dramat. Przecież Włochy stoją turystyką. Ten kraj odwiedza rocznie dziesiątki milionów ludzi. Wszyscy z tego żyją: czy to pośrednio, czy bezpośrednio. Boję się, że oni nie będą mieli z czego żyć i z kryzysu będą wychodzić latami. Na południu ludzie już teraz nie mają pieniędzy, oszczędności, państwo próbuje pomóc, ale ta pomoc jest symboliczna. Ci, którzy pracują na czarno, a takich osób są tysiące, w tym Polacy, nie mogą dostać państwowej pomocy, a jednocześnie nie mogą pracować. W Szwajcarii każdy przedsiębiorca, który ucierpiał z powodu wirusa, mógł w ciągu 48 godzin pójść do banku i dostać kredyt w wysokości 50 tys. franków. A we Włoszech są tysiące ludzi w rozpacz, którzy zupełnie nie wiedzą, co z sobą zrobić. Wszyscy stoją w kolejce do Caritasu, ale ten też ma ograniczone możliwości.

Magdalena Wolińska-Riedi, dziennikarka, korespondentka TVP w Rzymie i Watykanie, autorka książki: „Kobieta w Watykanie”. Przez 16 lat, będąc żoną członka Papieskiej Gwardii Szwajcarskiej, mieszkała w Watykanie jako jedna z zaledwie 30 kobiet na świecie z paszportem watykańskim. Była sąsiadką trzech papieży

Ewangelizacja na intensywnej terapii

W dniach pandemii wielu Włochów bierze sobie do serca słowa św. Leonarda z Porto Maurizio: „Życie jest krótkie, śmierć pewna, masz tylko jedną duszę, co będzie, jeśli ją stracisz?”



GRZEGORZ GÓRNY

Wszyscy w Italii znają postać kapucyna o. Cristofora. To jeden z głównych bohaterów powieści Alessandro Manzoni „Narzeczeni” z 1827 r. – książki, która we włoskiej literaturze zajmuje podobne miejsce jak w Polsce „Pan Tadeusz”. Akcja utworu rozgrywa się w latach 1628–1630 w Lombardii. Kulminacyjnym momentem jest epidemia dżumy, która przeszła do historii pod nazwą wielkiej zarazy Mediolanu. To właśnie wtedy o. Cristoforo oddał życie, zarażając się śmiertelną chorobą, gdy niósł pomoc potrzebującym. Nic więc dziwnego, że postać kapucyna weszła do kanonu włoskiej kultury jako symbol ofiarności i poświęcenia duchownych w czasach zarazy. Obecna pandemia prowokuje do porównań z minionymi czasami i postawami księży.

„DO ZOBACZENIA W NIEBIE!”

Dzisiaj sytuacja wygląda inaczej niż w XVII stuleciu, gdy kapłani w czasach zarazy mogli się swobodnie poruszać i odwiedzać chorych, spowiadając ich, udzielając komunii i ostatniego namaszczenia. Obecnie władze włoskie wydały zarządzenie, że pacjent, który jest zabierany z domu karetką i umiesz-

czony w szpitalu na oddziale chorób zakaźnych lub intensywnej terapii, nie może mieć z nikim kontaktu: ani z księdzem, ani z członkami najbliższej rodziny. Nie mogą się oni widzieć ani słyszeć, a niekiedy nawet rozmawiać przez telefon. W przypadku śmierci chorego bliscy nie mogą uczestniczyć w jego pogrzebie. Pochówek odbywa się bez świadków i bez ceremonii religijnej.

W tej sytuacji możliwość docierania duchownych do osób zarażonych jest mocno ograniczona. Biskupi bez zastrzeżeń podporządkowali się decyzjom władz, uznając ich argument, że kapłan, mimo braku objawów choroby, może roznosić wirusa i zarażać nim innych. To sprawia, że właściwie jedyną szansą, by ciężko chorzy mogli spotkać księdza, jest sytuacja, w której duchowny trafia na oddział zakaźny lub intensywnej terapii.

Znane są przypadki księży, którzy po przewiezieniu do szpitala podnosili pacjentów na duchu, wlewali im nadzieję w serca, udzielali sakramentów i przygotowywali do przejścia na tamten świat. Całe Włochy obiegło zdjęcie 95-letniego ks. Cirilla Longa, który przed śmiercią w szpitalu w Bergamo uniósł do góry ręce w geście triumfu. Odchodząc, mówił: „Nie lękajcie się! Wszyscy jesteście w rękach Boga. Do zobaczenia w nie-

bie”. Zanim to nastąpiło, przez osiem dni pocieszał nie tylko pacjentów, lecz także personel medyczny, zachęcając do odprawiania różańca.

Najgłośniejszym echem odbił się jednak przypadek 72-letniego ks. Giuseppe Berareldiego, który w szpitalu w Lovere odmówił podłączenia go do respiratora, dzięki czemu z urządzenia mógł skorzystać drugi pacjent. Inny duchowny, 80-letni ks. Corrado Forest z diecezji Vittorio Veneto, przyjął zarażenie koronawirusem jako nową formę posługi kapłańskiej. Swemu biskupowi powiedział przed śmiercią: „Nie jest złe, że niektórzy księża również zapadają na tego rodzaju choroby po to, by dzielić to samo doświadczenie, którym żyje teraz wielu innych ludzi”.

Do tej pory z powodu epidemii COVID-19 zmarło w Italii ponad 100 księży, z których najmłodszy miał 45 lat, a najstarsi ponad 100. Ich wzruszające nekrologi we włoskich gazetach przywodzą na myśl epitafia z tomu poezji Edgara Lee Mastera „Umarli ze Spoon River”.



„NIE LĘKAJCIE SIĘ!”

Chrześcijańską postawę prezentują nie tylko księża, lecz także katolicy świeccy pracujący w placówkach medycznych. Dyrektor oddziału chorób zakaźnych w szpitalu Sacco w Mediolanie Amadeo Capetti mówi np. swoim pacjentom, że bitwę o zdrowie wszyscy wcześniej czy później i tak przegramy, ponieważ każdy z nas umrze, dlatego powinniśmy traktować zdrowie jako sposób spotkania i rozpoznania w swym życiu tego, który powołał nas do istnienia. Celem nie jest bowiem samo przeżycie, lecz uczynienie naszego życia wielkim, przekonuje doktor. W tym sensie epidemie są szansą, by odkryć sens własnego życia.

Wielu Włochów przyznaje, że w dniach pandemii znów zaczęło się modlić. W internecie krążą nie tylko „złote myśli” celebrytów, lecz także maksymy świętych Kościoła, np. św. Leonarda z Porto Maurizio: „Życie jest krótkie, śmierć pewna, masz tylko jedną duszę, co będzie, jeśli ją stracisz?”. Albo Jana Pawła II: „Nie lękajcie się! Otwórzcie drzwi Chrystusowi!”. Rozwijają się też akcje umieszczania na drzwiach domów wizerunków Jezusa Miłosiernego z podpisem „Jezu, ufam Tobie”.

Do podobnych sytuacji dochodzi też w Hiszpanii – drugim najbardziej dotkniętym epidemią kraju w Europie. Tam również umierający katolicy w szpitalach potrafią swą wiarą podnosić na duchu innych pacjentów i personel medyczny, jak np. zmarły poeta z Getafe – Manuel Jiménez Rueda.

Dr Blanca Gracia Gutiérrez, która pracuje na oddziale intensywnej terapii w szpitalu w Madrycie, w wywiadzie dla czasopisma „Ecclesia” zauważa, że ludzie wierzący zupełnie inaczej przyjmują spadające na nich cierpienie. „Kiedy proszą mnie, abym się za nich pomodliła, robię to, ale mówię im, żeby oni też pomodlili się za mnie”, mówi lekarka, opowiadając o więzi duchowej, jaka w tych dniach zadzierga się między doktorami, pielęgniarkami i pacjentami.

Blanca Gracia Gutiérrez mówi, że epidemia uczy pokory: dzięki niej ludzie uświadamiają sobie, że nie są bogami i nie mogą wszystkiego. Często bowiem zapominamy o swych ograniczeniach i dążymy do tego, by mieć wszystko pod kontrolą. Niewidzialny wirus pokazuje nam natomiast, że jesteśmy całkowicie zależni od Boga. Lekarka przyznaje, że tylko dzięki wierze czerpie siły do codziennej kilkunastogodzinnej walki z koronawirusem na pierwszej linii frontu.

Wszyscy powtarzają, że po ustaniu pandemii koronawirusa świat nie będzie już taki sam, jaki znaliśmy wcześniej. Czy dotyczy to również życia religijnego? Czy ludzie, którzy przeżyli to doświadczenie, staną się lepsi? Czy nastąpi odrodzenie duchowe i moralne?

CZY PRZYJDZIE ODRODZENIE?

Interesujące rezultaty przynosi badanie przeprowadzone przez renomowany ośrodek Pew Research Center w USA. Wynika z niego, że w czasie epidemii 15 proc. Amerykanów, którzy nigdy się nie modlili, zaczęło się modlić. Także 24 proc. respondentów deklarujących się jako nienależący do żadnej wspólnoty wyznaniowej podjęło w tych dniach modlitwę. Instytut Gallupa opublikował z kolei raport mówiący, że 19 proc. Amerykanów pogłębiło swe życie religijne w dniach pandemii, mimo że nie chodzili w tym czasie do kościoła. Wydawnictwo Alabaster z Kalifornii, specjalizujące się drukowaniu Biblii w popularnej formie, poinformowało natomiast, że w porównaniu z zeszłym rokiem za-

notowało sprzedaż swych publikacji wyższą o 143 proc.

Niektórzy wskazują, że jest to zjawisko charakterystyczne dla USA, które są najbardziej rozbudowanym religijnie krajem Zachodu, w mocno zsekularyzowanych państwach Europy może zaś być inaczej.

Generalnie w analizach dotyczących obecnej pandemii pojawia się to samo stwierdzenie: świat już nie będzie taki sam po jej ustaniu. Czy dotyczy to również życia religijnego? Czy ludzie, którzy przeżyli to doświadczenie, staną się lepsi? Czy nastąpi odrodzenie duchowe i moralne?

Włoski publicysta Silvio Brachetta uważa, że nic takiego nie nastąpi, o czym przekonuje historia XX w. Po I wojnie światowej i epidemii hiszpanki, które pochłonęły łącznie kilkadziesiąt milionów ofiar, nastąpił triumf komunizmu w Rosji i faszyzmu we Włoszech, zaś szalone lata 20. w świecie zachodnim stały pod znakiem obyczajowej dekadencji i rozwiązłości. Po kryzysie finansowym 1929 r. doszło do „wielkiej depresji” w USA, zwycięstwa narodowego socjalizmu w Niemczech, wojny domowej w Hiszpanii, w końcu zaś do najbardziej ludo-bójczego konfliktu w historii. Po II wojnie światowej ludzkość też się nie opamiętała, czego dowodem jest zwycięski pochód marksizmu (w wersji zarówno ustrojowej, jak i kulturowej), rewolucja seksualna, dechrystianizacja i apostazja całych narodów, legalizacja i powszechne przyzwolenie dla aborcji etc.

Według Brachetty nic nie wskazuje na to, by obecna pandemia miała doprowadzić do głębokiej przemiany duchowej społeczeństw Zachodu, które – odkąd weszły w epokę nowożytności – pozostają dumne i zarozumiałe. Dla nich Kościół już dawno przestał być autorytetem. Oczywiście dziś także pojawiają się święci i męczennicy, ale ich przykład zostaje zagłuszany przez medialny zgłęb. Dlatego – zdaniem włoskiego publicysty – gdy epidemia się skończy, wszystko powróci na stare tory. Chyba że to dopiero początek plag...

Artyści w antrakcie

Większość liczy już straty, nieliczni liczą na zyski. Tracą aktorzy i prywatne teatry, ale rozkwita rynek dzieł sztuki. Dla wielu artystów pandemia koronawirusa jest też czasem refleksji

Kiedy skończy się pandemia, ludzie ruszą do kin. Będą potrzebowali rozrywki, odreagowania. Czy zechcą oglądać filmy związane z tym, co teraz przeżywamy? Wątpię. Raczej zechcą jak najszybciej o wszystkim zapomnieć. Jeśli oczywiście nie przeżyją osobistej tragedii, bo wtedy trudno będzie nie pamiętać – mówi mi reżyser Marcin Ziębiński.

Siedząc w warszawskim mieszkaniu, słucha muzyki do swojego najnowszego filmu „Banksterzy”. Premiera będzie przesunięta, jak wielu innych filmów na całym świecie. Prognoza, kiedy sytuacja wróci do normy, przypomina wrócenie z fusów. Wszyscy filmowcy biorą jednak pod uwagę przełożoną na jesień premierę najnowszego „Bonda” i stąd czerpią nadzieję, że najpóźniej wtedy wróci normalność.

– Filmowcy są przyzwyczajeni do tego, że jakieś projekty spadają, nauczyli się więc cierpliwie czekać. Pracujemy trochę skokami: są pieniądze, to wszystko rusza. Jeśli wymyśla się koncepcję i nie angażuje pieniędzy, to nie jest to dramatyczna sytuacja. Gorzej z ludźmi, którzy nie mają oszczędności, tylko kredyty i muszą stale zarabiać, a w takiej sytuacji znalazło się wielu artystów – podkreśla Ziębiński.

Uważa, że tarcza antykryzysowa powinna załagodzić sytuację i zaciskając trochę pasa, środowisko filmowe przetrwa. Państwowy Instytut Sztuki Filmowej obiecuje już zapomogi, przesuwając środki z finansowania nowych projektów na fundusz pomocowy.

To będzie pomoc doraźna, a potem cała branża może się odbić od dna.

– Wszystko ruszy z kopyta. Założmy nawet najgorszy wariant: ludzie zbiednieją i nie będą chodzić do kina. No to jeszcze bardziej będą oglądać telewizję. Jesienią posypie się mnóstwo zamówień ze stacji telewizyjnych, które teraz jadą na powtórki. Zaczniemy kręcić nowe serie, a także nowe reklamy – mówi z optymizmem Ziębiński.

Pandemii jako czas refleksji definiuje Krzysztof Zanussi. Sądzi wręcz, że może przyspieszyć pewne zmiany cywilizacyjne, choć wszystko zależy też od tego, jak bardzo dotknie ona świat.



MAJA NARBUTT

– Zapewne wyjdziemy z pandemii bardziej świadomi. Historia często wymusza rewizję postaw. Może skończy się zmore reklam, które uczą nas zaspokajania potrzeb, których nie mamy, skłaniają do konsumpcji i pogoni za przyjemnością. A taka postawa nie jest owocna. Nie powinniśmy więc przywracać tego modelu życia, który już był, ale wymyślić coś nowego. Życie skromniej, skupić się na czymś innym niż

pragnienie ciągle rosnącej zamożności – mówi mi Krzysztof Zanussi.

Wirus SARS-CoV-2 uświadamia wszystkim, nie tylko artystom, że obraz życia upowszechniany przez kulturę masową był fałszywy, podobnie jak nasze poczucie bezpieczeństwa.

– Kilkadziesiąt lat po wojnie zapomniano o festiwalu okropności, z jakim zetknęli się wtedy ludzie. Nie chciano przyjmować do wiadomości dramatyzmu egzystencji, było to bardzo niepopularne. Teraz musimy się z tym skonfrontować – uważa Zanussi.

Jednak na razie nie ma materiału na kino moralnego niepokoju – pojawiłby się w sytuacji, gdybyśmy musieli się dzielić ostatnią konserwą i ostatnim bochenkiem chleba.

ŁAMANIE REGUŁ GRY

Nie wszyscy filmowcy zdolni są do refleksji, co w pewnych wypadkach nie dziwi. Bardziej zaskakuje to, że niektórzy nie potrafią przestrzegać społecznych reguł związanych z pandemią.

Nieoczekiwanie okazało się, że swój film, zatytułowany roboczo „Seryjny samobójca”, kręci teraz Patryk Vega, a w scenach zbiorowych uczestniczy wielu aktorów i statystów.

– W swoich filmach pokazywał łamanie reguł i najwyraźniej uwierzył, że on sam ma prawo to robić – mówi mi jeden ze znanych filmowców.

Postawa Patryka Vegi budzi powszechne oburzenie. Część filmowców nawołuje już do bojkotu jego filmu oraz objęcia środowiskowym ostracyzmem reżysera i aktorów, którzy zgodzili się zagrać.



Jerzy Zelnic

Trudno zrozumieć motywację Vegi – być może należy do tzw. koronadebili, czyli ludzi, którzy ostentacyjnie lekceważą ograniczenia związane z pandemią, uważając, że są przesadne i stanowią zamach na ich wolność osobistą.

Trudno też wątpić, że reżyser, który lubi się chwalić swoim lam-borghini, ma środki finansowe, które pozwoliłyby mu spokojnie przeczekać krytyczny okres.

W znacznie gorszej sytuacji są ludzie teatru, zwłaszcza teatrów prywatnych. Rozpaczliwie walczą o przetrwanie – odwołane spektakle oznaczają katastrofę finansową. Apelują więc do widzów o wsparcie, czyli o to, by nie domagali się zwrotu pieniędzy za bilety na przedstawienia, które się nie odbyły, ale przenosili rezerwację na inne terminy.

Powszechnie znana jest sytuacja teatru Kamienica prowadzonego przez Emilianą Kamińskiego, który otwarcie mówi, że jego placówka jest na skraju przepaści, waga się losy zespołu aktorskiego, a także wszystkich ludzi, którzy tam

W związku z pandemią 90 proc. środowiska aktorskiego ma kłopoty finansowe. Sam wiem najlepiej, że rezygnacja z występów, z koncertów oznacza bardzo konkretne straty. Pandemia ma jednak jedną dobrą stronę – wreszcie można zwolnić, skupić się, wyciszyć – mówi Jerzy Zelnic

pracują. W podobnej sytuacji są też inni. Choćby Anna Gornostaj, która założyła i sfinansowała teatr Capitol, czy Małgorzata Potocka prowadząca jedyny w Polsce teatr rewiowy.

– Nie da się przenieść energii, jaka przepływa między widzami i aktorami do internetu. Stworzyłam swój teatr 11 lat temu własnymi rękami i jest mi oczywiście ciężko. Ale wierzę, że jak się coś zbudowało, to zawsze można odbudować. Co mam zrobić? Trzeba myśleć etapami, robić wszystko krok po kroku – mówi mi Anna Gornostaj. Właśnie kończy 14-dniową kwarantannę, w ostatniej chwili zdążyła wrócić do Polski z Kapsztadu dzięki akcji „Lot do domu”.

Przeżyła wręcz filmową przygodę – utknęła na Antarktydzie na statku wycieczkowym razem z pasażerami różnych narodowości. I tylko ona mogła skorzystać z bezpośredniego lotu do kraju. Zdezorientowani Amerykanie miotali się, szukając skomplikowanej siatki połączeń, a Niemcy stracili wiarę



Jerzy Kalina

Fot. Andrzej Wiktor

w ich doskonale zorganizowane państwo, które wszystko im załatwi.

Takie doświadczenia hartują i wyrabiają dystans. Przywracają też wiarę, że da się wyjść z kłopotów.

– W związku z pandemią 90 proc. środowiska aktorskiego ma kłopoty finansowe. Sam wiem najlepiej, że rezygnacja z występów, z koncertów oznacza bardzo konkretne straty. Ja mam oszczędności i daję sobie radę, ale dla innych oznacza to spore problemy z opłaceniem rachunków. Pandemia ma jednak jedną dobrą stronę – wreszcie można zwolnić, skupić się, wyciszyć. Zrozumieć, że nie powinniśmy dać się porwać gorączkowej pogoni za sukcesem i przyjemnościami. Dla aktora taki czas na refleksję, naładowanie akumulatorów, pracę nas sobą i swoim warsztatem jest bezcenny. Byleby nie trwał dłużej niż powiedzmy trzy miesiące – uważa Jerzy Zelnik.

Jak mówi, zaszył się w swoim domu na wsi i intensywnie pracuje nad nowymi projektami, małymi formami teatralnymi. – Wreszcie nic mnie nie rozprasza. Żadne zakupy, banki czy prozaiczne czynności domowe, które zresztą bardzo lubię, zwłaszcza prasowanie – mówi mi Zelnik.

ESTETYKA KORONAWIRUSA

Znacznie lepiej niż aktorzy radzą sobie z sytuacją narodowej kwarantanny malarze.

– Nawet jeśli jutro nastąpi koniec świata, będę malował, bo co innego mogę robić? Tak powiedział mi jeden ze studentów malarstwa. Też tak myślę, bo cóż innego może zrobić artysta? Najwyżej jeszcze się zatroszczyć, by zdążyć przeprosić bliskich. To dotyczy także pandemii, artyści mogą tworzyć dalej, lepiej lub gorzej, w ostateczności zawsze znajdzie się przynajmniej kartka papieru – mówi znany malarz Stanisław Baj.

Patrzy na pandemię z podwójnej perspektywy – artyści i profesora Akademii Sztuk Pięknych. Jak na wszystkich uczelniach studiuje się tu teraz za pośrednictwem internetu. W wypadku sztuk pięknych to trudne – nic nie zastąpi oryginału, a przekazywany profesorowi e-mailem obraz czy grafika daje tylko przybliżone pojęcie, jak praca wygląda w oryginale.

– Pandemia koronawirusa sprawiła, że młodzi artyści przyjęli postawę baczego obserwatora. Rejestrują, jak zmienia się rzeczywistość, pojawiają się nowe znaki graficzne, jak kartki i ogłoszenia na sklepach. Dla innych to czas refleksji. A poza tym malowanie bywa uwolnieniem się od emocji i lęków, choć przecież sztuka nie powinna być terapią – opowiada.

Nie ma jednak wątpliwości, że trudne i tragiczne czasy nigdy nie znajdują odpowiedniego odbicia w malarstwie. Tylko fotografia może oddać dramatyczne momenty, pokazać prawdę o doświadczeniach, jakie stały się udziałem ludzi.

Podobnie myśli Jerzy Kalina, wybitny artysta, autor wielu instalacji i rzeźb, m.in. pomnika Ofiar Katastrofy Smoleńskiej 2010 na pl. Piłsudskiego w Warszawie.

– Najbardziej wstrząsające dzieła sztuki są mniej wstrząsające niż to, czym się inspirują. Czym są „Okropności wojny” Goyi wobec prawdziwego okrucieństwa wojny? Teraz można tylko rejestrować to, co się dzieje. Kiedy patrzyłem na sfilmowane czarne ciężarówki wywożące trumny w Bergamo, przyszło mi na myśl, że to na miarę wyobraźni Frederica Felliniego. To, czego jesteśmy świadkami, jest niebywałe, nie jesteśmy przygotowani na takie widoki – uważa Jerzy Kalina.

Na ekranach telewizorów oglądamy ciągle powiększone mikroskopowe zdjęcia koronawirusa, są wszechobecne, stanowią tło programów informacyjnych i publicystycznych. Artysta potrafi dostrzec w nich złowrogię piękno i symbolikę.

– Koronawirus wygląda jak zaprojektowana, estetyczna forma. Jego osłonka rzeczywiście przypomina koronę. Zapanował nad światem, na całej kuli ziemskiej rozciąga się teraz jego królestwo. Bezsilni profesorowie rozkładają ręce. A kostucha kosi moje pokolenie – mówi mi Kalina.

Nic nie jest normalne ani takie jak zwykle, pandemia dotyka wszystkich i zmieniła wszelkie dziedziny życia. Jak przypomina Kalina, kiedy zmarł niedawno Krzysztof Penderecki, pożegnało go tylko kilka najbliższych osób, choć w normalnych okolicznościach ten światowej klasy artysta miałby państwowym pogrzeb.

Większość artystów odczuwa tak jak wszyscy poczucie izolacji, ale także zamrożenia inicjatyw artystycznych. To czas na przeczekanie, co bywa trudne.



Krzysztof Zanussi

Fot. Andrzej Wilk

– Już niedługo miało być odsłonięcie przed Muzeum Narodowym mojej instalacji „Zatrute źródło”, polemiki z wystawioną kiedyś w Zachęcie skandalizującą rzeźbą Maurizioa Cattelana, która przedstawia papieża Jana Pawła II przygniecionego meteorytem. Obawiam się jednak, że przyjdzie na to poczekać – ubolewa Jerzy Kalina.

Także Stanisław Baj mówi, że nie doczekał się wernisażu swoich prac wystawionych w warszawskiej Galerii Grafiki i Plakatu. Wiszą teraz w zamkniętym na cztery spusty lokalu. Można je jednak zobaczyć w internecie, bo tam przeniosło się życie kulturalne.

KLASA ŚREDNIA KUPUJE

Jednak chociaż nie działają galerie sztuki i sale ekspozycyjne, wcale nie znaczy to, że rynek dzieł sztuki zamarł. Jest wręcz przeciwnie.

– To spore zaskoczenie, ale sprzedaż dzieł sztuki w czasie pandemii ma się całkiem dobrze. Dotyczy to nie tylko młodych artystów, których obrazy i grafiki sprzedawane są teraz za pomocą internetowej platformy aukcyjnej. Jak przyznaje warszawski marszand Mikołaj Konopacki, który prowadzi aukcje, z przyjemnością odnotował, że uczestniczy w nich znacznie więcej chętnych niż zazwyczaj – mówi mi Katarzyna Włodarska, ekspert rynku dzieł sztuki.

Dla zamkniętych w domach i pracujących zdalnie przedstawicieli klasy średniej możliwość kupienia jednym kliknięciem dzieła sztuki jest atrakcyjną propozycją. Szczególnym popytem cieszą się zwłaszcza niezbyt drogie obrazy i grafiki cyfrowe, które nie zrujnują domowego budżetu. Tak jest przynajmniej teraz, ale nikt nie może zagwarantować, co się będzie działo, gdy klasa średnia zacznie tracić swoje miejsca pracy i dochody.

Wielu artystów prosperuje całkiem dobrze, oprócz dochodów ze sprzedaży obrazów mogą liczyć na najrozmaitsze granty i dotacje, przyznane jeszcze przed pandemią. Od lat funkcjonowali podpięci do finansowej kropłówki fundowanej przez państwo i nigdy nie miała na to wpływu żadna zmiana ekipy, która jest u władzy. Rynek dzieł sztuki zawsze był też trochę szarą strefą, niektórzy artyści osiągalni dochody wyższe niż deklarowane. W sytuacji pandemii najbardziej roszczeniowi okazali się ci, którzy sami teoretycznie mogliby jeszcze pomagać innym.

– Jako pierwsi o pomoc finansową ze strony państwa postulują ci, którzy najmniej tego potrzebują. Wszyscy w środowisku artystycznym wiedzą o sobie dużo, więc pewne sytuacje wydają się rażące. Jeśli wypłaty zapomogi w wysokości 5 tys. euro domaga się ktoś, kto posiada nieruchomości w najdroższych dzielnicach i kilka lokali na wynajem, to mocno to dziwi – podkreśla Katarzyna Włodarska.

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 5 kwietnia 2020 r. zmarła w Warszawie*

Ś.P.

**MJR JADWIGA ZOFIA OBREMBALSKA
PS. „JAGA”, „TADEUSZ”**

urodzona 4 kwietnia 1932 r. w Warszawie.

*Od lipca 1948 r. łączniczka antykomunistycznej
organizacji młodzieżowej „Skorpion” działającej na terenie Warszawy.*

*Aresztowana 4 kwietnia do 9 września 1949 r. więziona
w aresztach WUBP przy ulicy Sierakowskiego, Cyryla i Metodego
i w więzieniu karno-sledczym „Toledo” przy Ratuszowej.*

*Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie
skazana na karę jednego roku pozbawienia wolności w zawieszeniu.*

Wieloletnia Prezes Zarządu Głównego

*Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego
i członek Rady do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych.*

*W latach 1993-2001 Przewodnicząca Komitetu Budowy Pomnika
ku Czcii Pomordowanych w Praskich Więzieniach 1944-1956
im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego,
odsłoniętego 8 października 2001 roku przy ulicy Namysłowskiej.*

*Uchonorowana Krzyżem Oficerskim
Orderu Odrodzenia Polski,
Medalem Pro Bono Poloniae i innymi odznaczeniami.*

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jej Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Reklama | 19.04.2020

Media i demokracja w czasach zarazy

Świat informacji w coraz większym stopniu staje się bronią, wpływającą na losy państw i narodów. Jak byśmy dziś wyglądali, realizując plany poprzednich ekip wzywających do prywatyzacji, czyli faktycznie likwidacji, Telewizji Publicznej? Albo wysłuchawszy propozycji, aby zablokować jej dofinansowanie? W czasach epidemii wyraźnie widać, że przeciwnicy pluralizmu w mediach są w istocie przeciwnikami demokracji

WIADOMOŚCI
MEDIA
NEWSY
WIADOMOŚCI
FAKE



MAREK BUDZISZ

36-letni mieszkaniec Pretorii w Afryce Południowej został aresztowany, po tym jak nagrał film wideo, który następnie umieścił w sieci. Uwiecznił na nim siebie i grupę swoich kompanów, którzy na jednym z placów w mieście zorganizowali wesołe party z grillem, alkoholem i śpiewami. Ale chodziło nie o łamanie zakazów zgromadzeń wprowadzonych przez rząd w związku z pandemią COVID-19, jak poinformowano w biurze południowoafrykańskiego szefa policji – choć to też złamanie prawa – ale o to, że na filmie wykrzykiwał on, że nie ma żadnego koronawirusa, nie ma potrzeby noszenia maseczek i warto cieszyć się życiem z przyjaciółmi, a nie siedzieć w zamknięciu. To zaś uznano za rozprzestrzenianie fake newsów, czyli dezinformację, która może zagrażać ludzkiemu życiu.

W Singapurze tamtejszy rząd, zresztą głośno krytykowany przez opozycję i obrońców praw człowieka, wprowadził jeszcze w lutym specjalne regulacje, które w zamyśle mają ułatwiać walkę z falą fałszywych informacji, plotek i niesprawdzonych pogłosek, które zalały media społecznościowe po

wybuchu epidemii COVID-19. Z podobną krytyką spotkały się regulacje na Węgrzech, które dały możliwość skazywania na wyroki wieloletniego więzienia osób rozprzestrzeniających w sieci fake newsy. Skłonne do stygmatyzowania Viktora Orbána europejskie media i politycy głównego nurtu, nie wyłączając z tego grona lidera Europejskiej Partii Ludowej, uważają, że działania podjęte na Węgrzech są w istocie kre-



sem demokracji w tym kraju i początkiem niedemokratycznych rządów.

Podobnie odczytywana jest decyzja władz tureckich dotycząca wniesienia dwóch aktów oskarżenia wobec Fatiha Portakala, popularnego dziennikarza tamtejszej stacji telewizyjnej Fox. Umieścił on w sieci post, w którym pisał, że rozpoczęła właśnie przez władze, po apelu prezydenta Erdoğan, publiczna zbiórka środków

na walkę z trapiącą Turcję pandemią może być wstępem do kon-

fiskaty pieniędzy obywateli znajdujących się w bankach. I ta decyzja spotkała się z ostrą krytyką obrońców wolności wypowiedzi.

Interpretowana jest jako kolejny dowód trendów autorytarnych w tym kraju.

Obrońcy wolności słowa nie trudzą się jednak szukaniem odpowiedzi na pytanie, jakie

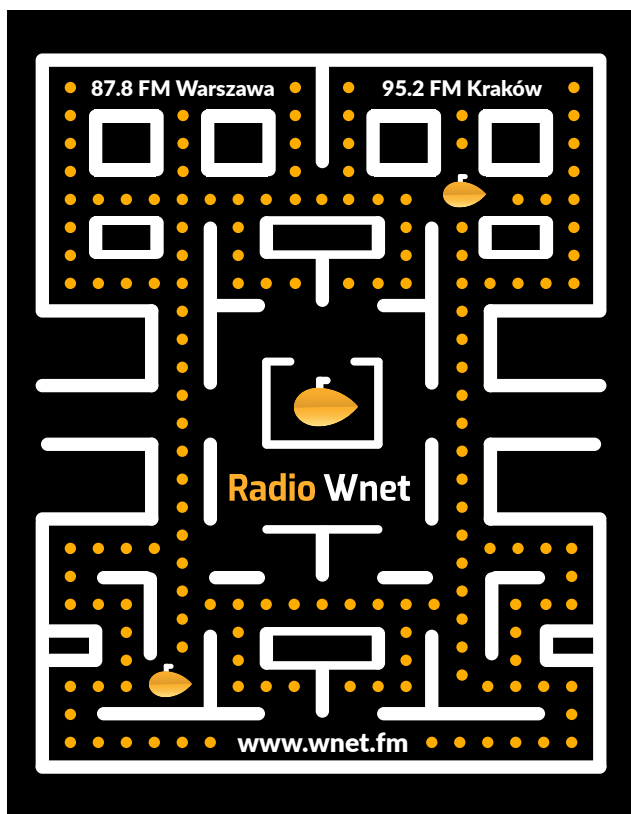
Paradoksalnie jedynym pożytkiem z epidemii COVID-19 jest to, że bez zasłony medialnej możemy oglądać, jak państwa realizują swoje interesy. Bezwzględnie i nie oglądając się na innych. Najlepszym przykładem są tu Niemcy, ale nie tylko one

skutki dla przeżywającej i tak trudne chwile tureckiej gospodarki miałby wywołany tweetem popularnego dziennikarza szturm obywateli na banki, po to by zabrać stamtąd swoje pieniądze, jeszcze zanim rząd je „skonfiskuje”. O zagrożeniu, jakie taka panika niesie dla tłoczących się przed bankami desperatów, też nikt nie pomyślał.

PANDEMIA FAŁSZYWYCH INFORMACJI

Jeremiady obrońców wolności wypowiedzi nie są jednak w stanie przysłonić dwóch kwestii. A mianowicie pytania o to, w jaki sposób władze powinny reagować na falę zapelniających internet fake newsów oraz jak traktować wpisy osób cieszących się z racji sprawowanych funkcji lub profesji społecznym zaufaniem, które bez żadnych argumentów, a nieraz z pobudek politycznych tworzą, nagłaśniają i dystrybuują informacje, które często okazują się nieprawdą albo w najlepszym wypadku półprawdą. Dylemat ten w czasach pandemii jest o tyle bolesny, że tego rodzaju dezinformacja może kosztować w rezultacie życie wielu ludzi. W czasach kiedy – jak

REKLAMA



59/0320/F

wynika z badań przeprowadzonych przez Instytut Reutersa ds. Studiów nad Dziennikarstwem w 2019 r. – dla 67 proc. użytkowników sieci źródłem informacji jest Facebook, a 42 proc. ankietowanych wskazuje na YouTube i niewiele mniej, bo 41 proc., na WhatsApp (w badaniach można było wskazać więcej niż jedno) pytanie o to, czego ludzie dowiadują się w ten sposób, ma kluczowe znaczenie. Tym bardziej że – jak mówi brytyjskiemu „The Guardian” Kate Starbird, specjalistka w zakresie komunikowania się w czasach kryzysu z Washington State University – zwłaszcza w czasach społecznych napięć, niepokoju, kryzysów, główny obieg informacyjny nowoczesnych społeczeństw przenosi się do internetu. Argumentuje, że kryzys zawsze wyzwala u ludzi duże pokłady niepewności, co prowadzi do wzrostu niepokoju. Każdy próbuje na własną rękę racjonalizować sytuację, w której się znalazł, głównie przez poszukiwanie informacji, autorytetów i wyjaśnienia tego, co się dzieje. Tym bardziej w czasie pandemii to, co ludzie czytają w sieci i słyszą w mediach elektronicznych, ma fundamentalną wagę.

Zwrócił na to uwagę w swoim wystąpieniu już 15 lutego na niedawnej Monachijskiej Konferencji ds. Bezpieczeństwa Tedros Ghebreyesus, szef Światowej Organizacji Zdrowia, mówiąc – tylko że wówczas nikt tego wystąpienia nie wziął pod uwagę – iż obok epidemii COVID-19 mamy do czynienia obecnie również z pandemią fałszywych, dezinformujących opinii publiczną informacji, których kolportowanie osłabia samodyscyplinę społeczną, autorytet władz, powszechne stosowanie się do obostrzeń. A to w efekcie oznacza dramatyczny wzrost zagrożenia dla życia ludzkiego.

Przypomnijmy sobie zresztą, co mogliśmy na ten temat czytać w Polsce. Od pochodzących „z najpewniejszych źródeł” informacji, że rząd zamknie miasta, Warszawy nie wyłączając, po krytykę każdego praktycznie posunięcia władz, pisanie, że minister Łukasz Szumowski spędza dnie na oglądaniu Netflixa, bezpodstawne oskarżenia o ukrywanie skali trapiącej nasz kraj epidemii czy odmieniane na wszystkie możliwe sposoby słowo „nieprzygotowanie”. Do tego dołączają się fałszywe rady, w najlepszym wypadku świadczące o ignorancji, w najgorszym o intencji szkodenia, aby rozpocząć masowe testy, których efektem byłoby przeciążenie służby zdrowia, „zluzowania” w imię rozwoju gospodarki wprowadzonych ograniczeń czy zadziwienia świata deszczem drukowanych ad hoc pieniędzy, które będziemy w stanie wpompować do naszej gospodarki. To wszystko pisane przez dziennikarzy, polityków i osoby publiczne, umieszczane na ich kontach internetowych śledzonych przez dziesiątki tysięcy osób.

Żadnemu z „autorytetów” polskiego świata dziennikarskiego, wypisujących sążniste posty o tym, że rząd ukrywa rzeczywistość liczbę osób, które zmarły w wyniku epidemii, nie

przyszło do głowy, że kompromitują się właśnie zawodowo, bo przecież to doskonale pole do wykazania swej dziennikarskiej sprawności i odkrycia afery na miarę Watergate. Ale nie pomyśleli też o tym, że ta fala już nie krytyki, ale pomyj wylewanych na głowy osób starających się robić co w ich mocy, aby powstrzymać epidemię, to nie jest polityczna rozgrywka, ale lekceważenie życia ludzkiego.

JAK NA WOJNIE

Pandemia COVID-19 uczy nas jeszcze czegoś innego. Mianowicie tego, że informacja jest bronią, której można używać również po to, aby osłabiać potencjalnych rywali. Amerykańska prasa od tygodni informuje, że różne scenariusze zakładające rozprzestrzenianie się pandemii na obszarze Stanów Zjednoczonych od lat były analizowane przez Pentagon. Z tego przede wszystkim powodu, że prowadzone gry wojenne często zakładają sytuację, w jakiej się obecnie znajdujemy, „wzbogaconą” o działanie zbrojne. A zatem możemy na własnej skórze (choć raczej w warunkach ulgowych) poznać i odczuć to, jak może wyglądać rzeczywistość stanu konfliktu zbrojnego, kiedy dyscyplina społeczna, zaufanie do informacji dystrybuowanej przez władze oraz podporządkowanie się ich zaleceniom ma zupełnie inny wymiar niż w normalnych czasach. Tym bardziej orędownicy obywatelskiego nieposłuszeństwa, paraliżowania instytucji publicznych, sabotowania swoich funkcji czy obowiązków

winni dziś odczuwać wstyd, bo te ich publiczne apele, nawet jeśli okazały się żałośnie nieskuteczne, osłabiły tak potrzebny dziś kapitał zaufania społecznego do polityki rządu.

Informacja jest bronią na innym, równie ważnym, polu rywalizacji, w której uczestniczą narody. Pandemia COVID-19, co dzisiaj nie budzi wątpliwości właściwie u nikogo z grona międzynarodowych ekspertów, doprowadzi do przetasowania w światowym układzie sił i zmiany priorytetów w zakresie bezpieczeństwa, a w efekcie i gospodarki. Państwa już bez medialnego przykrycia, bo nie ma na to czasu, realizują swój egoistyczny interes. To dlatego Niemcy zatrzymali transporty masek i kombinezonów zakupione przez rząd Węgier, a agenci amerykańskich służb specjalnych przechwycili w Bangkoku podobne, kierowane do Francji i Niemiec. Nie ma czasu na sentymy w tych dniach. Nie ma możliwości, kiedy trzeba działać szybko, konstruowania wyrafinowanych strategii komunikacyjnych, których celem jest wmawianie szerokiej publiczności, że świat wygląda inaczej, niż wszyscy podświadomie to czują. To dlatego deklaracje o unijnej solidarności, wspieraniu się, współdziałaniu runęły niczym domek z kart. Podobnie zresztą jak wszystkie deklaracje w zakresie relacji długu publicznego, deficytu budżetowego do PKB czy wa-

Pandemia pozwala zrozumieć, jak ważne są instytucje, którymi dysponujemy, sprawność administracji, zdolność mobilizowania opinii publicznej i generowania strumienia sprawdzonych, wiarygodnych informacji

runków pomocy publicznej. To przecież Berlin jako jeden z pierwszych ogłosił użycie „bazooki”, bo tym mianem federalny minister Peter Altmaier określił ambitne programy pomocowe, tylko przy okazji zapomniał, że wcześniej należałoby zawiesić albo znieść „święte” zasady w tym zakresie. Dlatego też holenderskie i niemieckie elity blokują pomysł wspólnych europejskich koronaobligacji, bo ich wprowadzenie oznaczałoby przekazanie części środków krajom południa Europy, a także ponoszenie części kosztów. A pokusa jest silna, bo samodzielnie Holandia, Finlandia czy Austria mogą pozyskać większy i tańszy kapitał na międzynarodowych rynkach niż wespół z Hiszpanią i Włochami.

BEZ SENTYMENTÓW

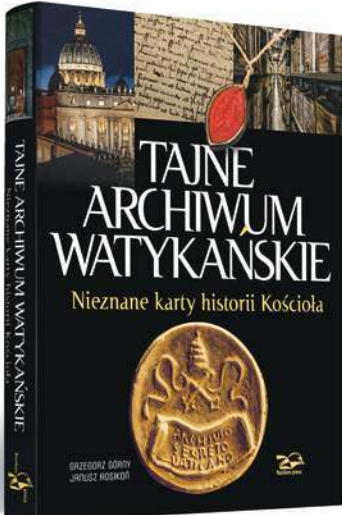
Paradoksalnie to chyba jedyny pożytek z COVID-19, kiedy możemy oglądać bez narracyjnej agresji i zasłony medialnej, jak państwa realizują swoje interesy. Bez względu na to, czy się na innych. Najlepszemu przykładu znów dostarczają nam Niemcy, którzy mają duży problem z brakiem sezonowych pracowników mogących zbierać warzywa na tamtejszych plantacjach. Związki farmerów alarmowały rząd w Berlinie o tym, że na gwałt potrzebują 100 tys. ludzi, a plan rekrutowania do tych prac miejscowych bezrobotnych i pensjonariuszy opieki społecznej nie działa, bo ci nie garną się do ciężkich prac w polu. Co w takiej sytuacji ma zamiar zrobić niemiecki rząd? Przywiezie gąsienicarzy z Bułgarii i Rumunii samolotami, uprzednio badając ich, czy nie są zarażeni, choć ten środek w świetle faktu, że przez pierwsze 7 do 10 dni infekcja nie daje objawów, a testy też nie zawsze ją wykrywają, może się okazać zawodny. Potem 80 tys. ludzi, bo o takim „importie” siły roboczej się mówi, mają być odizolowani w specjalnych obozach na minimum 2 tygodnie. Pracować będą też w ten sposób, aby nie stykać się z miejscową ludnością. Tu nawet nie chodzi o historyczne skojarzenia, ale o to, że ta rzesza ludzi zostanie odesłana do domu. Ilu z nich przywiezie ze sobą infekcję?

BITWA O MEDIA

Pandemia pozwala również zrozumieć, jak ważne są instytucje, którymi dysponujemy, sprawność administracji, zdolność mobilizowania opinii publicznej i generowania strumienia sprawdzonych, wiarygodnych informacji. Niewiele moglibyśmy zrobić w zakresie wsparcia dla polskiej gospodarki, gdyby służby skarbowe w poprzednich latach nie usprawniły poboru podatków (bo pomoc na wznowienie aktywności przemysłu i usług mogłaby szybko wywędrować poza nasze granice), podobnie jak brak kontroli nad znaczącym segmentem sektora bankowego czyniłby nasze plany i założenia jałowymi. Dotyczy to także świata informacji, który dziś w coraz większym stopniu staje się bronią wpływającą na losy państw i narodów. Jak byśmy dziś wyglądali, realizując plany poprzednich ekip wzywających do prywatyzacji, czyli faktycznie likwidacji, Telewizji Publicznej? Albo wysłuchawszy propozycji, aby zablokować jej finansowanie? W jaki sposób władze byłyby w stanie sprawić, aby ich komunikaty nie utonęły w zalewie hejtu, plotek i dezinformacji? Wybór w tym zakresie byłby dość oczywisty – albo cenzura, czyli droga, którą w obliczu wyzwań wybierze wiele rządów, i karanie więzieniem tych, którzy zdecydują się kłamać w mediach elektronicznych, albo rzeczywisty pluralizm mediów, bo tylko on gwarantuje, że prawdziwe komunikaty dotrą do szerokiej publiczności. To właśnie utrzymanie mediów przeciwstawiających się fali dezinformujących opinię publiczną tweetów, postów, artykułów czy na pozór sensacyjnych doniesień jest dziś gwarancją z jednej strony skuteczności walki z pandemią, z drugiej zaś obrony i zachowania systemu demokratycznego. Dosłownie, bo chodzi o utrwalenie systemu, w którym każdy w zależności od swoich gustów, preferencji i poglądów może korzystać z odpowiadającego jego potrzebom „produktów” medialnych. Dziś wyraźnie widać, że przeciwnicy pluralizmu w mediach są w istocie przeciwnikami demokracji. Może dlatego chcą przełożenia wyborów.

REKLAMA

ponad 700 map,
zdjęć i ilustracji
352 strony
sklep internetowy:
www.rosikonpress.com
tel. 22 722 66 67



Tajne Archiwum Watykańskie
Nieznane karty historii Kościoła

Grzegorz Górny
Janusz Rosikon

Rosikon press 30 lat

TAJNE ARCHIWUM WATYKAŃSKIE

to najbardziej intrygująca książka w dorobku Grzegorza Górnego i Janusza Rosikonia. Reportażysta i fotograf wchodzi do środka jednej z najbardziej strzeżonych instytucji na świecie – Tajnego Archiwum Watykańskiego. Przybliżają kulisy kontrowersyjnych wydarzeń z dziejów Kościoła, takich jak np. proces templariuszy, wyprawy krzyżowe, działalność inkwizycji, proces Galileusza czy postawa Piusa XII wobec Holokaustu. Błyskotliwie napisana książka, ilustrowana wieloma unikalnymi zdjęciami jest obowiązkową lekturą dla tych, których pasjonują zagadki historii.

PATRONAT

TVP
HISTORIA

GOŚĆ
NIEDZIELNY

wiara.pl

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI DO 1998



Świeczka i „ciemna liczba”

Skrajną nieuczciwością jest – przynajmniej w znanym nam teraz momencie rozwoju pandemii – mówienie, że Polska sobie radzi gorzej z tym strasznym problemem niż inne kraje



ANDRZEJ NOWAK

W mediach takich jak Onet, wp.pl, TVN24 czy „Gazeta Wyborcza” – docierających do milionów odbiorców w Polsce – od początku choroby pojawiają się dramatyczne porównania i apele: w Polsce jest najgorzej, gdzie indziej są wzory do naśladowania, dlaczego u nas nie jest jak na „Zachodzie”, w „Europie”, w „cywilizowanych” państwach? Każdy dziś wie, że Włochy, Hiszpania, Stany Zjednoczone, także Wielka Brytania to przykłady krajów,

którym można współczuć i trudno niestety stawiać je za wzór zapobiegliwości w walce z rozprzestrzenianiem się wirusa. O nich nie będziemy więc tutaj mówić. Za wzór natomiast stawiano i nawet nadal stawia się Polsce takie kraje jak Szwecja, może też inne centrum nowoczesności i postępu – kraje Beneluksu, wreszcie – Niemcy. Sprawdzam.

PORÓWNANIE DANYCH PANDEMII

Jest niedziela 5 kwietnia, 19.30. Na stronie internetowej www.worldometers.infor.coronavirus są stale aktualizowane dane o rozwoju pandemii. W Belgii: 20 tys. chorych, ponad 3750 zmarłych na koronawirus, co w przeliczeniu na milion mieszkańców daje odpowiednio: 1,7 tys. chorych i 125 zmarłych. W Holandii – 18 tys. chorych

(1360 na milion mieszkańców) i 1,8 tys. zmarłych (103 na milion). W Luksemburgu – ponad 2,8 tys. chorych (aż 4,5 tys. na milion!), a więc w najbogatszym kraju świata już blisko pół procent ludzi nie udało się ustrzec przed pandemią, zmarło 28 osób (to jest 60 na milion, bo Luksemburczyków jest około pół miliona). A jak jest w Szwecji? 7 tys. chorych, 400 zmarłych (odpowiednio: 700 i 40 na milion). W Niemczech, kraju o niewątpliwie wielkiej dyscyplinie społecznej i od dziesięcioleci wielokrotnie bogatszej od polskiej służbie zdrowia, zachorowało blisko 100 tys. ludzi (1,2 tys. na milion mieszkańców), zmarło ponad 1,5 tys. (18 na milion). W tym dniu, czyli kiedy piszę te słowa, po kilku już tygodniach rozwoju pandemii w naszym kraju i u naszych bliźszych oraz dalszych sąsiadów z Unii Europejskiej, porównajmy: a jak jest w Polsce? Cho-

rych jest 4,1 tys. osób (czyli 108 na milion), zmarło 94 (2,2 osoby na milion). Te proporcje są, gdy idzie o liczbę zmarłych na koronawirusa, dwudziestokrotnie lepsze niż w Szwecji i dziewięciokrotnie lepsze niż w Niemczech. Tak jest teraz. Za tydzień – dwa może być inaczej. Nikt tego nie jest w stanie odpowiedzialnie przewidzieć. Zestawiam te dane nie po to, by stwierdzić, że Polska jest w jakimkolwiek sensie lepsza od krajów stawianych nam za wzór, że ma jakieś gwarancje bezpieczeństwa. Stwierdzam coś innego: skrajną nieuczciwością jest – przynajmniej w znanym nam teraz momencie rozwoju pandemii – mówienie, że Polska sobie gorzej radzi z tym strasznym problemem niż inne kraje. Jest dokładnie odwrotnie.

FRUSTRACJA „OŚWIECONYCH”

I to właśnie przeraża, oburza ludzi, którzy się nauczyli, że Polska musi być najgorsza, a w każdym razie, że musi być stale stawiana do kąta, pouczana, leczona – przez terapeutów z „wyższej cywilizacji”. Zobaczyłem niedawno program w telewizji TVN24, w którym jeden celebryta rozmawia z czworgiem innych i w roli autorytetów (a są to gwiazdy mediów, nie specjaliści w żadnej dziedzinie zbliżonej choćby do rzeczywistości „zwykłych ludzi”) oceniają sytuację w „tym kraju”.

W straszliwej frustracji, jaka była z ich wypowiedzi, przeważała nie „zwyyczajna” nienawiść do PiS, do rządów „Kaczora”, ale coś głębszego: to właśnie poirytowanie, że na razie nie da się, w tym momencie próby, powiedzieć, że Polska radzi sobie jakoś wyraźnie gorzej niż „cywilizowane” kraje. Polska powinna być gorsza z definicji, „tutejsze Polactwo” wymaga stale knuta, albo przynajmniej linijki w dłoni niemieckiego nauczyciela. W „tym kraju” z natury rzeczy musi być chaos, głupota, prymitywizm, nad którymi unosi się, jak duch nad wodami, cienka warstwa swoiście rozumianej „inteligencji”, albo po prostu elity. Jej istotą jest funkcja oświeciciela tych tępych mas, które tutaj żyją, rola

reprezentanta wyższej, zachodniej cywilizacji w tym słowiańskim, zapyziałym „grajdołku”.

Wiadomo, to już Rudolf Virchow, oświecony niemiecki epidemiolog, stwierdził 170 lat temu w czasie wizyty studyjnej na Górnym Śląsku, że tutejsze polskojęzyczne robactwo jest wyjątkowym siedliskiem zarazy, a to z prostego powodu: zasiedziało w tym zacofanym kącie Królestwa Prus przesadu: katolickiej wiary. Zараза zatem (wtedy, w 1848–1849 r. to była cholera i ospa) powinna właśnie tutaj, wśród Polaków katolików, rozwijać się najmocniej. Kulturkampf miał potem naprawić tę sytuację. Ale do końca się Bismarckowi nie udało ani

Jestem prawdziwie wstrząśnięty sposobem reakcji największych mediów w Polsce – a to są media sprzyjające totalnej opozycji – na tragiczne wyzwanie, jakie nowa choroba przynosi naszej wspólnocie

też potem „wyzwolicielem”, niosącym kaganek oświaty i postępu z Moskwy nad Wisłę. Dlatego dzisiaj kontynuujące ich dzieło oświecone elity są tak zatroskane i sfrustrowane. Sięgają, w swej chwilowej bezsilności, do najbardziej prymitywnych teorii spiskowych. W „Gazecie Wyborczej” pojawił się dramatyczny tekst o „ciemnej liczbie” – mają ją tworzyć ukrywane przez „reżim” masowe zgony na koronawirusa. Zapewne zwłoki palone są osobiście, w piwnicy kwatery przy Nowogrodzkiej, przez „niedouczonego inteligenta z Żoliborza” (jak Jarosława Kaczyńskiego nazywa pewien profesor z tejże „Gazety”, zresztą autor książki pod wyjątkowo trafnym tytułem: „Jak skutecznie błędzić”). Oświeceni to „kupią”, naprawdę. Skoro wierzą w tezę ogłoszoną trzy miesiące wcześniej

w tejże „Gazecie”, że Putin jest kukielką w rękach „Kaczora”, to i koronawirus może być nową tajną bronią w rękach „populistów”, nowym tępym narzędziem katolików, którzy już z mlekiem matki Polki wyssali ochotę, by palić kolejne stodoły, wypełnione „innymi”.

NIE CZAS NA WROGOŚĆ

Piszę o tym, prawdziwie wstrząśnięty sposobem reakcji największych mediów w Polsce – a to są media sprzyjające totalnej opozycji – na tragiczne wyzwanie, jakie nowa choroba przynosi naszej wspólnocie, już nie tylko polskiej, lecz ludzkiej po prostu. Starają się, jak mogą, pokazać „ten kraj” w jak najgorszym świetle, wybraną w nim demokratycznie władzę porównując do wirusa – na korzyść tego ostatniego.

Ewangelia czytana podczas Niedzieli Palmowej, przypominająca Mękę Pańską, przywołuje obraz tych, którzy podburzają tłum, by skłonić go do agresji. To powinna być dla nas wszystkich przestroga.

Nie wiem, czy kiedy pandemia się skończy, będziemy mogli nadal mówić o względnym powodzeniu przyjętej w Polsce, przez rząd PiS, strategii zmniejszania jej zasięgu. Minister Szumowski przestrzega, jak najsluszniej, przed pochopnymi optymistycznymi wnioskami. I to przynajmniej można by pochwalić. Ale na pewno nie pomożemy w walce z tą pandemią ani z jej gospodarczymi skutkami, jeżeli będziemy ulegać tej wizji, która ma nas przekonać, że u nas musi być najgorzej i wzbudzać maksymalną nieufność, a nawet agresję wobec sprawujących w tym trudnym momencie władzę. To powinien być czas wzajemnej pomocy, nie politycznej wrogości. Przynajmniej ten czas.

Koronawirus przyszedł do nas z Chin, to chyba wiemy. Przypomnijmy więc mądrość najmędrszego z Chińczyków: zamiast przeklinać ciemność, spróbuj zapalić świeczkę. Nie po to, żeby „oświecać” innych, ale żeby zobaczyć obok siebie potrzebujących – i pomóc im. 

Autor jest profesorem nauk humanistycznych, historykiem, sowietologiem, publicystą

Prezydent Andrzej Duda uczestniczy w wideokonferencji z polskimi lekarzami, którzy pojechali z misją do Włoch

Twierdza pałac



MARCIN WIKŁO

Nie ma tylu gości, nie odbywają się duże spotkania i konferencje, ale prezydent i jego najbliżsi współpracownicy nie mają przez to mniej pracy. Za zamkniętymi drzwiami pałacu toczy się prawie normalne życie, trzeba było tylko błyskawicznie przestawić się na tryb „epidemia”

Pałac Prezydencki całkowicie nie opustoszał, ale na pierwszy rzut oka widać, że nie jest tu tak jak wcześniej. Obliczenia kancelaryjnego zespołu zarządzania kryzysowego są precyzyjne, w budynku codziennie pracuje 29 proc. zatrudnionych. – Ci, u których była taka możliwość, zostali poproszeni o pracę zdalną – mówił prezydent podczas sesji Q&A (Questions & Answers – pytania i odpowiedzi) z internautami. – Ta epidemia wymusiła na nas całkowitą zmianę stylu pracy – dodaje Wojciech Kolarski, prezydencki minister, jeden z najbliższych współpracowników Andrzeja Dudy. – Ale już widać, że kilka z tych zmian zostanie, nawet gdy zagrożenie minie – zauważa.

WIDEO MA PRZYSZŁOŚĆ

W prezydenckiej bibliotece już na stałe zainstalowane jest stanowisko do łączenia się przez internet. Styłowy stolik, kamera z mikrofonem i duży ekran, na którym Andrzej Duda widzi rozmówcę. – W tym miejscu można przeprowadzać wywiady albo prowadzić wideokonferencje. Okazało się, że

to o wiele wygodniejsze i dla nas, i dla rozmówców, którzy nie muszą być na miejscu. To też powoduje, że prezydent jest bardziej dostępny również dla dziennikarzy spoza Warszawy – opowiada Błażej Spychalski, rzecznik prasowy prezydenta.

W bibliotece odbywają się także ważne wideokonferencje dotyczące tematów, które teraz najbardziej zajmują Andrzeja Dudę, czyli walki z koronawirusem i następstwami epidemii dla gospodarki. Wraz z ministrem zdrowia prezydent spotkał się przez wideolacza z producentami żywności, by zastanowić się nad promocją znaku Produkt Polski, a dzień później zaprosił do rozmowy minister rozwoju Jadwigę Emilewicz i przedsiębiorców. Ci z kolei mówili o konieczności większej osłony państwa dla ich firm.

Gdy rozmowa ma dotyczyć wojskowości albo gdy potrzebna jest w formule tajnej, prezydent przez ogrody pałacowe schodzi do Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Tam na pierwszym piętrze jest specjalny pokój narad. Tym razem spotykamy się w nim, bo Andrzej Duda chce porozmawiać z polskimi lekarzami, którzy są we

Włoszech i z bliska obserwują front walki z COVID-19. – Jesteśmy w Brescii, niedaleko Bergamo, gdzie jeszcze niedawno było największe w całym kraju ognisko zakażeń koronawirusem – relacjonują Jakub Klimkiewicz, anestezjolog z Wojskowego Instytutu Medycznego, oraz Michał Madeyski z Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. Prezydent dopytuje o procedury, ale także o nastroje. O to, jak zwykli ludzie radzą sobie z rosnącą presją koniecznej izolacji. – Nie mamy wątpliwości, że wszelkie obostrzenia są słuszne. Tylko w ten sposób możemy dać sobie szansę i czas na wyleczenie chorych – odpowiadają lekarze, którzy na własne oczy widzą dramatyczne wybory włoskich kolegów. Kogo podpiąć do respiratora i komu dać szansę na przeżycie, a kogo tej szansy pozbawić. Bo sprzętu dla wszystkich nie ma.

WYWRÓCENIE KALENDARZA

– Pałac Prezydencki zawsze był miejscem, które tętniło życiem. Spotkania, narady, goście, delegacje, podjeżdżające i odjeżdżające samochody. Z dnia na dzień mu-



Ślubowanie asesorów sądowych z powodu zagrożenia COVID-19 odbyło się tym razem w ogrodach Pałacu Prezydenckiego



W największej Sali Kolumnowej złożone są teraz sztandary na co dzień eksponowane w Sali Chorągwiej

sieliśmy to wszystko wyhamować. Sporym kłopotem był naładowany do granic kalendarz, trzeba go było w zasadzie całkowicie opróżnić i zaplanowane spotkania przenieść na przyszłość. Także wizyty zagraniczne – opowiada minister Kolarski. Dopytuję o biegnący kalendarz wyborczy i kampanię, która przecież formalnie trwa. Jedynym „wyborczym” elementem są w zasadzie tylko spotkania Q&A. – Poza tym pan prezydent nie angażuje się w sprawę wyborów ani tego, w jakiej formule się one odbędą. Decyzje w tej sprawie są po stronie ustawodawcy, a więc parlamentu – ucinają współpracownicy prezydenta.

Są jednak sprawy, które czekać nie mogą, np. ślubowanie asesorów sądowych. – Ci młodzi ludzie skończyli szkołę, zdali egzaminy, ale bez złożenia przysięgi przed prezydentem są w zawodowym zawieszaniu. Nie mogą pracować. Dlatego w trosce o ich przyszłość musieliśmy coś wymyślić – mówi Andrzej Dera, prawnik i sekretarz stanu w KPRP. Uroczystość musiała rzeczywiście być inna niż zazwyczaj, bo zgromadzenie w jednym miejscu 80 osób z całej Polski w czasie epidemii to zawsze zagrożenie. – Była akurat piękna pogoda, więc zaprosiliśmy wszystkich do pałacowego ogrodu, wszyscy dostali maseczki i zachowywali wymaganą odległość od siebie – relacjonuje Dera. Asesorzy podzieleni byli na dwie grupy, pojedynczo podchodzili najpierw do stolika, z którego pobierali podpisaną nominację. Następnie stawali naprzeciwko prezydenta i z odległości kilkunastu metrów wygłaszali treść roty. Inaczej w tym czasie zrobić by się tego nie dało.

WIELKIE I MAŁE POTRZEBY

– Tryb mojej pracy zmienił się zasadniczo – mówi pierwsza dama Agata Kornha-

ser-Duda. Dotychczas jej kalendarz pękał w szwach: lekcje, wizyty, spotkania z przedstawicielami ośrodków opieki socjalnej, szpitalami. – Teraz staram się utrzymywać z nimi kontakt, dzwonię i pytam, czego potrzebują. W miarę możliwości staram się pomóc organizować – dodaje. Jej poczta to teraz w dużej części listy od uczniów i rodziców zaniepokojonych przyszłością nauczania w czasie zarazy, ale także dramatyczne apele, jak z ośrodków pracujących z ludźmi w kryzysie bezdomności o podstawowe środki zabezpieczające przed wirusem.

Czasem wystarczy kilka telefonów, czasem trzeba wymyślić coś ponadstandardowego. W rozmowie z dyrektorem jednego ze szpitali małżonka prezydenta usłyszała, że bardzo brakuje przyłbic, którymi medycy muszą się chronić. Decyzja była natychmiastowa, przekazane dwa lata temu pałacowi drukarki 3D zaczęły natychmiastową pracę. Drukują teraz okucia, do których należy przymocować pleksi. Trzeba było pokonać jeszcze jedną przeszkodę – zdobyć materiał, z którego powstają przedmioty. Znowu kilka telefonów i pism. Udało się, kolejna partia surowca przyjedzie z zagranicy.

– Drukarki są trzy, wyprodukowanie jednego okucia trwa pięć godzin. Zdajemy sobie sprawę, że to nie jest produkcja przemysłowa, ale uważamy, że każda pomoc się liczy. I sygnał z otoczenia pierwszego obywatela, że nie można być w tym czasie obojętnym – podkreśla minister Wojciech Kolarski.

Gdy kilkanaście dni temu prezydent poprosił zaprzyjaźnionych druhów o wejście w akcję opieki nad starszymi, natychmiast odpowiedziały wszystkie związki harcerskie i skautowe. Teraz oni zwrócili się z prośbą o pomoc w zdobyciu

płynu dezynfekcyjnego koniecznego do bezpiecznego kontynuowania służby. Prezydent uruchomił pomoc z jednego z największych zakładów państwowych. Życzliwość, wzajemność, solidarność.

PUSTKA W PAŁACU

Wiele może się zmienić w trybie pracy Pałacu Prezydenckiego, ale sprawy zasadnicze nie. Nie można było nie uczcić ofiar ludobójstwa katyńskiego. Obchody 80. rocznicy miały być dostojne, z efektowną wystawą na pl. Piłsudskiego w Warszawie. Wirus tych planów nie pozwolił zrealizować, wystawa jest, ale w internecie na stronie 80rocznicakatynia.pl. To spacer wśród tablic z nazwiskami pomordowanych, wirtualny, ale emocje jak najbardziej realne.

– Od momentu ogłoszenia epidemii jestem tutaj codziennie – mówi Błażej Spychalski. – Zmienił się tryb pracy, ale wcale nie jest jej mniej. Państwo działa, pałacu nie da się zamknąć na kłódkę i wyjść do domu. Wiedzą to też ludzie, którzy dzisiaj pracują z domu. Mają pewność, że gdy to minie, będą mieli dokąd wrócić.

Ale dziwne jest uczucie, gdy widzi się zabytkowe meble w pałacu przykryte folią. Albo zdjęte sztandary, które przeniesiono z Sali Chorągwiej i rozłożono na stołach w największej Sali Kolumnowej. To widoczne znaki, że jesteśmy w czasie, którego nie da się określić jako normalny. Pusta przestrzeń wielkich pomieszczeń onieśmiela, z automatu mówi się szeptem. Pytam prezydenta, czy nie potęguje to w nim niepewności w związku z epidemią, czy nie jest przerażające.

– Przerażająco w pałacu to było po katastrofie smoleńskiej. Wtedy ta pustka była straszna. Trumny i płacz. A teraz... można się poczuć nieswojo, ale to minie.

Życie po życiu

Jako naród i społeczeństwo wyjdziemy z tego i będziemy potrafili, tak jak wielokrotnie w naszej historii, podnieść się i odzyskać to, co straciliśmy



ALEKSANDRA JAKUBOWSKA

Układaliśmy sobie nasze życie z drobnych puzzli i różnie nam to wychodziło. Jedni z dumą patrzyli na kolorowy obraz, który nie potrzebował już żadnych uzupełnień ani korekt. Inni z mozołem dodawali kolejne kawałki z nadzieją, że uda się prędzej czy później osiągnąć cel. Niektórzy dopiero zaczynali tę układankę pełni wiary, że końcowy efekt przyniesie satysfakcję i stabilizację. Nawet jeśli obraz naszego życia nie mienił się soczystymi kolorami, nie było na nim za wiele słońca, szare kawałki tylko gdzieś tam były przetykane jasnymi promykami, to jednak byliśmy pełni nadziei, że być może kiedyś te puste miejsca, jakie jeszcze pozostały, właśnie takimi świetlistymi puzzlami wypełnimy.

I nagle tsunami epidemii rozrzucało te puzzle wokół nas i nie wiemy, ile z nich ocaleje, jak je pozbierać i czy uda nam się nasze życie odbudować. Bo świat, jaki znaliśmy przed, już nie będzie taki sam potem.

CZŁOWIEK – PAN I WŁADCA ŚWIATA

Natura od czasu do czasu przypomina nam, że człowiek wciąż jest gościem na Ziemi, a ona – władcą. Trzęsienia ziemi, po-

wodzie, tsunami, tajfuny dotykały różnych regionów kuli ziemskiej, ale w miarę rozwoju cywilizacji mogliśmy chociaż je przewidzieć i ocalić większość ludzi przed ich tragicznymi skutkami. Epidemia koronawirusa wybuchła nagle, gwałtownie się rozprzestrzeniła na świecie i nagle okazało się, że człowiek jest bezradny – może tylko starać się niwelować jej skutki, bo jeszcze nie potrafi znaleźć na chorobę wywołaną wirusem lekarstwa, a szczepionka przed nim chroniąca powstanie może za kilkanaście miesięcy. Pesymiści ostrzegają, że na HIV, powodujący AIDS, chorobę zwaną dżumą XX w. dotąd, przez ponad 30 lat, szczepionki nie udało się wynaleźć i być może kolejne pokolenia, tak jak w przypadku AIDS, będą się musiały mierzyć z koronawirusem przez długie lata.

Czy natura mści się za próby zapanowania nad nią? W filozofii starożytnych Greków natura straciła swoją pozycję, a na czoło wysunął się człowiek jako nadstota, choć Arystoteles stosunek człowieka do natury rozstrzygnął kompromisowo – ani pan, ani niewolnik, jednak trochę jednego i drugiego.

Dzisiaj między obłędnymi teoriami pseudoekologów głoszących, że największym zagrożeniem dla Ziemi i natury jest człowiek, a jedynym sposobem ich ratowania jest ograniczenie liczby ludności, choćby poprzez wyrzeczenie się posiadania potomstwa, a ekstremalnymi, brutalnymi działaniami wielkich korporacji, które dla zysków bezwzględnie niszczą naszą planetę, jest jeszcze przestrzeń, którą można wypełnić, stosując się do rzymskiej sentencji „plus ratio quam vis”, czyli „bardziej rozumem niż siłą”. Bo rozum jest tym, co pozwoli nam wygrać, choć nie zawsze, z naturą, wtedy gdy nam ona zagraża. Oby w tej batalii, którą obecnie toczyliśmy, zwyciężył.

RODZINA – BLISCY, ALE OBCY?

Ów epidemiologiczny kataklizm, jaki dotknął świat, ma wymiar nie tylko zmagania człowieka z naturą, ale także bardzo osobisty, jednostkowy. Nagle znaleźliśmy się w sytuacji, która zmusza nas nie tylko do zmiany zachowań i nawyków, ale też

skłania do spojrzenia na nasze życie z zupełnie innej perspektywy. Dla wielu z nas dom był miejscem, w którym wymieniał się z bliskimi komunikaty związane wyłącznie z organizacją życia rodziny. Miejscem, do którego dorośli wracali po kilku-nastu godzinach z pracy, a dzieci – ze szkoły i dodatkowych zajęć pozalekcyjnych. Zamknięcie w domach, kwarantanna i izolacja uzmysłowiły niektórym z nas, że nie potrafimy już ze sobą rozmawiać, przebywać dłużej w czterech ścianach, że żyliśmy dotąd nie ze sobą, ale obok siebie. Czy uda się wyjść z tej traumy i zbudować od nowa relacje z bliskimi? W jak wielu przypadkach takie sytuacje rozbijają rodzinę, a w ilu scementują? Na drugim biegunie są sytuacje dotkliwej utraty kontaktu z bliskimi, z którymi rozdzieliła nas albo kwarantanna, albo różnego rodzaju ograniczenia, czy wreszcie strach, aby na starszych nie sprowadzić choroby. I dotkliwa samotność tych, którzy nie mają rodziny, przyjaciół i bliskich – starszych ludzi, dla których samotność była kiedyś tylko stwierdzeniem tego, że nie ma już nikogo, do kogo mogliby się zwrócić słowami „A pamiętasz...?”, a teraz boją się, że nie znajdzie się nikt, kto się o nich zatroszczy.

Zamknięcie w domach, izolacja uzmysłowiły niektórym z nas, że nie potrafimy już ze sobą rozmawiać, przebywać dłużej w czterech ścianach, że żyliśmy dotąd nie ze sobą, ale obok siebie

WSPÓLNOTA – SOLIDARNOŚĆ I EGOIZM

Czas takich kryzysów, jaki właśnie przeżywamy, to także próba dla wspólnoty, w której żyjemy. Jak dalece jesteśmy zdolni do tego, by więzi, które być może są nadwątlone albo zupełnie przerwane, bo absorbował nas codzienny wyścig w zdobywaniu ciągle czegoś nowego, co naszym zdaniem było nam bezwzględnie potrzebne do życia, znowu odbudować? Więzy przyjacielskie, sąsiedzkie czy wreszcie takie najbardziej podstawowe, międzyludzkie, które pozwalają dostrzec w drugim człowieku, nawet nieznanym, kogoś, kto potrzebuje pomocy czy wsparcia. I chyba z tej próby wychodzimy zwycięsko – solidarność i empatia, chęć pomocy tym, którzy jej potrzebują, poświęcenie wielu ludzi, by nie zostawić bez wsparcia tych słabszych i niezaradnych, jest powszechnie widoczna i codziennie mamy jej przykłady. I choć dusza w Polakach niepokorna i zawsze potrafiliśmy znaleźć furtkę, która pozwoli nam omijać różne zakazy i nakazy, naszym zdaniem zupełnie bezsensowne, tym razem nawet jeśli jakieś ograniczenie jest w naszej ocenie nadmierne, to jednak potrafimy mu się podporządkować, myśląc nie tylko o własnym bezpieczeństwie, ale także chroniąc innych.

Owszem, zdarzają się osobnicy, w których sarmackie geny są silniejsze niż rozsądek, pobrząkujący szabelką i krzyczący o pozbawianiu ich praw obywatelskich, bo np. zabroniono wchodzić do lasów, choć prawdopodobnie ich noga od lat nie postąpiła na leśnej drodze. No cóż, każda epoka ma swoich piniaczy i należy ich traktować jak niesforne dziecko, które pomimo zakazów najadło się za wiele słodczy, a potem narzeka, że je brzuch boli.

SILNE PAŃSTWO – JEDNAK POTRZEBNE

Człowiek, wspólnota, państwo – ostatni element tej triady okazuje się niezwykle ważny w dobie kryzysu, jaki nas dotknął. Choć na co dzień postrzegamy państwo jako opresyjny aparat administracyjny, poborcę podatków i niezwykle płodnego twórcę różnego rodzaju przepisów, które często krytykujemy jako nadmiernie ograniczające naszą indywidualną obywatelską inicjatywę, to jednak tylko silne państwo jest w stanie stać się organizatorem działań, które dają nadzieję na zminimalizowanie skutków pandemii, i to

właściwie na wszystkich poziomach. To nie tylko zarządzanie państwem, tak by uchronić jak największą liczbę obywateli przed zarażeniem się wirusem, a tym, których to dotknęło, zapewnić jak najlepszą opiekę, ale także perspektywiczne myślenie o przyszłości, czasie, kiedy trzeba będzie odbudować to, co zostało przez epidemię zniszczone. Aby było co odbudowywać, należy jednak chronić to, co teraz można ocalić – miejsca pracy i przedsiębiorstwa, czyli fundamenty, dzięki którym będzie można od nowa rozpedzić gospodarczą maszynę.

I dalej uznawać za podstawę polityki państwa ochronę narodowych, strategicznych, państwowych przedsiębiorstw i gałęzi gospodarki, bo ten kryzys bardzo mocno pokazał, jak ważne są narodowe zasoby i jak nieroztropne jest liczenie wyłącznie na międzynarodową solidarność i pomoc europejskich instytucji.

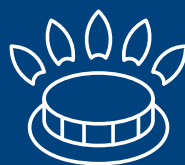
OD NOWA

Nie wiadomo kiedy, ale przyjdzie ten moment, kiedy zacznie się czas odbudowy. W wymiarze jednostkowym – znowu musimy na nowo ułożyć sobie nasze życie, w wymiarze społecznym – relacje międzyludzkie, czasami mocno nadwerżone tym, co przeżyliśmy, w wymiarze gospodarczym – wrócić na ścieżkę wzrostu.

Straty będą ogromne – życie ludzi, których zabił wirus, bliscy, których nam zabrał w taki sposób, że nie mogliśmy się z nimi pożegnać i być obok w czasie ich ostatnich chwil. Tragedie ludzi, których wirus pokonał nie fizycznie, ale psychicznie i którzy nie będą mogli się z tego podnieść, bo nawet jeśli odnajdą część puzzli, z których było ułożone ich wcześniejsze życie, nie będą potrafili z nich już niczego zbudować. Jednak jako naród społeczeństwo wyjdziemy z tego i będziemy potrafili, tak jak wielokrotnie w naszej historii, podnieść się i odzyskać to, co straciliśmy.

Natura, jak utrzymywali starożytni Grecy, jest niczym kryptogram. Trzeba go odczytać i uszanować jego treść. Czy będziemy potrafili to zrobić? Wiele od tego zależy.

Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**



**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ

Szwedzki sposób na wirusa

Szwecja wybrała liberalne podejście do pandemii, stawiając na odpowiedzialne zachowanie swoich obywateli. Krytycy twierdzą, że rządu w Sztokholmie na inną strategię zwyczajnie nie stać, bo szwedzka służba zdrowia jest od lat niedofinansowana i niewydolna. A mieszkańcy imigranckich gett i tak mają w nosie rządowe nakazy



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Po długiej i ciemnej skandynawskiej zimie Szwedzi cieszą się rozpoczynającą się wiosną. Ulice Sztokholmu są mniej zatłoczone niż zazwyczaj, ale bynajmniej nie opustoszałe. Ludzie przesiadują w kawiarniach i restauracjach na świeżym powietrzu, a młodzież gromadzi się w parkach. Otwarte są sklepy, siłownie oraz szkoły podstawowe i średnie. Wiele wciąż wita się uściskiem dłoni. Ta beztroska w obliczu pandemii koronawirusa to konsekwencja strategii obranej przez szwedzki rząd, który zamiast na przymusowe restrykcje, jak wiele innych państw Europy, postawił na „wzajemną odpowiedzialność obywateli”, wierząc, że dobrowolnie poddadzą się samoizolacji w przypadku występowania symptomów zarażenia SARS-CoV-2 i, jeśli to możliwe, będą pracować z domu. Jedyne poważne ograniczenie wprowadzone przez rząd premiera Stefana Löfvena to zakaz zgromadzeń z udziałem powyżej 50 osób i zakaz odwiedzin bliskich w domach opieki. Odizolowanie najsłabszych, czyli osób starszych i schorowanych, ma spowolnić rozprzestrzenianie się wirusa. Zdaniem szwedzkich władz ostrzejsze działania byłyby obecnie nieadekwatne i obciążąłyby niepotrzebnie służbę zdrowia na „tak wczesnym etapie pandemii”. A rozprzestrzenianiu się SARS-CoV-2 i tak nie da się ich zdaniem zapobiec. W końcu ludzie – przekonują – staną się odporni na COVID-19. Lepiej więc prowadzić dalej normalne życie.

„Szwecja stanowi wyjątek w Europie, i bardzo dobrze” – przekonuje w rozmowie z portalem „Business Insider” były główny epidemiolog Szwecji, dziś doradca szwedzkiej Agencji Zdrowia Publicznego Johan Giesecke. Według niego większość rządów na Starym Kontynencie wprowadziła

Fot. Aleksandra Rybińska/Shutterstock.com





restrykcje „z powodów czysto politycznych”, bo „naukowych dowodów na ich skuteczność brak”. Jego następca na stanowisku głównego epidemiologa jest podobnego zdania. „Może Szwecja i stanowi pewną anomalię, ale nie ma żadnych dowodów na to, że drastyczne posunięcia jak zamknięcie szkół na kilka miesięcy, pozytywnie wpływają na przebieg epidemii” – podkreślił Anders Tegnell. Jeśli chodzi o ofiary śmiertelne, to zdaniem Tegnella rezultat będzie taki sam zarówno w krajach, które wprowadziły kwarantannę, jak i w tych, które tego nie zrobiły. Epidemiolog dodał w rozmowie z „The New York Times”, że podejście Szwecji odwołuje się do samokontroli i poczucia odpowiedzialności społeczeństwa: „Tak właśnie żyjemy w Szwecji. Cały nasz system kontroli chorób zakaźnych opiera się na dobrowolnym działaniu”. Szczepienia też są dobrowolne, a mimo tego ich zasięg wynosi 98 proc.

Z jakiegoś powodu my, Szwedzi, uważamy, że jesteśmy tak bezpiecznym i bogatym krajem, że nic nam nie może się stać. Obawiam się, że w obecnej sytuacji to złudne przekonanie – mówi Ingrid Carlqvist

RZĄDY EKSPERTÓW

Szwedzki model walki z epidemią koronawirusa wynika także ze struktury instytucjonalnej kraju, która gwarantuje niezależność administracji od władzy politycznej. Zarówno Agencja Zdrowia Publicznego (Folkhälsomyndigheten), jak choćby Inspekcja Szkolna (Skolverket) wraz ze związanymi z nimi ekspertami podejmują decyzje samodzielnie. Rząd stosuje się do ich zaleceń, a nie odwrotnie. A eksperci – na czele z dyrektorem Agencji Zdrowia Publicznego Johanem Carlsonem – wskazują na niższą śmiertelność na COVID-19 w Szwecji niż w Szwajcarii, kraju o porównywalnej wielkości, który wprowadził surowe restrykcje w odpowiedzi na pandemię. W minionym tygodniu Szwajcaria liczyła ponad 22 tys. zarażonych i ponad 800 zgonów, a Szwecja prawie 8 tys. zarażonych i ponad 600 zgonów. Tyle że, jak zauważa amerykańskie pismo „National Review”, pandemia dotarła do Szwajcarii o wiele wcześniej, a w ostatnich dwóch tygodniach liczba zgonów na COVID-19 w Szwecji znacznie przyspieszyła – z 1,11 osób dziennie do 1,19. W trakcie zaledwie jednego dnia, 7 kwietnia, liczba zgonów wzrosła tam o szokujące 20 proc. A eksperci z renomowanego pisma medycznego „The Lancet” ostrzegali, że liberalnego podejścia do pandemii koronawirusa, które ma ochronić szwedzką służbę

zdrowia przed przeciążeniem, „nie da się dłużej podtrzymać”. Polegnie ono ich zdaniem w zderzeniu z rzeczywistością, tak jak w Wielkiej Brytanii, gdzie rząd Borisa Johnsona wprowadził niedawno surowe restrykcje, rezygnując z początkowo obranej strategii „odporności stadnej”.

Szwedzkie władze wprawdzie dalej utrzymują, że jedyną odpowiedzią na kryzys jest poczucie odpowiedzialności obywateli, czyli ich dobrowolna społeczna izolacja, jednocześnie stworzyły sobie furtkę na wypadek pogorszenia się sytuacji epidemiologicznej.

TYSIĄCE ZGONÓW

Po długich negocjacjach z rządem liderzy partii opozycyjnych zgodzili się na dodatkowe prerogatywy dla gabinetu Löfvena – na trzy miesiące. Dzięki nim rząd będzie mógł szybko wprowadzać obostrzenia, choćby ograniczenia w transporcie czy zamknięcie centrów handlowych, gdyby okazało się to konieczne. W zamian opozycja zażądała od rządzących Socjaldemokratów gwarancji rekompensat finansowych dla mikroprzedsiębiorców. Jednocześnie premier wezwał obywateli do „dalejszego odpowiedzialnego zachowania” i ostrzegł, że „tysiące osób może umrzeć, jeśli tej odpowiedzialności zabraknie”. „Jesteśmy na innym etapie pandemii niż większość naszych sąsiadów i mamy zaufanie do obywateli, że potrafią zachowywać się jak dorośli” – dodał.

Opór wobec szwedzkiej strategii jednak rośnie, zwłaszcza wśród personelu medycznego, który skarży się na brak łóżek na OIOM-ie, respiratorów, masek i strojów ochronnych. By zaradzić choćby częściowo tym brakom, w centrum Sztokholmu, miasta najbardziej dotkniętego przez pandemię, postawiono szpital polowy. W petycji ponad 2,3 tys. lekarzy i naukowców wezwało rząd do zaostrzenia restrykcji. Jeden z sygnatariuszy petycji, wirusolog prof. Cecilia Söderberg-Nauclér z Instytutu Karolinska, skarżyła się w rozmowie z gazetą „Svenska Dagbladet”, że „testów jest za mało, ludzie się nie izolują, a szwedzki rząd nie rejestruje chorych”. „Oni nas prowadzą prosto do katastrofy” – zaznaczyła.

Zdaniem Ingrid Carlqvist, szwedzkiej dziennikarki i autorki książki „Od Szwecji do Absurdystanu”, rząd Löfvena

obrał liberalne podejście do pandemii, nie dlatego że jest ono słuszne, lecz dlatego że na inne go zwyczajnie nie stać. Ponadto chce chronić gospodarkę, licząc, że gdy pandemia się skończy, sytuacja w Europie będzie wyglądała tak jak po II wojnie światowej: gospodarki wielu krajów Starego Kontynentu zrujnowane, a szwedzka w dobrej kondycji, bo nie ograniczono handlu i usług.

GENDER ZAMIAST MEDYCYN

– Szwedzka służba zdrowia jest poważnie niedofinansowana. Mamy najmniej łóżek szpitalnych w Europie oraz zdecydowanie za mało łóżek na OIOM-ie – twierdzi Carlqvist w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”. – Gdy wybuchła pandemia, mieliśmy dokładnie 526 respiratorów. W kraju liczącym ponad 10 mln mieszkańców. W międzyczasie udało się zdobyć kolejne 400, ale to wciąż za mało. To pierwszy problem. Kolejnym jest brak zapasów strategicznych. Mieliśmy kiedyś takie zapasy: masek, sprzętu medycznego i szpitali polowych wystarczające, by przetrwać rok w sytuacji kryzysu. W latach 90. rząd Szwecji stwierdził, po wejściu kraju do Unii Europejskiej, że nie będzie już żadnych wojen, żadnych poważnych kryzysów, więc zapas zniszczono lub sprzedano z niego, co się dało.

Według Carlqvist przez ostatnie dwie dekady liczba łóżek szpitalnych w Szwecji zmalała z 31 do 22 tys., czyli do 2,4 na 100 tys. mieszkańców. – Mieliśmy kiedyś 50 szpitali polowych, zostały nam dziś dokładnie dwa. Przez ostatnią dekadę rząd regularnie otrzymywał informacje o braku łóżek szpitalnych, leków i sprzętu medycznego, ale nic z tym nie zrobił. Nie opracowano także skutecznych metod odpowiedzi na tego typu kryzysy, ponieważ finansowano badania gender i inne takie postępowe bzdety. Niestety specjaliści od gender nam teraz nie pomogą – przekonuje dziennikarka, która mieszka na południu Szwecji. Według niej trudno sobie także wyobrazić objęcie mieszkańców Sztokholmu, najbardziej dotkniętego pandemią miejsca w Szwecji, kwarantanną, bo „policja i wojsko wykazują wyraźne braki personelu”. – Nie wspominając o imigranckich gettach wokół miasta, których mieszkańcy mają tendencję do ignorowania zaleceń rządu.

Pod koniec marca okazało się, że w Sztokholmie wśród ofiar koronawirusa jest wielu przedstawicieli mniejszości somalijskiej, nieznających języka szwedzkiego, do których nie dotarło rządowe zalecenie „social distancing”. – W przypadku nałożenia kwarantanny w tych gettach wybuchłby bunt. Szwedzkie władze się tego bardzo boją, więc epidemia może się tam dalej rozprzestrzeniać – uważa Carlqvist. Zdaniem dziennikarki władze w Sztokholmie nie mają więc żadnej fantastycznej strategii, o której wcześniej nikt nie pomyślał, tylko „zrzucając odpowiedzialność na obywateli”. Inaczej niż sąsiednie Dania czy Norwegia, które wprowadziły surowe restrykcje i gdzie liczba zarażonych oraz zgonów jest o wiele niższa niż w Szwecji.

CZYJA ODPOWIEDZIALNOŚĆ?

– To bardzo wygodne podejście. Jeśli szwedzka strategia okaże się sukcesem, rząd powie: „Zrobiliśmy to razem. Ale to my jesteśmy autorami tego sukcesu”. Jeśli okaże się

jednak porażką, to powie: „To wina obywateli, którzy nie trzymali się zaleceń” – podkreśla dziennikarka. Jej zdaniem Sztokholm najgorsze ma jeszcze przed sobą. – Za tydzień lub dwa zobaczymy na przykładzie stolicy, ile jest warta liberalna strategia rządu. A moim zdaniem epidemia się nasili. Tu, gdzie jestem, na południowej prowincji, ludzie także się boją, bo wielu mieszkańców Sztokholmu przyjeżdża tu w okresie Świąt Wielkanocnych i może przywieźć zarazę ze sobą. Nikt nie czuje się do końca komfortowo. Restrykcje są uciążliwe, ale kiedy widzę Szwedów łażących po ulicach bez masek, siedzących w ogródkach restauracji i nietrzymających dystansu, to przechodzą mnie dreszcze. Z jakiegoś powodu my, Szwedzi, uważamy, że jesteśmy tak bezpiecznym i bogatym krajem, że nic nam nie może się stać. Obawiam się, że w obecnej sytuacji to przekonanie jest złudne – tłumaczy Carlqvist. Dodaje, że od jakiegoś czasu krążą pogłoski, iż rząd, ponieważ uzyskał zgodę parlamentu na bardziej zdecydowane działania, obejmie Sztokholm, Göteborg i Malmö kwarantanną. – Ale to tylko pogłoski. Oczywiście nie prosiliby parlamentu o dodatkowe uprawnienia, gdyby nie mieli jakiegoś planu. Ale co to za plan? Tego nikt nie wie – przekonuje dziennikarka.

Według sondaży większość obywateli ma zaufanie do polityki rządu. W dużej mierze wynika to z tamtejszej kultury politycznej. – My, Szwedzi, szanujemy autorytety. Tak po prostu jest – zaznacza Ingrid Carlqvist.

REKLAMA

RADIO
Warszawa
106,2 FM

DOBRE SŁOWO
NA FALI

SŁUCHAJ NAS
ONLINE

www.radiowarszawa.com.pl

54/0320/F

Bezpieczeństwo pacjentów jest priorytetem

Niektóre zmiany prawdopodobnie się utrzymają. Więcej osób będzie miało łatwiejszy dostęp do cyfrowych narzędzi komunikacji. Pogłębiona zostanie refleksja nad globalizacją. Być może niektóre kraje zdecydują się na większą niezależność, np. w zakresie kluczowych dostaw, więcej inwestując na poziomie lokalnym lub przynajmniej w ramach UE – mówi **Nienke Feenstra**, dyrektor generalna Takeda Pharma Polska, w rozmowie z Anną Raciniewską o wyzwaniach związanych z pandemią koronawirusa



Jak ocenia pani strategię obroną przez Polskę w walce z pandemią?

Nienke Feenstra: Zacznę od wyrażenia swojego uznania dla każdego, kto pracuje w służbie zdrowia na rzecz walki z tym kryzysem. Zwłaszcza dla lekarzy i pielęgniarek, którzy ryzykują własne bezpieczeństwo dla innych, ale również dla diagnostów, techników laboratoryjnych, zaopatrzeniowców próbujących zdobyć maski i inne środki ochrony indywidualnej, policji egzekwującej przestrzeganie zasad kwarantanny, a także decydentów wprowadzających właściwe regulacje i mobilizujących ludzi do odpowiedzialnego zachowania w tym wyjątkowym czasie. W mojej ocenie są to właściwe decyzje, aby spłaszczyć krzywą zachorowań. Jednym z wyzwań, jakie wciąż stoją przed nami, jest liczba przeprowadzanych testów. Liczba tych testów jest wciąż trochę zbyt niska, co sprawia, że nie jesteśmy w pełni świadomi rzeczywistej skali problemu. Mając to na uwadze, tym bardziej rozumiem surowe zasady związane z kwarantanną.

Jako jedna z pierwszych firm farmaceutycznych zareagowali państwo na wytyczne ministra zdrowia, które otworzyły możliwość dostarczania leków ze szpitali do domów pacjentów. Dlaczego jest to tak ważne w przypadku osób z pierwotnymi niedoborami odporności (PNO)? Czym są immunoglobuliny?

Pierwotne niedobory odporności to grupa ponad 400 różnych, rzadko występujących chorób układu immunologicznego. Choroby te zaburzą funkcjonowanie układu odpornościowego, a w konsekwencji powodują przewlekłe i nawracające infekcje. Wirus SARS-CoV-2, który atakuje drogi oddechowe osoby zakażonej, jest niezwykle niebezpieczny dla pacjentów z obniżoną odpornością. Podawanie immunoglobulin, czyli przeciwciał pozyskiwanych z ludzkiego osocza, stanowi dziś najbardziej optymalną metodę leczenia takich właśnie osób. Zapewnienie ciągłości leczenia tym pacjentom i zagwarantowanie im bezpieczeństwa jest w obecnej sytuacji priorytetem. Dlatego gdy usłyszeliśmy

komunikat Ministerstwa Zdrowia, natychmiast przystąpiliśmy do działania i dzięki ścisłej współpracy z prof. dr hab. Sylwią Kołtan i prof. dr hab. med. Kariną Jahnz-Różyk uruchomiliśmy system dostarczania preparatów immunoglobulin ze szpitali do domów pacjentów. Teraz pacjenci nie muszą już martwić się wyprawą do szpitali, które mogą stanowić dla nich ryzyko zakażenia, a my możemy choć trochę odciążyć system opieki zdrowotnej w Polsce. Mamy również nadzieję, że dostarczanie leków do domów pacjentów nadal będzie możliwe po zakończeniu pandemii, co pozwoli pacjentom z PNO być o krok bliżej do normalnego życia.

Czy oczekują państwo kolejnych podobnych decyzji ministerstwa? Jakie będą państwa najbliższe działania w związku z pandemią?

Na ten moment nic nam nie wiadomo o dodatkowych decyzjach resortu zdrowia w tej kwestii. Czując się odpowiedzialni za pacjentów, podjęliśmy dalsze wysiłki, by udzielić im wsparcia w tym

szczególnym czasie. Pandemia koronawirusa generuje stres u większości społeczeństwa. Dotyczy to osób zdrowych, ale również pacjentów zmagających się z różnymi chorobami przewlekłymi. Pacjenci cierpiący np. na nieswoiste choroby zapalne jelit mogą ze względu na stres odczuwać nasilenie choroby. To samo dotyczy osób z dziedzicznym obrzękiem naczyń ruchomym, u których występuje zwiększone ryzyko ataku w takich warunkach. W związku z tym uruchomiliśmy program wsparcia psychologicznego. W ramach stowarzyszeń pacjenckich zapewniliśmy pacjentom możliwość skorzystania ze wsparcia psychologa on-line. Mamy nadzieję, że zmniejszy to stres tych osób, a tym samym zapobiegnie pogorszeniu się ich stanu zdrowia i pozwoli uniknąć dodatkowego obciążenia systemu opieki zdrowotnej. Oprócz tych dwóch inicjatyw, których realizacji się podjęliśmy, zaopatrzyliśmy wiele szpitali i hospicjów w maski oraz środki dezynfekujące. Dodatkowo będziemy wspierać dzieci z domów dziecka, dostarczając im komputery. Już wkrótce nasz zakład produkcyjny w Łyszkowicach znacznie wytwarzać środek dezynfekujący, który będziemy mogli nieodpłatnie przekazać potrzebującym szpitalom i pacjentom. W dalszym ciągu poszukujemy rozwiązań, dzięki którym będziemy mogli wspierać pacjentów i pracowników służby zdrowia w radzeniu sobie z tym kryzysem. Jest to dla nas logiczny sposób realizowania naszych wartości i misji, które opierają się na stawianiu dobra pacjentów w centrum naszych działań.

Pani prezes, jak pani sądzi, kiedy będziemy mieli szczepionkę na koronawirusa? Kiedy opracowane zostanie skuteczne lekarstwo na COVID-19?

Mam nadzieję, że nastąpi to już wkrótce. To, że wiele firm traktuje koronawirusa priorytetowo, jest bardzo budujące, niezależnie od tego, czy chodzi o szczepionki, czy o postęp w skutecznym jego leczeniu. Napawa mnie wielkim optymizmem współpraca firm CSL Behring i Takeda Pharmaceutical Company Limited na poziomie globalnym, do którego dołączyły Biotest, BPL, LFB i Octapharma, aby

razem opracować skuteczną terapię dla pacjentów z COVID-19. Współpraca ta rozpocznie się natychmiast po opracowaniu jednego, wspólnego, preparatu immunoglobulin poliklonalnych, zawierającego szczególnie wysokie miana przeciwciał przeciw SARS-CoV-2, o potencjale umożliwiającym leczenie osób z poważnymi powikłaniami COVID-19. Mam szczerą nadzieję, że dzięki takim inicjatywom, łączącym siłę i potencjał kilku firm, leczenie i szczepionka przeciwko SARS-CoV-2 będą dostępne znacznie szybciej, co pomoże pacjentom na całym świecie.

Pandemia koronawirusa uświadomiła ludziom, żeślaszcza z Zachodu, że wciąż jesteśmy śmiertelni, że nagle może nam się zawalić świat. Jak pani zdaniem będzie wyglądał świat po koronawirusie, co się zmieni?

Niektóre zmiany prawdopodobnie się utrzymają. Więcej osób będzie miało łatwiejszy dostęp do cyfrowych narzędzi komunikacji. Pogłębiona zostanie refleksja nad globalizacją. Być może niektóre kraje zdecydują się na większą niezależność, np. w zakresie kluczowych dostaw, więcej inwestując na poziomie lokalnym lub przynajmniej w ramach Unii Europejskiej. Poza tym spodziewam się, że wiele rzeczy wróci do stanu sprzed pandemii. Ludzie są bardzo społecznymi istotami. Wszyscy zdają sobie teraz sprawę z tego, jak ważna jest interakcja społeczna. Myślę, że będziemy bardziej doceniać możliwość wyjścia na spacer, spotkania się z przyjaciółmi i rodziną w restauracji albo przytulenia bliskiej osoby, kiedy tego potrzebuje.

Jak to wygląda z punktu widzenia państwa branży? Dla innowacyjnych firm farmaceutycznych pandemia to czas próby, wyzwań, zagrożeń?

Koronawirus jest wyzwaniem, któremu nikt nie będzie w stanie sprostać samodzielnie. Stawia to przed branżą farmaceutyczną potrzebę współpracy i partnerstwa. To właśnie staramy się robić w ramach inicjatyw, które podjęliśmy obecnie w Polsce i w skali globalnej. Takeda jest zdeterminowana, aby angażować się we współpracę mającą na celu skuteczne zwalczanie zakażeń SARS-CoV-2.

Jakie pani zdaniem będą kolejne wyzwania w obszarze ochrony zdrowia? Kolejna wielka choroba zakaźna? A może po prostu starzenie się społeczeństwa?

Następnym dużym wyzwaniem dla polskiego systemu opieki zdrowotnej będzie posiadanie wystarczających środków finansowych, aby zapewnić jego stabilność po epidemii koronawirusa. Obecnie budżet służby zdrowia jest powiązany z PKB i będzie się zmniejszał ze względu na spodziewaną recesję spowodowaną przez pandemię. Koszty epidemii są pokrywane z budżetu państwa. Z informacji, które posiadamy, wynika, że najprawdopodobniej nastąpi wzrost płac pracowników służby zdrowia, którzy obecnie ryzykują własne zdrowie i życie, walcząc ze skutkami koronawirusa. To wszystko w połączeniu z potrzebami demograficznymi nie stanowi zapowiedzi zrównoważonego i trwałego modelu działania służby zdrowia. Być może nadszedł czas, aby rozpocząć publiczną dyskusję na temat budżetu na opiekę zdrowotną, którego punktem odniesienia mógłby być poziom zeszłorocznego finansowania bądź powiększenie go o 5–10 proc. Myślę, że każdy Polak dostrzega teraz, jak ważne jest posiadanie dobrze funkcjonującego systemu opieki zdrowotnej. Ważny jest otwarty dialog w tej sprawie, aby w przyszłości zapewnić Polakom stabilną opiekę zdrowotną zgodnie z rzeczywistymi potrzebami.

Pandemia to potężny wstrząs dla gospodarki, także polskiej. Czy będą państwo realizować zapowiadane wcześniej inwestycje w Polsce?

Takeda Polska angażuje się w działania, które w sposób zrównoważony, zgodny z naszymi wartościami i misją przyczyniają się do poprawy jakości życia pacjentów. Nie zamierzamy zbacać z obranego kierunku. Wręcz przeciwnie. Będziemy nieustępliwi w poszukiwaniu sposobów i partnerów, aby aktywnie brać udział w tworzeniu zrównoważonego systemu opieki zdrowotnej z udziałem podmiotów świadczących usługi zdrowotne, organów legislacyjnych i innych podmiotów, które dzielają naszą pasję w dążeniu do tego celu.



Czy świat oszalał?

Mam wrażenie, że żyję w matrixie



MACIEJ PAWLICKI

Zapewniam, że głęboko nie zgadzam się z poniższym tekstem... Ale jednak myślę, że warto te opinie poznać. I pytać, i szukać, i dociekać prawdy. Bo materia niesłuchanie delikatna, a stawka ogromna. Gdy piszę te słowa 8 kwietnia, na świecie orzeczono 1,5 mln zarażonych COVID-19. Z tego 310 tys. wyleczono, 83 tys. zmarło. Dla porównania co roku na zapalenie płuc zapada na świecie 450 mln osób. Umiera na nie 4 mln. Co roku. Na grypę umiera rocznie 300–650 tys. osób. Na wszystkie choroby zakaźne kilka milionów rocznie.

A jednak nie powodują one medialnej paniki i zatrzymania świata.

A koronawirus spowodował. Dlaczego?

* * *

W końcu marca opublikowano listę 70 włoskich lekarzy „zmarłych w kryzysie koronawirusa”. Podano wiek, byli to także 90-letni psychiatry i pediatry od lat nieczynni zawodowo. Po kilku dniach wiek lekarzy z listy usunięto. Włochy liczą 60 mln obywateli, statystycznie dziennie umiera ok. 2 tys. osób. We Włoszech jest ok. 300 tys. lekarzy. Statystycznie, każdego dnia umiera siedmiu włoskich lekarzy. Zatem w okresie trwania koronawirusa we Włoszech umarło ponad 200 lekarzy. Jak każdego innego miesiąca.

* * *

Pisze polski lekarz pracujący w Niemczech (woli pozostać anonimowy):

„Zgodnie z zaleceniami WHO większość zgonów z powodu zapalenia płuc klasyfikowano do tej pory we wszystkich krajach kodem J18.1 – pneumonia, unspecified organism, czyli śmierć z powodu zapalenia płuc, ale bez tzw. wyjściowej przyczyny zgonu. Bo niby co mieliśmy wpisywać? Zanieczyszczenie powietrza, które za te zgony odpowiada w 80 proc., czy może palenie papierosów? Jedyne pod co czasem się wpisuje to grypę. O ile wystąpiła jako poprzedzająca. W styczniu WHO zaleciła, że – nawet jeśli lekarz za prawdziwą przyczynę zgonu uważa co innego – jeśli test wypadnie dodatnio, ma wpisywać kod U07.1, czyli SARS-CoV-2. Zatem koronawirusa można dodać pod niemal każdy zgon, bo wirusy z rodziny *coronaviridea* można znaleźć u 80 proc. populacji, szczególnie w tym okresie roku, i od lat odpowiadają one za przeziębienia, a niektóre z nich za cykliczne (średnio co kilka lat) epidemie zakażeń

dróg oddechowych. Tylko do tej pory nikt nie robił testów, bo ich nie było. Jak to udowodnić? Dopóki publicznie nie udostępni nam statystyk całej śmiertelności za miesiące 1–6 roku 2020 i nie porównamy, że te zgony w większości przeskoczyły po prostu z kategorii do kategorii, a nie powstały jako nowe, będzie ciężko. Myślę, że kiedy te liczby już będą dostępne, to nagle cała epidemia minie”.

Myślę, że pilnie jest potrzebna w polskich mediach refleksja na temat przyczyn koronawirusowej „pandemii”, skali i charakteru wszystkich zagrożeń i społecznych konsekwencji (także w liczbie zgonów), wdrażanych ograniczeń. Na świecie rośnie opór przeciwko wszechobecnej narracji.

* * *

Epidemiolog prof. Sucharit Bhakdi: „Obwinianie samego nowego koronawirusa za śmierć jest niewłaściwe i niebezpiecznie wprowadza w błąd, ponieważ istnieją inne ważniejsze czynniki, w szczególności wcześniejsze zdrowie, warunki i m.in. zła jakość powietrza”. Narzucane środki określa jako „groteskowe”, „bezużyteczne”, „autodestrukcyjne”, a wręcz „zbiorowe samobójstwo, które skróci życie osób starszych”. Niemiecki wirusolog Hendrik Streeck: „COVID-19 nie zwiększy śmiertelności w Niemczech, która wynosi 2,5 tys. osób *dziennie*”. Szwajcarski wirusolog Pietro Vernazza: wiele nałożonych środków nie opiera się na nauce i należy je cofnąć. Twierdzi, że masowe testy nie mają sensu, ponieważ 90 proc. populacji nie zauważy żadnych objawów. Zaleca ochronę tylko grup ryzyka, przy jednoczesnym utrzymaniu gospodarki i społeczeństwa w całości.

Prezes Światowej Federacji Lekarzy Frank Ulrich Montgomery twierdzi, że środki blokujące, tak jak we Włoszech, są „nieuzasadnione” i „przynoszą efekt przeciwny do zamierzonego”. Dyrektor Niemieckiego Narodowego Instytutu Kocha przyznał, że wszystkie zgony z wynikiem dodatnim, „*niezależnie od faktycznej przyczyny śmierci*”, zaliczają do „zgonów koronawirusowych”. Podobnie jak w większości innych krajów nadmierna śmiertelność z powodu COVID-19 prawdopodobnie będzie bliska zeru.

Duński badacz socjologii medycyny Peter Göttsche nazywa koronawirusa „epidemią masowej paniki” i dodaje, że „logika była jedną z pierwszych ofiar”. Niemiecki immunolog i toksykolog prof. Stefan Hockertz sądzi, że COVID-19 nie jest bardziej niebezpieczny niż grypa. „Bardziej niebezpieczny niż wirus jest strach i panika wywołane przez media”. Zauważa, że większość tzw. zgonów koronowych faktycznie nastąpiła z innych przyczyn. Sądzi, że nawet dziesięć razy więcej osób, niż sądzimy, miało COVID-19, ale nawet tego nie zauważyło. Argentyński wirusolog Pablo Goldschmidt uważa, że COVID-19 nie jest bardziej niebezpieczny niż przeziębienie lub grypa. Możliwe jest nawet, że wirus COVID-19 krążył „*już we wcześniejszych latach*”, ale nie został odkryty, ponieważ nikt go nie szukał.

Wirusolog dr Carsten Scheller z Uniwersytetu w Würzburgu: „COVID-19 jest zdecydowanie porównywalny z grypą i jak dotąd doprowadził nawet do mniejszej liczby zgonów. Krzywe wzrostu mają więcej wspólnego z *rosnącą liczbą testów*, niż z niezwykłym rozprzestrzenianiem się wirusa”. Tego zdania są również dr Richard Capek („epidemia korony” jest w rzeczywistości „epidemią testów”), profesorowie medycyny ze Stanfordu dr Eran Bendavid i dr Jay Bhattacharya („śmiertelność COVID-19 jest przeszacowana o *kilka rzędów wielkości* i prawdopodobnie we Włoszech wynosi zaledwie 0,01 proc. do 0,06 proc., a zatem poniżej grypy. Przyczyną tego przeszacowania jest bardzo niedoszacowana liczba osób już zainfekowanych (bez objawów), włoski wirusolog Giulio Tarro: „Śmiertelność COVID-19 wynosi poniżej 1 proc. nawet we Włoszech, a zatem jest porównywalna z grypą. Wyższe wartości powstają tylko dlatego, że liczba osób zarażonych (wolnych od objawów) jest bardzo niedoszacowana”. Podobnego zdania są mikrobiolog z Mediolanu Maria Rita Gismondo, niemiecki Instytut Kocha, Szwajcarski Instytut Zdrowia i wielu innych.

* * *

Naukowcy ci sądzą, że wykrywa się 3–5 proc. zarażonych. Im więcej testów,

tym więcej nosicieli wirusa. U 80 proc. nosicieli przebiega on bezobjawowo. Dr Capek twierdzi, że „rosnąca liczba testów wykrywa proporcjonalną liczbę infekcji, wskaźnik pozostaje stały, przemawiając przeciwko rzekomemu trwaniu epidemii wirusowej”. Stosunek testów do wykrywalności jest mniej więcej stały i wynosi 15 proc. Innymi słowy – jeśli zrobimy 100 tys. testów, będziemy mieli 15 tys. zakażonych, milion testów oznacza 150 tys. zakażonych itd.

Epidemiolog prof. Knut Wittkowski z Nowego Jorku: „Środki podjęte w stosunku do COVID-19 przynoszą efekt przeciwny do zamierzonego. Według wszystkich dotychczasowych odkryć COVID-19 nie jest bardziej niebezpieczny niż poprzednie epidemie grypy”.

Prof. Gérard Krause z Zakładu Epidemiologii: „Środki antykoronowe mogą prowadzić do większej liczby zgonów niż sam wirus”. Krause ma na myśli panikę, stres, poczucie zagrożenia, zerwanie społecznych więzi i zaburzenie mechanizmów, blokowanie klinik i szpitali, porzucanie opieki nad starszymi osobami.

Wirusolog prof. John Oxford z Queen Mary University w Londynie: „Najlepszą radą jest spędzanie mniej czasu na oglądaniu wiadomości telewizyjnych. Uważam tę epidemię COVID za pokrewną epidemii zwykłej zimowej grypy. Mieliśmy z jej powodu 8 tys. zgonów w grupach »zagrożonych«. Nie sądzę, aby obecny COVID przekroczył tę liczbę. Mamy epidemię medialną!”.

* * *

Lista cytatów wybitnych mikrobiologów, epidemiologów, wirusologów z całego świata, którzy uważają obecną „pandemię” za medialną kreację i nieuzasadnioną histerię, jest dużo dłuższa. W Polsce z różnych powodów i bez medialnej sławy umiera 1134 osób dziennie. Zarażonych koronawirusem zmarło dotąd sto kilkadziesiąt. Smutna liczba, ale czy upadek gospodarki, miliony ludzi bez środków do życia, upadek siły państwa, w tym służby zdrowia, zerwanie społecznych więzi nie spowodują zagrożenia dla życia Polaków większego niż to paraliżujące nas coś, czego nie umiem nazwać?



*W zasadzie trudno
pojąć przyczynę odejścia
z rządu Jarosława
Gowina. W każdym razie
nie stoją za nią – jak to
często bywa w polityce
– żaden nieuchronny
los ani polityczna
konieczność*



Fot. Andrzej Wiktor

Powód złożenia dymisji podany publicznie przez samego Gowina tak bardzo wygląda na wymyślony w ostatniej chwili pretekst, że w większości analiz nawet nie jest przywoływany. Miałaby nim być niezgoda prezesa PiS na trzymiesięczne *vacatio legis* dla „ustawy korespondencyjnej”. Niezgoda najzupełniej oczywista, jeśli zważyć, że z perspektywy Jarosława Kaczyńskiego ustawa owa z taką klauzulą utraciłaby przeciw wszelki sens, skoro miałaby wchodzić w życie gdzieś w okolicach końca lipca. Jeśli nawet zostawić na boku ów nie całkiem zborny pretekst, to i tak realne cele, jakie chciał swoją dymisją osiągnąć były już wicepremier, są trudne do zidentyfikowania.

Z pewnością nie uzyskał w ten sposób żadnego wpływu ani na termin, ani na sposób przeprowadzenia wyborów prezydenckich, o co ostatnimi czasy mocno przecież zabiegał. Żadną miarą nie umocnił, a raczej przeciwnie, wyraźnie osłabił wpływ swojej grupy poselskiej na dalszy bieg zdarzeń politycznych w kraju, na dobrą sprawę stawiając nawet pod znakiem zapytania jej dalszą zdolność podmiotowego bytowania na polskiej scenie. A jeśli założyć, że chciał jakoś „ostrzec” czy „przywołać do porządku” samego Kaczyńskiego – tak by ten był na przyszłość mniej despotyczny i bardziej skłonny do kompromisów – to i taki cel nie został przez Gowina osiągnięty. Przeciwnie. Prezes PiS wychodzi z tego zwarecia jak na razie wzmocniony, w aurze polityka, który potrafi bez nagięcia karku po raz kolejny wywikłać się z poważnej opresji. Dalsza polityczna

Kaczyński i Gowin: pierwsze starcie



JAN ROKITA

przyszłość byłego wicepremiera rysuje się zaś mało wyraźnie i raczej niepewnie.

PUŁAPKI PROJEKTU KONSTYTUCYJNEGO

Zresztą cała kampania podjęta przez Gowina w kwestii wyborów prezydenckich nie wyglądała ani na składną, ani na przemyślaną. Najpierw wicepremier publicznie podpisał się pod akcją zainicjowaną przez dziennik „Rzeczpospolita”, iżby Sejm konsensualnie wprowadził epizodyczną nowelizację konstytucji wydłuża-

jącą kadencję Andrzeja Dudy. Tyle tylko, że owa akcja od początku obciążona była wadą kalendarzową: nieczytający przepisów dziennikarze pomylili sobie wymagane prawem terminy niezbędne dla noweli konstytucyjnej. Potem zaś, w tonie niesłychanie dramatycznym, Gowin przedłożył własny projekt trwałej zmiany ustrojowego modelu i kadencji głowy państwa, odwołując się przy tym do racji najwyższych, do jakich polityk w ogóle może się odwołać: do Boga i historii. Logicznie można by zakładać, iż gdy polityk uderza w tak wysoki dzwon, to musi mieć za sobą dramatyczne, ale i bardzo twarde polityczne realia. Gowin ich nie miał.

Jego projekt wypłynął *deus ex machina*, nikt o nim wcześniej nie słyszał ani nikt nie zamierzał go na serio popierać, w swej warstwie merytorycznej zaś nigdy nie był w Polsce dyskutowany. Ale co najważniejsze: mało racjonalne było przypuszczenie, że za wspólną z PiS nowelą konstytucyjną może się opowiedzieć opozycja, która przecież od dawna z reguły nienaruszalności konstytucji kwietniowej 1997 r. uczyniła swoją świętością i najważniejszy bastion oporu wobec obecnej władzy. Lekceważąca reakcja Platformy, Lewicy, PSL i nawet Konfederacji nie była zatem trudna do przewidzenia.

Choć więc plan Gowina od początku nie miał szans, aby się ziścił, warto mimo wszystko zwrócić uwagę na kryjącą się w nim, bynajmniej niebłahą i kontrowersyjną, myśl ustrojową. Przekształcenie kadencji prezydenckiej w taki sposób, aby trwała ona siedem lat (jak we Francji *gen. de Gaulle'a*) i była

niemożliwa do powtórzenia, umacniałoby polityczną suwerenność głowy państwa, która od pierwszego dnia swego urzędowania nie musiałaby się na serio liczyć ani z premierem, ani z rządem, ani z partią rządzącą, ani wreszcie z nastrojem opinii publicznej. Ta ostatnia właściwość byłaby w tym wszystkim najbardziej pozytywna, uwalniając prezydenta od przymusu schlebiana zbiorowym nastrojom i uczuciom. Gdy idzie jednak o pozostałe skutki takiej hipotetycznej operacji ustrojowej, to byłyby już one bardziej nieoczywiste. Raczej pozytywne w warunkach politycznej kohabitacji pomiędzy prezydentem i rządem, gdyż prezydent miałby znacznie słabszą motywację do zwalczania rządu w roli faktycznego alter ego lidera opozycji (tak jak np. w latach 2000–2001 czynił to Kwaśniewski wobec rządu Buzka). Jednak negatywne, gdy władza nad „dużym” i „małym” pałacem pozostawałaby w rękach tego samego obozu politycznego, gdyż uniezależniona głowa państwa nieuchronnie stawiałaby się bardziej skłonna do sypania piasku w szprychy „własnemu” rządowi od pierwszego dnia urzędowania.

Te hipotetyczne pozytywy i negatywy postulowanej przez Gowina noweli ustrojowej wymagały – tak czy owak – namysłu i zważenia przed wystąpieniem z taką inicjatywą, ze świadomością, że tzw. dwugłowa egzekutywa, prowokująca walki prezydenta z rządem i większością parlamentarną, była dotąd jednym z najważniejszych źródeł kiepskiej rządności współczesnego państwa polskiego. Tym razem na taki namysł i zważenie racji nie było ani czasu, ani okazji.

MOTYW: PERSONALNY KONFLIKT

Wygląda więc na to, że dramatyczny zwrot, jakiego dokonał Jarosław Gowin, nie był pragmatycznie obliczony na osiągnięcie jakichś celów politycznych, stanowił raczej coś w rodzaju uczuciowego protestu wobec sytuacji, której nie był już on w stanie dłużej znosić. Tak również bywa w polityce, że aktorzy na scenie wykonują nawet

ostre zwroty naprawdę nie „po coś”, lecz dlatego, że wydaje im się, iż dalej nie może już być tak, jak było dotąd. Oczywiście tu wchodzimy (co analityk musi uczciwie przyznać) w sferę przypuszczeń i niejasności, obarczonych na dodatek ryzykiem kiepskiego „psychologizmu”. Jednak determinacja, z jaką działał w okresie przedświątecznym wicepremier Gowin, pozwala sądzić, iż źródłem jego sprzeciwu musiał być

Nic z tego, co zrobił lider Porozumienia, nie daje się zrozumieć bez założenia ostrego personalnego konfliktu Gowina z Kaczyńskim

dotychczasowy układ relacji z Jarosławem Kaczyńskim.

Kulturalny i delikatny w obyciu Gowin nie mówił tego oczywiście wprost, ale polityczne okoliczności jednoznacznie wskazują na kulminację jego sprzeciwu wobec stylu przywództwa i strategii politycznej Kaczyńskiego. Powiedzmy to wprost: nic z tego, co w kilku przedświątecznych dniach zrobił Gowin, nie daje się zrozumieć bez założenia ostrego personalnego konfliktu Gowina z Kaczyńskim. Nawiasem mówiąc, eksploatowana później przez internautów scena z sali sejmowej, obnażająca spersonalizowany charakter zwady obu polityków, stanowi dodatkowy dowód takiej hipotezy. Tyle tylko, że jeśli owa hipoteza jest prawdziwa, a uczucia i poczucie godności obu liderów grają tu istotnie kluczową rolę, to po przedświątecznym „pierwszym starciu” można oczekiwać dalszych mało racjonalnych odsłon tego politycznego teatru.

Kwestią kluczową dla tych dalszych odsłon będzie los podzielonej wewnętrznie grupy Jarosława Gowina. Grupa ta w końcu zawdzięcza swoje istnienie i stosunkowo silną pozycję niezmordowanym wysiłkom Gowina,

który z determinacją od paru lat zabiegał dla jej członków o dobre miejsca na listach wyborczych, ważne rządowe posady i względnie polityczną autonomię wobec PiS. Bez tych starań i bez nacisków umiejętnie wywieranych przez Gowina na lidera PiS sukces, jaki osiągnęła minipartia Porozumienie JG, byłby zapewne niemożliwy. Teraz, gdy twórca partii rozpoczął publiczną konfrontację z Kaczyńskim, grupa może albo podążyć za swoim założycielem, albo symbolicznie dokonać freudowskiego „zabójstwa ojca” i próbować podążyć własną drogą pod przywództwem dynamicznej nowej wicepremier Jadwigi Emilewicz.

W pierwszym scenariuszu musiałoby się to skończyć polityczną anihilacją Porozumienia JG, ale za tę cenę udałoby się zgotować potężne kłopoty polityczne Kaczyńskiemu, który stanąłby wobec braku bezwzględnej większości sejmowej dla rządu. Można powiedzieć, iż jeśli celem miałyby być odwet na Kaczyńskim – to taki cel zostałby osiągnięty. Ale znaczyłoby to także, że u szczytu zarazy polska polityka wpadnie w okres dodatkowych silnych wstrząsów, które przecież i tak ją czekają wobec nierozstrzygniętej nadal konfrontacji władzy i opozycji wokół wyborów prezydenckich.

Scenariusz drugi jest z perspektywy państwa i „wielkiej polityki” mniej rozchybotany i nie tak potencjalnie eksplozywny, gdyż utrzymuje minimalną większość parlamentarną dla gabinetu Morawieckiego. Jednak polityczną przyszłość dotychczasowej grupy Gowina do pewnego stopnia również stawia w niejasnym świetle. Wicepremier Emilewicz nie będzie bowiem łatwo wejść w buty Gowina cisnącego nieustannie Kaczyńskiego o gwarancje podmiotowości i politycznego znaczenia tej małej grupy. Choć z drugiej strony (mówiąc to tylko po części z przymrużeniem oka, a po części jednak śmiertelnie serio), znając predykcję lidera PiS do ustępowania kobietom, niewykluczone, iż Emilewicz udałoby się wypracować z nim jakieś racjonalne modus vivendi, którego partia sprawująca władzę będzie bardzo potrzebować.

*Jarosław Gowin chciał zjeść
ciastko i mieć ciastko*

W co gra lider Porozumienia?



STANISŁAW JANECKI

Gdy Jarosław Gowin podał się do dymisji z funkcji wicepremiera i ministra nauki, zaznaczał, że to najniższa cena za brak porozumienia z Prawem i Sprawiedliwością oraz Solidarną Polską w kwestii terminu i sposobu przeprowadzenia wyborów. A to wiązało się z kryzysem obozu władzy w sercu kryzysu związanego z pandemią, co narażałoby Polskę na chaos w instytucjach państwa, w gospodarce i tych wszystkich dziedzinach, które praktycznie stanęły, oraz w samej walce z pandemią. Z tego by wynikało, że Jarosław Gowin zachował się najbardziej odpowiedzialnie, jak tylko mógł. Na to politycy PiS odpowiadają, że odpowiedzialne zachowanie po-

winno polegać na tym, że nie wywołuje się politycznego kryzysu w rządzie i na jego politycznym zapleczu w szczycie największego wyzwania, przed jakim Polska stanęła po 1989 r., a może nawet po roku 1945. Politycy PiS nie ukrywają, że ta bomba wisiała nad obozem władzy, nie przypuszczali jednak, że będzie się przy niej majstrować w najgorszym z możliwych momentów. Z drugiej strony nie ma bardziej optymalnego momentu dla słabszego koalicjanta chcącego zdemontować swoje znaczenie czy choćby podmiotowość niż wystąpienie w chwili dla tego większego najtrudniejszej.

WYJŚCIE AWARYJNE

W mediach Jarosław Gowin tłumaczył, że motywem jego działania było uznanie, iż „10 maja nie uda się przeprowadzić wyborów”, a nawet, że „nie zgadza się na wybory 10 maja”. W dodatku „nie wierzy w projekt PiS, że do 10 maja uda się przygotować głosowanie korespondencyjne”. A „głosowanie metodą tradycyjną, w loka-

lach wyborczych, z oczywistych względów nie wchodzi w grę, to byłaby hekatomba”. Dlatego najpierw zaproponował „całej klasie politycznej przesunięcie wyborów o rok”. Ale „aprobatę wyraził tylko Władysław Kosiniak-Kamysz”. Potem zaproponował „zmianę konstytucji polegającą na tym, że jest tylko jedna kadencja prezydenta, siedmioletnia”. Gdy w PiS nie znalazł zrozumienia dla zawieszenia wszelkich przygotowań do wyborów w terminie konstytucyjnym, a opozycja nie poparła planu siedmioletniej kadencji, zdecydował się „wdrożyć trzeci plan, czyli odejść z rządu”. Ale wciąż prowadzi rozmowy dotyczące zmiany konstytucji i odłożenia wyborów na dwa lata. Tym bardziej że ma w tej mierze poparcie PiS, w tym prezesa Jarosława Kaczyńskiego i premiera Mateusza Morawieckiego. Powody dymisji jeszcze uzupełnił tym, że „nie zgadza się”, żeby „polska klasa polityczna ciągle zajmowała się sprawą wyborów”, choć termin 10 maja „już dawno powinien być odsunięty”. Powinien, ale nie z powodu wprowadzenia stanu klęski

żywiolowej, gdyż to „skutkowałoby przesunięciem wyborów na lato lub jesień, co też nie jest dobrym rozwiązaniem”. W dodatku, „gdybyśmy na rok wprowadzili stan klęski żywiołowej, to wiązałoby się to z ogromnymi odszkodowaniami, nie tylko dla polskich przedsiębiorców, ale i dla wielkich koncernów zagranicznych, a to z kolei doprowadziłoby następne pokolenie do ruiny”.

Już podczas przyjmowania ustaw sądowych, a potem ich nowelizacji Gowin zaznaczał albo swój sprzeciw, albo dyskomfort moralny i estetyczny. Jednak nie decydował się na wywołanie kryzysu w koalicji Zjednoczonej Prawicy. Zdecydował się dopiero w najtrudniejszych okolicznościach zewnętrznych – nie tylko dla PiS, lecz i całego państwa. Politycy PiS tłumaczą to tym, że liczył, iż jeśli nie jego własne argumenty, to zewnętrzne okoliczności zmuszą głównego koalicjanta do uznania wyborów za niemożliwe do przeprowadzenia w konstytucyjnym terminie. Tak jakby to przesunięcie nie wiązało się z żadnymi konsekwencjami dla obozu władzy. I jakby można ignorować fakt posiadania przez opozycję przewagi w Senacie. Politycy PiS uważają, że Gowin uznał za mniejszy problem kłopoty obozu władzy związane z konsekwencjami przesunięcia wyborów i nakładające się na skutki pandemii dla całego państwa niż to, jak organizowanie wyborów w konstytucyjnym terminie byłoby przyjęte przez establishment III RP i jego media oraz tych obywateli, na których ten „układ” ma wpływ, oraz tych, których mógłby on przestraszyć bądź zmobilizować przeciw władzy. Wprawdzie już wcześniej Gowin obrywał za popieranie różnych projektów i praktyk PiS, ale Porozumienie było tak konstruowane personalnie i programowo, żeby nie palić wszystkich mostów do tej części polityki, która jeśli nie jest otwarciem przeciw PiS, to zachowuje daleko posunięty sceptycyzm. Niektórzy politycy PiS nazywają to „furtką do innego świata” zostawioną przez Gowina i jego najważniejszych współpracowników albo „wyjściem awaryjnym”. Politolog prof. Rafał Chwedoruk uważa, że to jest jakieś wyjście na opozycję: albo całej Zjednoczonej Prawicy, i wtedy Gowin mógłby wrócić do gry na jakimś ważnym stanowisku, albo sa-

modzielne już wyjście na coś, co mogłoby powstać wokół PSL. Ale i w tym drugim wypadku Gowin nie byłby liderem, ale też nie byłby zmarginalizowany. Dymisją miałby uratować własną karierę, mimo że na razie można ją uznać za „polityczną katastrofę”. Ale gdyby się na to nie zdecydował, „przestałby być traktowany poważnie w polskiej polityce”.

ZATRZYMANA LAWINA

Osoby znające Jarosława Gowina oraz ci politycy PiS, którzy zastanawiają się nad motywami jego działania, zwracają uwagę, że w obozie Zjednoczonej Prawicy zawsze chciał zachować status „czyściocha”, a nawet kogoś, kto jest w tym obozie tylko jedną nogą. I że nigdy nie chciał być na otwartej wojnie z establishmentem III RP.

Politycy PiS zwracają uwagę, że w obozie Zjednoczonej Prawicy Gowin zawsze chciał zachować status „czyściocha”, a nawet kogoś, kto jest w tym obozie tylko jedną nogą

Pomostem do tego establishmentu jest Kraków (złośliwie – Krakówek) oraz środowiska nauki, z którymi miał już bliskie relacje jako rektor Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera, a ma jeszcze bliższe po tym, jak razem pracowali nad „Prawem o szkolnictwie wyższym i nauce” (tzw. Konstytucją nauki), przyjętym w lipcu 2018 r. Krakówek i ludzie nauki starali się „ugniatać” Gowina i poprzez niego przekazywać różne komunikaty oraz warunki najważniejszym politykom PiS. Przy tym Gowin nigdy nie został poddany takiemu ostrzałowi, pod jakim ze strony tych środowisk znalazł się inny krakus – prezydent Andrzej Duda. Gowinowi więcej wybaczano, choć nie był to nielimitowany kredyt zaufania. Nie dziwi więc, że swój projekt zmiany konstytucji i przedłużenia kadencji prezydenta Dudy konsultował Gowin z prof. Andrzejem Zollem, jednocześnie filarem Krakówka,

świata nauki i establishmentu III RP. Z tymi środowiskami lider Porozumienia chciał mieć dobre kontakty. A w jego partii znaleźli się ludzie, którzy podobną strategię realizowali w innych częściach Polski.

Jarosław Gowin liczył, że sprzeciwiając się wyborom 10 maja, a jednocześnie poprzez minister Jadwigę Emilewicz mając duży wpływ na ratunkową politykę rządu, zademonstruje swoją czystość, odpowiedzialność, wpływy i decyzyjność. I że narzuci w ten sposób filozofię działania całemu obozowi władzy (ze względu na niezwykle trudne warunki zewnętrzne). W efekcie będzie tym liderem Zjednoczonej Prawicy, który najmniej straci, a wręcz będzie traktowany jako ten najbardziej odpowiedzialny, przez co stanie się „posażną panną na wydaniu”, o której względy może się ubiegać także opozycja.

A to byłoby ważne, gdyby obóz władzy ucierpiał wskutek rozległości, głębi i długotrwałości kryzysu. Innymi słowy, Gowin chciał zjeść ciastko i mieć ciastko. Mimo swego politycznego doświadczenia nie wziął pod uwagę, że w bardzo trudnej sytuacji taki polityczny konstruktywizm może być albo nawiścią, albo czymś bardzo szkodliwym. Gdy się otworzy furtkę na możliwość skłócenia obozu władzy, ona ani szybko się nie zamknie, ani długofalowo nie da się tego kontro-

lować, bo zaistniał już precedens. I każdy następny kryzys będzie wywoływał coraz większe turbulencje. A wtedy, jak u Ignacego Krasickiego, może być tak, że „gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły, wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły”. Nawet gdy ma się dobre intencje i zapewnia, że rozpad Zjednoczonej Prawicy w tak trudnym czasie byłby zbrodnią. Gowin chciał osiągnąć kilka celów – umocnienie pozycji swojej i ugrupowania, otwarcie na opozycję, stały kanał porozumienia z elitami intelektualnymi III RP, empatia i opieka w czasie zagrożenia, ale zamiast tego uruchomił polityczną lawinę. Na razie ona się zatrzymała, także dlatego, że część jego posłów zbuntowała się przeciw liderowi. Ale ta lawina wciąż może zejść i storpedować także plany samego Gowina. Również te na ewentualne życie po Zjednoczonej Prawicy.



Planowany most – wizualizacja – folder promocyjny gminy

Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie

Urbanistyczna patologia III RP na przykładzie Kórnika

Na polskiej prowincji III RP pospół z UE i deweloperami zafundowali nam dyktaturę betonowej kielbasy wyborczej. Jej skuteczność była i jest mierzona wielkością zabetonowanej powierzchni i wysokością unijnej dotacji. To cel prawdziwy, który uświęca środki. Natomiast cel oficjalny (dobro mieszkańców, „rozwój” miasteczka, mityczna „rewitalizacja”) może być słuszny lub nie, ale nie ma znaczenia. Efekt? Zabójczy dla narodowego dziedzictwa... Przykładem Wilanów i Święta Góra pod Gostyniem albo podpoznański Kórnik, którego historyczną panoramę niszczy się przy wtórze samorządowych fanfar, w błasku urbanistycznych nagród i z unijnymi dotacjami. Przy czym obywatele (bez względu na polityczne preferencje) są często zachwyceni. Bo obywatel nie musi być ekspertem. A miłośnicy narodowego krajobrazu płaczą. Dlaczego tak się dzieje? I co na to służby konserwatorskie?



JACEK KOWALSKI

*To tylko jeden z licznych,
krajobrazowo-
konserwatorskich skandali
ostatnich lat, wołających
o zmianę struktury
służb konserwatorskich
i prawa o ochronie zabytków.
Zapraszam do wglądu
w studium patologicznego
przypadku i do wyciągnięcia
wniosków*

DECYDENT KONTRA KONSERWATOR

Obecne polskie prawo nie określa precyzyjnie zasad ochrony widoków zabytkowego obszaru. Dlatego też nawet najcenniejszym zespołom zabytkowym grozi przysłonięcie przez różnymi makabryłami. Teoretycznie konserwator może się postawić, ale najchętniej czyni to wobec mało majątnych inwestorów prywatnych. Trzy razy się zastanowi, jeśli budowę planuje miasto albo jakiś duży biznesmen. Bo konserwator miejski lub powiatowy to zwykły pracownik starostwa lub urzędu miasta i może po prostu stracić posadę. Rada na to jest jedna: konserwatorów trzeba poddać wyłącznie Konserwatorowi Generalnemu RP, którego lokalne gierki samorządowe nie obchodzą. A prawo powinno umożliwiać skuteczne, czyli obowiązkowe, a nie opcjonalne, interwencje.



Kórnicki zamek, w tle molo i fontanny

Fot. Jacek Kowalik

KÓRNIK: PSZCZOŁA W BURSZTYNIE

Ale przejdźmy do studium przypadku, czyli Kórnika pod Poznaniem. Małe miasteczko, jezioro, zamek z wielkim parkiem, kolegiata farna z nekropolią właścicieli, którzy ofiarowali swój majątek odrodzonej ojczyźnie, tworząc w 1924 r. Fundację Zakłady Kórnickie. Dzięki utworzeniu Fundacji zamek i zbiory przetrwały i okupację, i lata komunizmu w stanie niemal nienaruszonym jako jedyna z dawnych polskich rezydencji arystokratycznych, zachowując wyposażenie wnętrz, zbiory, przedwojenną funkcję i grono pracowników. Komuna znacjonalizowała wprowadzie majątek, ale w zasadzie nastąpiła tylko zmiana administratora – z Fundacji na Polską Akademię Nauk. Dawny totumfacki hrabiego Zamoyskiego, legendarny Małeck, mógł spokojnie dożywać swoich dni na zamkowej służbie.

Dziś zamek z parkiem to główna turystyczna atrakcja Poznania, można rzec: taki „wielkopolski Wawel” albo „podpoznański Wilanów”. Ze względu na zbiory sławnej Biblioteki Kórnickiej jest też mekką historyków z całej Polski. W 2011 r. rozporządzeniem prezydenta RP zamek, park i kolegiatę ustanowiono jednym z pomników historii, czyli za-

bytków o najwyższej narodowej randze. Oprócz tego już wcześniej wpisano do rejestru zabytków układ urbanistyczny starego Kórnika, opierając granice chronionego obszaru na brzegu jeziora.

Dziś polskie prawo o ochronie zabytków i krajobrazu jest słabsze od widzimisię lokalnej władzy, która pod hasłem „rozwój gminy” i „wszystko dla mieszkańca” może bezkarnie niszczyć narodowe dziedzictwo

POSTKOMUNISTYCZNA ZAKAŁA

Od początku transformacji poważny problem stanowi zagospodarowanie całego zespołu. Punktowo jest bardzo dobrze (vide remonty zamku, kolegiaty, obu ratuszy), ale jeśli chodzi o całość – fatalnie. Dziedzinnic zamkowy to wciąż liszaj pośrodku miasteczka, przecięty szosą, z postkomunistycznymi budkami, z ohydny parkingiem na zapleczu i korowodami samochodów tłoczącymi się w okresie

turystycznego szczytu. Jest tak, bo teren nie należy do jednego decydenta, ale częściowo do miasta, a w większości do PAN, która podzieliła go na trzy odrębnie zarządzane instytuty. Te zaś mogą wydawać pieniądze jedynie na cele naukowe i konserwację zbiorów. Nie ma komu zadecydować o spójnej urbanistycznej koncepcji ani zlecić jej zaprojektowania. Inicjatywę mogłyby wprowadzić wziąć w ręce miasto i gmina (jedne z najbogatszych w Polsce), ale władze najwyraźniej nie są tym zainteresowani mimo pojawiających się apeli. I mimo że są doskonale umocowani. A może właśnie dlatego. Od 1990 r. do dziś (z przerwą na jedną kadencję) rządzi ta sama ekipa, a był wiceburmistrz jest dziś wicestarostą, czyli zwierzchnikiem powiatowego konserwatora. Betonowa kielbasa wyborcza tej ekipy jest bardzo skuteczna. Ponieważ jednak na samym zamku i w jego bezpośrednim sąsiedztwie nie da się już łać betonu, a pomysły z gruntu nieakceptowalne (jak wyburzenie obrzeży pomnika historii i budowa nowej sieci drożnej na jego miejscu) zostały, na szczęście, udaremnione, no to...

„DIE PROMENADE AM BURGSTADTSEE”

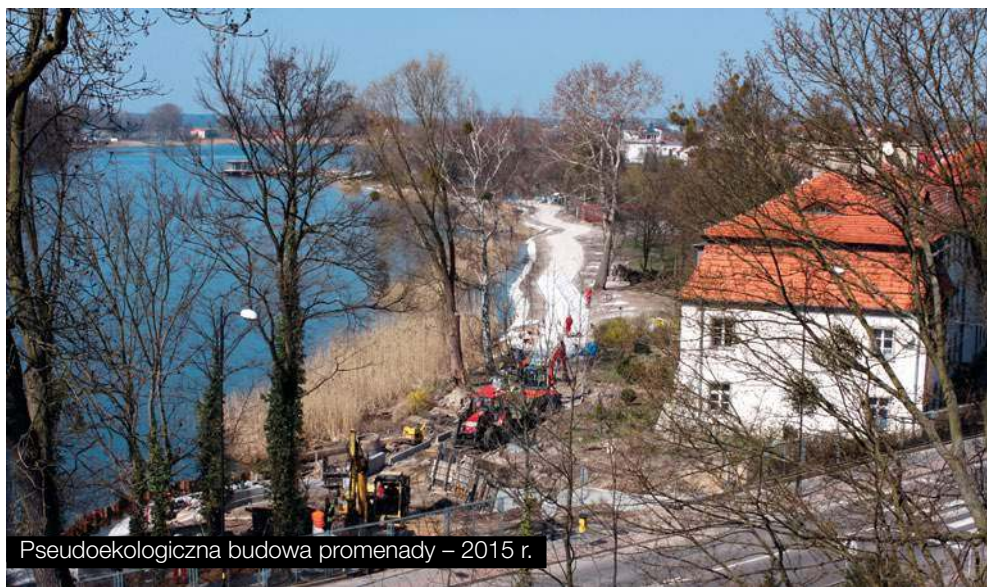
...no to władze postanowili, żeby zaopatrzyć Kórnik w nadbrzeżną promenadę. Mają co prawda sławny na całą Polskę zamek, ale pragną inwestycji na miarę... egipskich piramid lub wieży Eiffla (to porównanie naprawdę padło na jednej z ostatnich posiedzeń rady miasta i gminy!). Odgrzali tym samym okupacyjny projekt „Die Promenade am Burgstadtsee”, przejęty potem przez władze komunistyczne, którym przez kilkadziesiąt lat skutecznie sprzeciwiali się właściciele nadjeziornych działek (mój proces z gminą trwa do dziś). Ale pomysł sam w sobie, chętnie to przyznaję, nie był zły i, co więcej, miał i ma społeczne poparcie. Można go było zrealizować poza terenem spornym, tworząc ziemne, bite alejki na nadbrzeżu, tu i tam wzmocniane drewnianym palowaniem. Jak w tutejszym parku. Bez wycinania

drzew. Klasycznie. A jeśli budować pomosty, to również z drewna. Bo przecież urok Kórnika zasadza się na tym, co małe i kameralne. To urbanistyczny unikat, niegdyś typowy dla miasteczek zakładanych w Wielkopolsce w późnym średniowieczu: sąsiedztwo przyrynkowych kamieniczek i zamku – z połodowcowym, małym jeziorem, będącym jakby wewnętrznym akwem kórnickich dóbr. Nad to jezioro schodziły ogrody mieszczańskie – z obu stron – zamkowy park. Istnienie tych panoram i widoków wydawało się oczywiste i niezagrożone, zwłaszcza że układ urbanistyczny był chroniony aż do linii wody, więc konserwator mógł tego dopilnować.

MIŚ MUSI BYĆ DUŻY, CZYLI KOMPLEKS DROBNOMIESZCZAŃSKI

Byliśmy naiwni. Bo przecież MIŚ musi być duży, na miarę Las Vegas i drobnomieszczańskich kompleksów gminnej władzy. Zaczęło się osiem lat temu. Najpierw „ekologicznie” nafaszerowano brzegi jeziora żelbetonem, wzmacniając je falochronami rodem z Gdyni i wycięto nadbrzeżne brzozy i wierzy, a potem pobudowano potężne betonowe molo z piętrowym pawilonem widokowym, ujętym w wianuszek ośmiu tęczowo podświetlanych fontann. Kicz i koszmarny. Ta makabryla weszła w widok zamku, lasu i parku, trwale zmieniając krajobraz.

Po ogłoszeniu projektu (2009 r.) zaprotestował poznański oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki, nastąpiła też interwencja konserwatora generalnego. Wszystko za późno, bo urząd miasta zdążył przybić pieczęć w powiecie. Konserwator powiatowy tłumaczył się, że inwestycja nie dotyczyła strefy chronionej, która „przecież sięga tylko linii brzegowej”, podczas gdy promenada powstała „już na jeziorze”. Co zaś do panoramy miasta, prawo nie chroni widoków, nawet w przypadku pomnika historii. Potem okazało się, że promenadę zbudowano teoretycznie... w głębi łądy, o metr od linii brzegu. Ktoś tu coś rozumie? Jeszcze trudniej uwierzyć, że gmina otrzymała za ten koszmarek nagrodę



Fot. Michał Potocki

Pseudoekologiczna budowa promenady – 2015 r.

Towarzystwa Urbanistów Polskich za „zwiększenie atrakcyjności turystycznej Kórnik”. Owszem, ale kosztem historycznego krajobrazu. Skądinąd przyjeźdźni historycy sztuki biorą betonowe molo za wykwit epoki gierkowskiej. Nic dodać.

TERAZ JESZCZE MOST

Na tym nie koniec. Pan burmistrz, odbierając nagrodę za betonową promenadę z betonowym molo, zapowiedział: „Zmierzamy wszyscy, by trzeci etap pobudować, w tym etapie znajdzie się most, który połączy dwa brzegi. Dobrze państwo przeczytali: most, prowadzący tam, dokąd można spokojnie dojść istniejącym już deptakiem. Most, który ostatecznie zasłoni widok na zamek z północnego brzegu jeziora. Czy to już finał, czy też czeka nas ciąg dalszy? By zacytować klasyka: „Co by tu jeszcze speprzyć, panowie, co by tu jeszcze?”.

MORAŁ: NOWE PRAWO POTRZEBNE OD ZARAZ

Dziś polskie prawo o ochronie zabytków i krajobrazu jest słabsze od widzimisię lokalnej władzy, która pod wyborczym hasłem „rozwój gminy” i „wszystko dla mieszkańca” może bezkarnie niszczyć narodowe dziedzictwo. Tymczasem o ochronie powinno decydować grono

ekspertów i urzędników niewykłane w lokalną politykę. Przed czym samorządowcy (i deweloperzy) od lat bronią się rękami i nogami: w obecnej sytuacji ich wzajemny układ idealnie się domyka.

Formuję więc trójpunktowy apel pod adresem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Panie ministrze! Pani konserwator generalna RP! Wnoszę o:

- 1) wpisanie CAŁEGO zespołu miasta, zamku i parku w Kórniku do rejestru zabytków – włącznie z dawnym parkiem po drugiej stronie jeziora, tak aby chroniony był również ten akwen i rozciągające się wokół niego panoramy (taki wniosek złożył właśnie do właściwej instancji Oddział Poznański Stowarzyszenia Historyków Sztuki);
- 2) wystąpienie o nowelizację ustawy o ochronie zabytków, w postaci zapisu chroniącego widoki, przynajmniej w przypadku pomników historii (inaczej po co ustanawiać pomniki historii?);
- 3) podjęcie starań o reformę struktury służby ochrony zabytków poprzez odpowiednie zwiększenie kompetencji Konserwatora Generalnego RP. 

Autor jest historykiem sztuki, profesorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i mieszkańcem Kórnik

K

ULTURY

Niebieskooka blondynka, sympatyczna „dziewczyna z sąsiedztwa”, po raz kolejny udowadnia, jaką – oprócz talentu – ma siłę i wolę walki. W telewizyjnym show „Dance, Dance, Dance” Anna Karczmarczyk nie tylko tańczy, ale też promuje przyjaźń

Mam tę moc

Fot. Waldemar Kompiła/TVP



Fot. Mateusz Łapka / TVP



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W ideoklip z animowanej „Krainy lodu” nie wpisuje się może w charakter widowiska „Dance, Dance, Dance”, ale już jego przesłanie jak najbardziej. Frazę: „Mam tę moc...!” z powodzeniem mógłby nucić niejeden uczestnik dynamicznego show, który – dzięki wcześniejszym nagraniom – jeszcze w tę sobotę (18 kwietnia) będzie cieszyć widzów Dwójki premierowym odcinkiem.

WESPÓŁ W ZESPÓŁ

Nie tylko cytat z wspomnianego przeboju, ale i z utworu Starszych Panów o sile wspólnego działania, znakomicie definiowałby duet, w którym przyjaźń trwa od czasu egzaminów do warszawskiej Akademii Teatralnej (ukończonoj przez oboje w 2016 r.). To dzięki tej przyjaźni Mateusz Łapka mógł stać się

odkryciem (nie tylko tanecznym) programu „Dance, Dance, Dance”, a Anna Karczmarczyk (która go do udziału w show zaprosiła) znów pokazała zarówno aktorski potencjał, jak i niespożytą energię.

Gdy wymagała tego choreografia, kuksańcem, innym razem głośnym dopingiem zza kulis, wspierała przyjaciela. Zdolnego i walecznego, ale mniej obeznanego z realiami telewizyjnego show. W tym duecie to ona miała więcej różnorodnych zawodowych doświadczeń – w końcu przed profesjonalną kamerą stanęła już jako siedmiolatka – i także ona wydawała się bardziej harda, skora do starcia i gotowa na wyjście z bezpiecznej strefy, na przekroczenie kolejnych granic.

To ona niczym disneyowska Elsa od początku miała „tę moc”, ale też czerpała ją z obecności człowieka, z którym przeszli przez doświadczenia studiów i życia w akademiku. Ich wspólna siła brała się z pozawerbalnego porozumienia, widocznego na każdym kroku, a będącego efektem – jak mówi aktorka – pokrewnieństwa dusz i charakterów oraz energii, które się spotykają. – Mateusz to wspierał człowieka. Nie dałabym mu zrobić krzywdy – zapewnia Karczmarczyk.

Aktor Teatru Ateneum, od dwóch miesięcy szczęśliwy tata, poza własnym życiowym i zawodowym doświadczeniem, w kryzysowych momentach mógł więc liczyć na wsparcie przyjaciółki (od dwóch lat szczęśliwej mężatki). – Jesteśmy najlepszym dowodem, że taka relacja jest możliwa. Może dlatego, że jesteśmy jak rodzeństwo – ocenia aktorka. – Mam nadzieję, że dzięki temu programowi (mimo że z wielkim żalem musieliśmy przerwać nagrania tak blisko finału), Mati zostanie dostrzeżony przez branżę serialowo-filmową i szolbiznesową. Tego mu gorąco życzę – dodaje.

Z KAMERĄ ZA PAN BRAT

„Dance, Dance, Dance” nie jest pierwszym tanecznym show, w którym Anna Karczmarczyk wzięła udział. Cztery lata temu wygrała Kryształową Kulę w „Tańcu z gwiazdami”. Mocno jednak podkreśla, że to bardzo różne wyzwania, odmienny charakter pracy i efektu, do którego się zmierza (tam trenowała układy z zawodowym tancerzem; tu, w znacznie szybszym tempie, w czasie występu, licząc tylko na siebie, trzeba było wejść w choreograficzną

dynamikę wyświetlanych miliony razy teledysków). Jednocześnie oba projekty były niezwykle wymagające fizycznie i psychicznie, w obu, gdy wychodziła na scenę, była gotowa na wyzwanie. Ćwiczy to od dzieciństwa.

W 2009 r. na duże ekrany trafił głośny film Katarzyny Rosłaniec „Galerianki”. Grająca główną postać Anna Karczmarczyk dostała wtedy nagrodę za debiut na festiwalu w Koszalinie. Kiedy odbierała statuetkę, nie była jeszcze pełnoletnia (urodziny obchodzi we wrześniu, a festiwal odbywa się przed wakacjami). Zdjęcia powstawały, gdy miała 16 lat. Udziwniła jednak i trudną aktorską rolę (nastolatki, która szukając rówieśniczej akceptacji, decyduje się zostać tzw. galerianką), i reakcje niektórych widzów, potrafiących obcesowo zaczepiać ją na ulicy. Już wtedy była silna. I skoncentrowana na zadaniach. Bo z obiektywem zdążyła się już oswoić – najpierw dzięki tacie, który realizował amatorskie ro-

dzinne nagrania, a potem na kolejnych planach, gdy to ona, z trójki rodzeństwa, połączyła filmowego bacyła.

Przed profesjonalną kamerą stanęła pierwszy raz jako siedmiolatka. Wspomina: – Statystowałam, grałam mniejsze role. W sumie dla zabawy, chociaż to, że chcę być aktorką, wiedziałam od zawsze. Po „Galeriankach” postanowiłam, że pasja stanie się zawodem i złożyłam papiery do Akademii Teatralnej.

Dziś ma na koncie udział w 13 kinowych filmach (w tym głośnym „Chce się żyć” Macieja Pieprzycy z 2013 r., gdzie partnerowała Dawidowi Ogrodnikowi, grającemu bohatera uwięzionego w bezwładnym ciele), i w ponad dziesięciu serialach. Poczynając od „Na Wspólnej” czy „M jak miłość”, przez „To nie koniec świata!” (w którym dała swojej bohaterce m.in. prywatną umiejętność jazdy na motocyklu), po główne role w „Na dobre i na złe” oraz najnowszym – „Za marzenia”.

SPOTKANIA ZE SOBĄ

W telewizyjnej Leśnej Górze jako dr Ola Pietrzak spędziła trzy lata (do 2018 r.), ale nie tylko z racji tamtych doświadczeń bardziej świadomie przeżywa obecną sytuację.

– Można powiedzieć, że wychowywałam się w szpitalu – mówi. – Moja mama jest pielęgniarką na oddziale zakaźnym w Mazowieckim Centrum Leczenia Chorób Płuc i Gruźlicy w Otwocku. Sporo wiem o służbie zdrowia. I dziś, gdy działa ona w tak niezwykle trudnych warunkach, jeśli nie możemy inaczej pomóc, słuchajmy jej zaleceń. Skoro proszą nas, byśmy siedzieli w domu, siedźmy w nim. Nie kuśmy losu.

Sama traktuje przymusową izolację jako moment wyciszenia, spotkania ze sobą, ale też szansę na odnajdywanie nowych pasji; sięganie do pięknych tytułów z przeszłości (filmowych czy lekturowych), których z racji wieku wcześniej nie poznała. Teraz jest na to dobry czas.

W przeszłości rozgrywa się też akcja produkcji TVP, na której premierę aktorka bardzo czeka. To „Ludzie i bogowie” w reż. Bodo Koxa.

– Zapowiada się najlepszy serial historyczny – uważa Karczmarczyk.

– Gram w nim Bronisławę, wdowę po pułkowniku Lenarcie i przyjaciółkę z młodości jednego z głównych bohaterów. Powstała piękna historia o przyjaźni, determinacji, podejmowaniu decyzji, które (mimo że niejednoznaczne moralnie) mogą uratować życie. Ludzkie losy zostały tu niezwykle ciekawie opisane, pięknie pokazane przez autora zdjęć Arkadiusza Tomiaka i z nerwem wyreżyserowane przez Bodo Koxa. Do tego dochodzą świetne kostiumy, niesamowita scenografia... Widziałam kilka nakręconych scen i – szczerze – byłam zachwycona. Każdy, kto brał w nim udział, wniósł w ten projekt sto procent, by udowodnić, że my też potrafimy robić piękne, historyczne kino.

DAŁAM RADĘ

Nim „Ludzie i bogowie” trafią na mały ekran, Annę Karczmarczyk możemy oglądać m.in. na kanale TVP HD, gdzie emitowany jest serial „Za marzenia”. A także przez dwa najbliższe sobotnie wieczory w telewizyjnej Dwójce, która na 25 kwietnia przygotowuje finał programu „Dance, Dance, Dance”. Będą powtórki najlepszych występów tej edycji, spotkania z uczestnikami w studiu, zostaną też otwarte esemesowe linie do głosowania, by widzowie mogli wybrać najlepszą parę. Zwycięzcy przeznaczą na charytatywny cel 100 tys. zł, finaliści, po 10 tys. zł.

Pytana o najmocniejsze wspomnienie związane z „Dance, Dance, Dance” aktorka przywołuje odcinek, który jako pierwszy pojawił się na antenie już w wersji podzielonej. W pierwszej jego części wykonali z Mateuszem Łąpką choreografię do teledysku Missy Elliott „Lose Control”, potem sama tańczyła do utworu Lady Gagi „Applause”. Choreografie były tak wymagające, że nabawiła się kontuzji. – Nie dość, że walczyłam z trudnościami obu układów tanecznych i ciężarem odpowiedzialności – wspomina – musiałam jeszcze zmierzyć się ze słabościami własnego ciała. Po nagraniu odcinka poczułam ogromną dumę z siebie. Że wyszło, że pokonałam w tamtym momencie ból, który towarzyszył mi w ciągu tygodnia przygotowań. Że dałam radę. Że się nie poddałam.



„Zero” - krzyk o empatię

Epidemia tworzy nowe reguły. Mnie np. zapędziła do Netfliksa, któremu długo się opierałem. I będę czasem pisał o serialach i filmach stamtąd. Ale tym razem jeszcze o programie „starej” telewizji.

TVP Kultura przypomniła film „Zero” Pawła Borowskiego z roku 2009. Widziałem ten film wtedy i byłem ciekaw, jak go odbiorę po latach. Ale też kojarzy mi się on z wymianą ciosów między Bronisławem Wildsteinem i „Gazetą Wyborczą”. Bronek zarzucił gazecie Michnika, że pewnych zjawisk kulturalnych nie zauważa. I jako przykład dał „Zero”. „Wyborcza” w śmiech, że przecież Borowski to niemal ich człowiek, więc nie byłoby powodu go pomijać.

Tymczasem jest problem filmów dobrych i ważnych, które nie zaistniały jako ważny punkt odniesienia w praktyce dla nikogo, ale przede wszystkim dla wytyczających mody i trendy mediów liberalnych. Przychodzą mi do głowy „Tam i z powrotem”, wielki film Wojciecha Wójcika o akowcach w głębokim PRL, czy „Fotograf”, świetny polsko-rosyjski horror Waldemara Krzystka z kontekstami historycznymi. Tu można się nawet doszukiwać jakichś powodów ideowo-towarzyskich. Ale pewnie i inne tytuły, choćby ledwie zauważony „Syn Królowej Śniegu” Roberta Wichrowskiego. Dlaczego? Czasem dlatego, że nie służą żadnej użytecznej tezie. Co nie znaczy, że większość filmów zauważonych i przetrwanych na to nie zasłużyła.

W przypadku „Zera” odnaleziono po latach recenzje zarzucały mu nadmierny chłód. I pokawałkowanie fabuły na zbyt wiele historii, co powoduje brak wyraźnego bohatera, na którym można się zatrzymać. Co jednak z filmami Roberta Altmana budującymi obraz z zachodzących na siebie kawałków? Epizodów przecinających się w perfekcyjnej mozaice. Co z „Magnolią” Wesa Andersona? Ba, z surrealistycznym „Widmem wolności” Luisa Buñuela. Wiem, że to wbrew nawykowi widza, gdy gubimy jednego bohatera, aby powędrować za innym, przypadkowo

spotkanym. Ale przecież i tak można opowiedzieć o świecie. Ba, to może dać wrażenie większej kompletności obrazu.

Tu mamy aż 24 minihistorie, bardzo zręcznie nanizane na siatkę przypadków. Z nich wyłania się współczesna Warszawa, pełna bólu, wzajemnego niezrozumienia, czasem świadomego, czasem bezwiednego okrucieństwa. Czy to jest wyprane z emocji? Dla mnie to był wielki krzyk o empatię, o wyrozumiałość, o bliskość. A przy okazji traumatyczne przypomnienie, że z wieloma ludźmi, których mijamy na ulicy, łączą nas przypadki, wspólni znajomi czy wspólne okoliczności.

Zdaniem niektórych recenzentów znani aktorzy mieli tu za mało materiału do grania. To dlaczego tak mocno pamiętam twarze: Roberta Więckiewicza jako pozornie wystudzonego prezesa firmy, Aleksandry Popławskiej jako jego „wiarolomnej” żony, Przemysława Bluszcza jako prawie szalonego alfonsa czy Cezarego Kosińskiego jako zdegenerowanego korpuladka („Sam śmieciu” mamrocze po zmasakrowaniu po pijanemu chłopaka, który mu ubliżył w ubikacji modnej



knajpy). Rewelacyjny jak zawsze okazał się Andrzej Mastalerz. Wielki aktorski orędownik racji i godności zwykłego człowieka, a nawet człowieczka.

Dopiero 10 lat później Borowski, bardziej malarz niż reżyser, nakręcił kolejny ważny film „Ja teraz kłamię”. Ale tę samą metodę opowiadania o świecie wybrał choćby Paweł Maślona w „Ataku paniki”.

I czekam na kolejne tego typu filmy. Bohaterów może być wielu. Prawda o człowieku – spójna, gdy opowiada ktoś wrażliwy.

Piotr Zaremba

Hit tygodnia

Telewizory Sony Full Array LED 8K ZH8



Premiera

Sony Europe przygotowało wiele nowych zaawansowanych telewizorów. W ofercie pojawi się seria Full Array LED 8K ZH8, telewizory OLED 4K A8 (55" i 65") i A9 (48") oraz dwie serie Full Array LED 4K: XH95 i XH90. Nowe telewizory nadal będą wyposażone w tryb Netflix Calibrated Mode, gwarantujący studyjną jakość przy oglądaniu seriali z serwisu Netflix. Największe wrażenie robią oczywiście modele z serii ZH8, które wyświetlają obraz w rozdzielczości 8K. Procesor obrazu X1 Ultimate i technologia 8K X-Reality PRO odpowiadają za wyostanie i optymalizację obrazu w czasie rzeczywistym oraz interpolację materiałów do jakości zbliżonej do 8K przy użyciu firmowej bazy danych 8K (pamiętajmy, że większość materiałów nie jest nadawana w tej jakości). Jeśli chodzi o sam telewizor, dwa ustawienia podstawy dają możliwość umieszczenia telewizora np. na niedużej szafce; nowy pilot z podświetleniem to wygoda przy oglądaniu w ciemniejszych pomieszczeniach.

Plusy i minusy

- + 8K, plus inne zaawansowane technologie od Sony
- paradoksalnie 8K, ze względu na małą obecnie liczbę materiałów przygotowanych do emisji w tej rozdzielczości, ale za jakiś czas – kto wie?



Słuchawki douszne Huawei FreeBuds 3

Huawei FreeBuds zaprezentował najnowsze słuchawki douszne FreeBuds 3 True Wireless Stereo. Słuchawki napędza autorski chipset Kirin A1, dzięki któremu użytkownicy mogą się cieszyć najwyższą jakością dźwięku oraz zaawansowaną redukcją hałasu zarówno w czasie wykonywania połączeń telefonicznych, jak i w czasie rzeczywistym. Etui, w którym umieszczone są słuchawki FreeBuds 3, pozwala na bezprzewodowe ładowanie – zarówno za pomocą bezprzewodowej ładowarki, jak i bezprzewodowe ładowanie zwrotne za pomocą smartfona. Czas pracy na jednym ładowaniu wynosi cztery godziny, a łącznie 20 godzin, jeśli są używane razem z etui ładującym. Konstrukcja słuchawek pozwala na skupianie i modulację dźwięku. Rozwiązanie to, w połączeniu z możliwością dość głębokiego umieszczenia słuchawek w uchu, zapewnia zauważalną poprawę jakości dźwięku. Huawei FreeBuds 3 wyróżniają się dodatkowo wąskim i smukłym krojem o zaokrąglonych krzywiznach i naturalnej otwartej konstrukcji. Dzięki temu są wygodne i stabilne trzymają się w uchu przez wiele godzin.

Cena: ok. 600 zł

Skagen Falster 3

Premiera

Skagen Falster 3 to nowy smartwatch duńskiego producenta. Charakteryzuje się klasycznym, by nie rzec, minimalistycznym designem. Zegarek ma wyświetlacz AMOLED (1,3 cala, 328 PPI), jest napędzany układem Snapdragon Wear 3100 i 1 GB RAM-u, pamięć masowa to 8 GB. Smartwatch działa do 24 godzin na jednym ładowaniu, system operacyjny to Wear OS.

Cena: 300 dolarów

Przygotował Paweł Gadaczek



Sprawdzony biznes w trudnym czasie

Pomimo panującej epidemii koronawirusa i ograniczeń nakładanych na branżę handlową zapotrzebowanie na produkty pierwszej potrzeby nie maleje. Małe sklepy, a co za tym idzie – mali przedsiębiorcy wychodzą z tej sytuacji obronną ręką. Pomimo ciężkiego czasu dla gospodarki powstają nowe biznesy, które tworzą miejsca pracy dla lokalnych społeczności

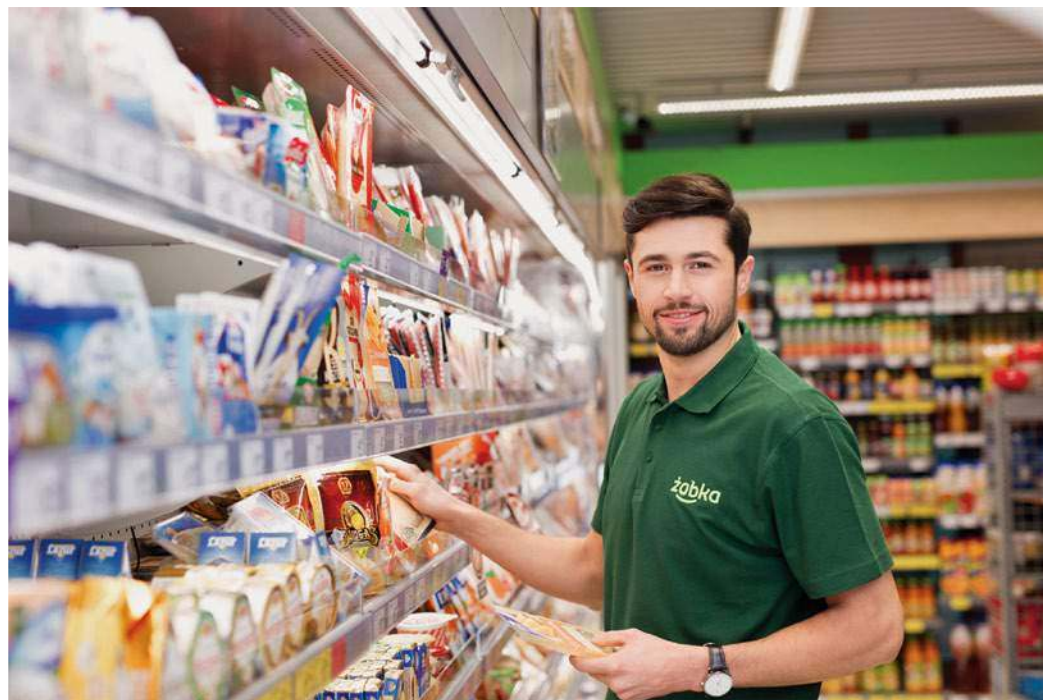
DOŚWIADCZONY I STABILNY PARTNER

Przedsiębiorcy Polacy, chcąc prowadzić własną działalność, często z uwagi na prawne i finansowe zobowiązania boją się podjąć decyzję o założeniu swojego biznesu. Szukają więc możliwości i sposobów na realizację swoich ambicji. Świetnym rozwiązaniem dla początkujących przedsiębiorców jest franczyza. Wpisała się ona w Polski krajobraz wiele lat temu i jej pozycja bezpiecznej i stabilnej współpracy ciągle się umacnia. Dobrym przykładem takiego systemu franczyzowego jest Żabka, której wieloletnie doświadczenie i ponad 6 tys.

placówek w całym kraju potwierdzają, że jest to sieć godna zaufania.

Wsparcie doświadczonego partnera w biznesie to jedna z największych zalet współpracy, jakie oferuje system franczyzowy. Do Żabki dołączyła ogromna liczba franczyzobiorców, którzy do tej pory otworzyli ponad 6 tys. sklepów. Od pierwszych dni nowej zawodowej współpracy czerpią garściami z wiedzy i umiejętności, których dostarcza im franczyzodawca, pozostając przy tym niezależnymi przedsiębiorcami. W aktualnej ofercie sieci dla nowych franczyzobiorców każdy z nich ma zagwarantowany dochód podstawowy w wysokości 16 tys. zł przez pierwsze

12 miesięcy działalności. Otrzymuje on od Żabki w pełni wyposażony i zatowarowany sklep, przy wkładzie własnym 5 tys. zł. Ten niewielki koszt pokrywa zakup kasy fiskalnej, towarów regionalnych oraz opłacenie koncesji. Wszystkimi formalnościami, takimi jak wynajmem lokalu, materiałami reklamowymi, wsparciem IT czy wspomnianym wcześniej zatowarowaniem, zajmuje się Żabka. W ramach podejmowanej współpracy przyszły franczyzobiorca zobowiązany jest podpisać umowę franczyzową, której jednym z elementów jest wymóg zabezpieczający obie strony relacji biznesowej. Warto bowiem pamiętać,



że w momencie rozpoczęcia współpracy z Żabką franczyzobiorca otrzymuje do dyspozycji w pełni zatowarowany sklep, którego wartość wynosi ponad 200 tys. zł. Co ważne, osoba, która podejmie współpracę z siecią Żabka, może w każdej chwili z niej zrezygnować, po podpisaniu umowy obie strony obowiązują bowiem 30-dniowy okres wypowiedzenia.

WSPARCIE W CZASIE EPIDEMII

Sieć od zawsze dba o swoich partnerów biznesowych. Również w trakcie epidemii koronawirusa franczyzobiorcy mogą liczyć na pomoc z jej

strony. Dostarczane za darmo środki dezynfekujące, rękawiczki, przyłbice i ochronne szyby z pleksi montowane przy kasach to jedno z wielu działań podejmowanych przez Żabkę w celu ochrony swoich pracowników i klientów. By zmniejszyć ryzyko przenoszenia się wirusa, zostały wprowadzone nowe procedury odbioru paczek, dzięki którym pracownicy i klienci nie muszą niczego podpisywać. Gorące napoje i przekąski dostępne w Żabka Cafe są obecnie sprzedawane jedynie na wynos. Wprowadzono również nowe zasady bezpieczeństwa dotyczące sposobu ich pakowania. Franczyzobiorcy otrzymali także w ramach rozliczeń subwencję finansową z myślą o przystosowaniu placówek do nowych, wynikających z zagrożenia koronawirusem, warunków.

Żabka dba również o bezpieczeństwo potencjalnych franczyzobiorców. Wprowadzone zostały nowe zasady rekrutacji, aby jeszcze bardziej dbać o nowych partnerów biznesowych.

– Aby zapewnić bezpieczeństwo naszym przedstawicielom oraz kandydatom na franczyzobiorców, wprowadziliśmy możliwość organizacji spotkań on-line, dzięki którym pierwsze rozmowy jesteśmy w stanie przeprowadzić w ramach wideokonferencji. Kadra re-

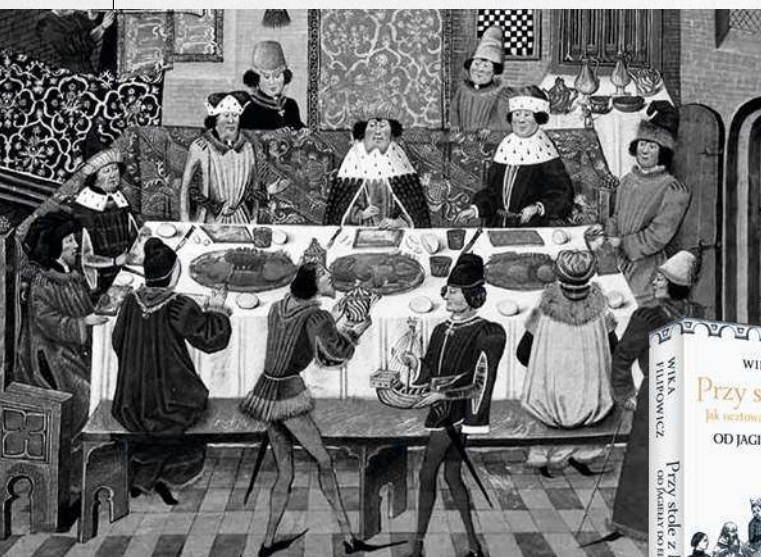
krutacyjna została wyposażona w środki ochrony osobistej, czyli rękawiczki i środki dezynfekcyjne. Umożliwiliśmy także kompletowanie przez kandydata dokumentów w wersji elektronicznej, a część szkolenia odbywa się dzięki platformie e-learningowej. Mamy również rozwiązanie umożliwiające odbycie krótszego szkolenia w sklepie – mówi Sebastian Bielawski, dyrektor Departamentu Rozwoju i Wsparcia Franczyzobiorców.

Z uwagi na ograniczenie funkcjonowania urzędów Żabka przygotowała prezentację, którą prowadzi kandydata przez ePUAP, umożliwiając tym samym kompletowanie dokumentów w wersji cyfrowej. Ważnym elementem procesu rekrutacyjnego są oczywiście szkolenia w sklepie, jednakże i one obecnie w dużej części odbywają się on-line. Kandydaci i kandydatki na franczyzobiorców przez sześć dni szkolą się zdalnie i sześć dni w sklepie.

Działalność pod znaną marką, gotowy pomysł na biznes, know-how i wsparcie to największe korzyści systemu franczyzowego Żabki. Niezależnie od trudnej sytuacji, w której się znajdujemy, jest to idealne rozwiązanie dla przedsiębiorczych osób, chcących rozpocząć swoją własną działalnością gospodarczą.

Przy stole z władcą

Jak jadła królewska para Jadwiga i Władysław Jagiełło



Gdy na ekranie TVP1 króluje „Korona królów” (nie za często zaglądająca do królewskich garnków i talerzy), ciekawych, jak wyglądało życie władców od strony kuchni, zainteresować powinna książka Wiki Filipowicz „Przy stole z królem... Od Jagielly do Elżbiety II” (wyd. Znak).

Można się z niej dowiedzieć m.in., że królowa Jadwiga lubiła piwo, natomiast Władysław Jagiełło miał do alkoholu awersję równie wielką jak do... jabłek. Natomiast uwielbiał gruszkę. Niestety ze względu na kształt owoce te uchodziły za przysmak kobiety, nie przystawały więc do wizerunku silnego władcy.

Książka Wiki Filipowicz to jednak nie tyle zbiór anegdot, ile potężna dawka informacji na temat historycznych kulinariów i związanych z nimi obyczajów. Jak wygląda narracja tego obszernego wydawnictwa, niech świadczy niewielki jego fragment.

„(...) Bankiety z okazji uroczystości dworskich czy wizyt znamienitych gości były dla królewskich kuchni prawdziwym wyzwaniem. Za stołami zasiadało nawet kilkakrotnie więcej osób niż zazwyczaj, a menu musiało być znacznie bardziej wykwintne i okazałe. Do urzędzenia jednej z uczt w 1388 r., wydanej przez Jagiełłę wspólnie z Jadwigą, potrzebne były m.in. dwa woły, dwa wieprze, cztery prosięta, cztery gęsi, 80 kurcząt, 280 jaj, 30 serów, masło, mleko, śmietana, raki, rzepa, ocet, anyż i biały chleb.

Innym razem, w sierpniu 1412 r. w Wiślicy na przyjęcie gości króla zakupiono: dwa barany, wołu, cztery kaczki, 200 jaj, 20 serów, dwa garnki masła, 80 litrów piwa. Bynajmniej nie były to najwystawniejsze z uczt (...).

Jagiello zazwyczaj zasiadał do posiłków razem z najwyższymi rangą członkami swojego dworu, który tworzyli Polacy oraz przybyli wraz z nim Litwini, a także Żmudzini, Rusini i Tatarzy. Dołączali do nich wizytujący goście z Polski, Litwy lub zagranicy, dyplomaci, posłowie, duchowni. Byli to wyłącznie mężczyźni – goszczenie dam przybyłych z jego gośćmi król pozostawiał swoim kolejnym żonom: Jadwidze, potem Annie Cylejskiej, Elżbiecie Granowskiej i Zofii Holszańskiej.

Ani on, ani żadna z kolejnych jego żon – w przeciwieństwie do pierwszej żony Jadwigi – nie mieli zwyczaju zapraszania do wspólnej konsumpcji znacznie szerszych krakowskich lub organizowania stołu dla ubogich.

Jeśli nie było postu, zwyczajem epoki królewskie towarzystwo gromadziło się w sali jadalnej dwukrotnie w ciągu dnia. Stoły były ustawione w podkowę, przy czym ten przeznaczony dla króla lub królowej znajdował się na podwyższeniu. Biesiadnicy siadali na krzesłach lub – ci mniej ważni – na ławach po zewnętrznej stronie podkowy, co ułatwiała obsługę i umożliwiało – jeśli były takowe przewidziane – przyglądanie się występom artystycznym (...).

Goście na końcach stołu nie tylko miewali gorszą zastawę i obrusy nie z białego, lecz z szarego płótna (stąd określenie: »szary koniec stołu«), ale dostawali również potrawy najmniej wyszukane i do tego obsłużeni byli jako ostatni. O ile najdostojniejsi raczyli się pieczonymi gęsiami z migdałami lub kapłonami z ryżem czy mianą, »szaracy« zadowalali się kurczakami i kaszą okraszoną skwarkami. Bywało też na bankietach z bardzo dużą liczbą gości, że ci z »szarego« końca stołu musieli korzystać we dwóch z jednego talerza lub kielicha, ale nikt nie robił z tego problemu, bo tak było w zwyczaju (...).

Nikt też nie miał za złe, że jedzenie stawiane przed nim na stole bywało zimne. Kuchnie bowiem lokowano zwykle w osobnych budynkach, by zminimalizować niebezpieczeństwo pożaru, więc służący dostarczający potrawy mieli do pokonania całkiem spory dystans. Często więc, mimo nakrycia półmisków i mis pokrywami, potrawy po drodze stygły. Przyprawy jednak i towarzyszący posiłkom alkohol usprawniały nieco trawienie zastygłego tłuszczu”.

Jolanta Gajda-Zadworna



SŁODKO-SŁONY

Lody z banana

ANNA MONICKA

WILCZYM OKIEM

Cystersi, karpie i chrzan

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mamo, to chyba najlepsze lody, jakie w życiu jadłam – oznajmiła moja córka, gdy zaaplikowałam jej po obiedzie (którego zresztą już nie mogła zjeść) deser. „Lepsze nawet od hagendasów”. Jej opinii nie można lekceważyć, bo jest w tej dziedzinie wybitnym ekspertem, który z niejednego pieca chleb jadł. Począwszy od ulubionego barku w Popowie o wdzięcznej nazwie Dolek, jako że znajduje się w sąsiedztwie ośrodka doskonalenia kadr służby więziennej, do którego przylega owinięte dokładnie drutem kolczastym „pudło”. Na Dolku przesiadują (przesiadawali) i deliberują o swoich minionych sukcesach wędkarskich, kobietach i polityce lokalni piwowosze, a moja córka zaopatruje się w landrynkowe świderki. Zawsze ją przestrzegam, żeby unikała lodów, których kolory nie występują w naturze, ale gdy przychodzi co do czego, ona działa jak w amoku. Najbardziej prestiżowe, a w każdym razie oblane bitą śmietaną i wyglądające jak topniejący lodowiec jadłyśmy bodaj w Cieszynie, w butikowej kawiarence z gorącą czekoladą i pralinkami. Zrobiliśmy tam sobie kiedyś mały walentynkowy wypad i moja latorośl – z tego, co pamiętam – odpadła przy lodzie właśnie, bo wcześniej wypila dwie filiżanki belgijskiej deserowej. Kończyłam go za nią z mieszanymi uczuciami, bo... był tak słodki, że niemal nie wyczuwałam smaku.

Od tamtej pory wciąż eksperymentuję z domowymi lodami, bo przynajmniej wiem, co w nich siedzi i że nie truję dziecka, które z tego deseru za nic nie zrezygnuje. I znalazłam wreszcie sposób na to, żeby był doskonały. Całą tajemnicą jest... banan.

Jego mączna konsystencja sprawia, że przypominają gęsty krem. A smak jest na tyle neutralny, że bardziej intensywne czy kwaskowate owoce z powodzeniem go przykryją. Można dodać serek homogenizowany i odrobinę miodu. Jedynym problemem jest urządzenie, w którym lody zostaną wymieszane. Musi to być solidny blender kielichowy z nożami, które siekają lód. My wprawdzie nie dorzucamy kostek, ale dwa opakowania mrożonych owoców musi pociąć i to szybko (mango, truskawek, wiśni, śliwek). Podsumujemy: trzy banany, mrożonka, miód i serek – to wszystko. Czas – 5 minut. Efekt – wyborny. Dobrze zmiksowana mieszanka przypomina bardzo gęsty lodowy mus. Można ją podawać w pucharkach z owocami, można jeszcze podmrozić i nakładać łyżką do wafelków. Deser jest tak sycący, że zastąpi w czasie upałów jeden posiłek.

Dawna tradycyjna uprawa roli i pasterstwo, a także drewniane budownictwo sprzyjały rozwojowi liczebnej populacji takich zwierząt, np. skowronek polny i dzierlatka, przepiórka, kuropatwa, drop, dziki chomik europejski, susel perelkowany i susel moregowany, zając – i wielu innych.

Z łatwością (i przyjemnością) wyobrażam sobie sielski widok wieczornej wonnej łąki, urozmaiconej lanami purpurowogłowego ostrożeńca, mgiełką kwiatostanów trawy drzączki średniej, nazywanej gdzieniedzie „lezkami Matki Boskiej” i słodko pachnącymi storczykami podkolanami białymi, z której o zmierzchu wśród pobekiwnia i brzęku dzwonek schodzą wełniste owce; nad nimi, polując na owady, polatują lelki kozodoje i nietoperze. Wszystkie te gatunki chętnie trzymały się człowieka i siedlisk, które wytworzył: wypasanych łąk, pól z miedziami, prześwietlonych lasów, drewnianych, krytych strzechą chat.

Niektóre rośliny i zwierzęta nie tylko czerpały korzyści z obecności ludzkiej i stawały się liczniejsze w swoim pierwotnym zasięgu, ale także rozprzestrzeniały się – czy też były rozprzestrzeniane – na nowe terytoria. Przenoszenie gatunków w nowe rejony świata, w których dotychczas nie występowały, często okazuje się pomysłem bardzo złym, kiedy gatunek staje się inwazyjny, a straty ponoszone przez przyrodę w ten sposób uważane są za jedne z najpoważniejszych. Trzeba to zdecydowanie podkreślić i unikać takiego działania, nawet przypadkowych zawleceń, za wszelką cenę.

Istnieje jednak grupa gatunków, które już wieki temu pojawiły się w naszym kraju i asymilowały się, nie wyrządzając szkód, tak dalece, że dziś zdziwienie budzi uświadomienie sobie, że nie są gatunkami rodzimymi. Są to np. karp, winniczek i chrzan.

Chociaż karp *Cyprinus carpio* jest uważany w kuchni za rybę tradycyjnie polską, pierwotny zasięg dzikich karp, zwanych sazanami, obejmuje m.in. zlewisko Morza Czarnego i tereny położone jeszcze dalej na wschód i południe. Przypuszcza się, że karpie do hodowli przywieźli do Polski cystersi, przybywając do naszego kraju około poł. XII w.

Wraz z cystersami przybyły do Polski także ślimaki winniczki *Helix pomatia*, trzymane w przyklasztornych ogrodach na dania postne, a także prawdopodobnie chrzan pospolity *Armoracia rusticana*.



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Nienawiść w czystej formie

Najokrutniejszy miesiąc – kwiecień. Wywołuje *Ziemi umarłej gałąź bzu*”

– pisał Thomas S. Eliot w poemacie „Ziemia jałowa” w części „Grzebanie umarłych”. Za nami 10 kwietnia. To już dziesiąty rok od chwili dramatycznego rządowego lotu do Katynia. Znamienne, że każdą z rocznic smoleńskich poprzedzały niepokojące, agresywne kampanie polityczne i medialne wobec tych, którzy chcieli o tej tragedii pamiętać. Cenzura smoleńska i polityczna poprawność powodowały, że o katastrofie można było mówić i pisać jedynie w tonie ogólnie akceptowanym.

Media głównego nurtu niemal od początku przekształciły się w stronę zaangażowaną, kreując działania osłonowe rządu Donalda Tuska. Ich podstawowe funkcje były fikcją. Choć ich pracę w wielu przypadkach można było uznać za pozornie informacyjną i pozornie objaśniającą rzeczywistość, to ich działalność polegała przede wszystkim na zarządzaniu uwagą odbiorcy i sterowaniem jego emocjami. Widać to było szczególnie, gdy w domenie publicznej po 10 kwietnia 2010 r. pojawiła się narracja o sekcje i religii smoleńskiej. Była ona szczególnie intensywnie prowadzona przez polskojęzyczne wysokokładowe koncerny zachodnie.

**INWEKTYWA,
ETYKIETA
I WROGIE HASŁO**

Pojęcie „religii smoleńskiej” przewijało się nieustannie jako rodzaj inwektywy, politycznej etykiety, pejoratywnego hasła wywoławczego. Było jednocześnie nazwą niejasną, niezdefiniowaną, szeroką i płynną. Praktycznie mieszcząc każdy zarzut pod adresem partii Prawo i Sprawiedliwość, jej zwolenników, jej szefa, a później też rządu Zjednoczonej Prawicy.

Początkowo wyłączność na terminy „religia smoleńska” i „seкта smoleńska” posiadał, co wielu zaskoczyło, prof. Norman Davies. To on był ich twórcą. Użył ich pierwszy raz w wywiadzie dla „Newsweeka” w sierpniu 2010 r., a więc niespełna cztery miesiące po katastrofie. Mówił: „PiS nie jest normalną opozycją, a sektą polityczną, posiadającą guru, misję i własnych świętych. To raczej ruch wywrotowy, który próbuje nie tyle polepszyć III RP, co ją zburzyć”. Tygodnik wybił na okładce: „PiS to sekta i ruch wywrotowy”.

Od tej chwili media springerowskie prowadziły stałą narrację o katastrofie smoleńskiej. O „religii smoleńskiej” Norman Davis na łamach „Newsweeka”

mówił też później. W styczniu 2016 r. objaśniał intencje i zamysły prezesa PiS: „[...] Kaczyński wkłada do głowy swoim wyznawcom własną wersję historii i oni w to wierzą”. Historyk tłumaczył, że w religii smoleńskiej: „Nie liczą się empiria, naukowe dowody, konkluzje polskich organów powołanych do badania przyczyny katastrofy. Liczą się ofiara, święci i ich kult”.

Wyznawcy „religii smoleńskiej” byli i wciąż są nazywani „sektą smoleńską”, „ludem pisowskim”, „pisowskimi rydwanami”, prowadzonymi pod wodzą mesjasza smoleńskiego. Jarosław Kaczyński przedstawiany był jako przywódca „kościół smoleńskiego” i „sekt smoleńskiej”. Jego najbliższe otoczenie zaś to był: pisowski rydwan, krąg marionetek, sług i cyngli pisowskich. „Pisowski lud” tworzyli zwolennicy partii i wyznawcy „pisowskiego kościoła”. W tekstach drążono w maniacki wręcz sposób opis stanów świadomości i podstępnych planów przywódcy PiS i jego zaufanego otoczenia.

Niektórych publicystów chorobliwie fascynowała, i ta gorączka nie minęła do dziś, postać przywódcy „kościół smoleńskiego”. Jeden z takich opisów stawiał pytanie: „Co jest w głowie Kaczyńskiego?”. W edytoriale tygodnika

pod tytułem „Niszczyciel” redaktor Tomasz Lis podkreślał, że w kraju zaczyna panować coś, co nazwał „kaczoracją”. Redaktor opisywał Jarosława Kaczyńskiego jako chorego na władzę człowieka niszczyciela. Znajdował w nim „rys sadystyczny pana i władcy”, który owładnięty misją degradowania Trybunału, pluje innym w twarz, burzy wszystko, czego nie lubi.

Ta retoryka trwa do dziś. Tomasz Wolek 3 kwietnia tego roku w stacji Tok FM w porannej audycji mówił: „Kaczyński to chory psychicznie człowiek. Nie waham się tego stwierdzić”. Jednak prowadzący audycję w żaden sposób nie zareagował.

ZAMACH JAKO GENEZA SEKTY

Szukając odpowiedzi na pytanie o genezę „kościół smoleńskiego”, dowiadujemy się, że „warunkiem jego powstania był zamach”, gdyż „bez zamachu dla prawicy Smoleńsk byłby niczym”. Dzięki mitowi zamachu Smoleńsk stał się wszystkim, szansą na rząd dusz. „Kościół smoleński” według „Newsweeka” „to ta konserwatywna część katolików, biskupów i księży, którzy powrót martyrologii uznali za szansę na skuteczną walkę z idącą z Brukseli sekularyzacją”. Te teksty na łamach „Newsweeka” miały ten dodatkowy wymiar – zapewne także dla niemieckiego wydawcy – że dziennikarz i pisarz je publikujący wcześniej należał do bliskiego kręgu zwolenników Jarosława Kaczyńskiego. W latach 1994–1996 pracował w redakcji publicystyki kulturalnej Programu 1 TVP SA, należąc do grona szefów kreujących nową formułę telewizji publicznej w okresie, gdy prezesem TVP był Wiesław Walendziak. Jak na ironię, jedna z ważnych publikacji Cezarego Michalskiego, wydana w 1997 r. pod tytułem „Powrót człowieka bez właściwości”, zawierała bezpośrednią rekomendację Jarosława Kaczyńskiego. „Od dawna żadna książka nie zrobiła na mnie większego wrażenia” – pisał prezes Prawa i Sprawiedliwości, zachęcając czytelnika do lektury.

MESJANIZM SMOLEŃSKI

Inny element narracji smoleńskiej upowszechniał pojęcie „mesjanizmu smoleńskiego”. Zbudowane miało być ono na fundamencie katastrofy lotniczej, a jego wyznawcą był tzw. pisowski lud. „Kaczyński rozumie potrzeby emocjonalne »pisowskiego ludu«” – objaśniali zwolennicy tych koncepcji i tłumaczyli, że rezygnacja z zamachowej teorii oznaczałaby koniec jego marzeń o władzy politycznej i rządzie dusz. W warstwie ikonicznej narracja smoleńska przedstawiała postać Jarosława Kaczyńskiego na sposób prześmiewczy i szyderczy. Nie zabrakło jego portretu w koronie jako

Media głównego nurtu niemal od początku przekształciły się w stronę zaangażowaną, kreując działania osłonowe rządu Donalda Tuska. Ich podstawowe funkcje były fikcją.

„króla smoleńskiego”, aspirującego do roli głowy państwa. Publikowany na okładce „Newsweeka” ten sam wizerunek w koronie miał rysy demoniczne, a z jego uszu wystawały strzępy wilczej sierści.

Siłą przywódcy „kościół smoleńskiego” mieli być jego ludzie. Nazywano ich bezwstydnikami, slugusami, wariatami, marionetkami. Jednym z takich „wariatów” był minister Antoni Macierewicz, czołowa postać tzw. rydwanu smoleńskiego. Miał on m.in. „generować oskarżenia, jazgot i brednie PiS”. Przyczyniał się do tego, by wydobywać „paroksyzmy smoleńskiego amoku, eskcesy parciańskiej propagandy, erupcje buraczanego narodowo-patriotycznego patosu”, tak by zrealizować „to, co prezes lubi najbardziej – zemstę i wychowanie narodu w duchu patriotycznym”. To tylko ułamek obowiązującej wów-

czas, ale także dziś, ogólnej stylistyki prasy zachodnich wydawców w Polsce i kręgów obecnej opozycji.

KOLEJNE STADIA OPowieści

Sekta smoleńska, jak każda inna, powinna mieć swoje ofiary. Tak było i w tym przypadku. Były nimi, jak się dowiadujemy, przede wszystkim jej wyznawcy. A kiedy PiS stworzyło rząd, ofiarą sekty padł cały kraj. Wszyscy obywatele, ojczyzna, system polityczny, demokracja, Trybunał Konstytucyjny, porządek prawny, praworządność, były rząd i cała obecna opozycja. Kraj i jego mieszkańcy – jako ofiary smoleńskiego guru – znajdować się dziś mają na skraju umysłowej zapaści. Wędrują w stronę totalitaryzmu, orbanizmu, autorytaryzmu, faszyzmu.

Z licznych artykułów, wywiadów i edytoriałów m.in. redaktora naczelnego „Newsweeka” można przeczytać o „parkosyzmach smoleńskiego amoku”; o Polakach, którzy zwariowali, o „smoleńskim paliwie” i „Polakach w nastroju narodowo-ekspansyjnym”, o „odstrzelonych za Smoleńsk” i „zamachu posmoleńskim”. Zamach miał organizować, rzecz jasna, Jarosław Kaczyński.

Od czasu katastrofy smoleńskiej dominujące media opisują przywódcę „kościół smoleńskiego” jako polityka ogarniętego furii i kompleksami; istotę wręcz demoniczną, niepoczytalną, psychopatyczną. Dyskurs „kościół smoleńskiego” powielany przez liczne media i środowisko intelektualistów oraz ludzi kultury, utożsamiających się z obecnym obozem opozycji, podsycał i wciąż podsyca w kręgach szerokiej opinii publicznej strach i nieufność. Prowadząc ostatecznie w stronę buntu i niezgody wobec obecnej władzy i jej polityków. Mowa jest nawet o zdradzie.

Ta nienawistna narracja, generowana przynajmniej od dekady, wciąż trwa. Opowieść o sekcie smoleńskiej przechodzi kolejne stadia. A zachodni wydawcy umacniają w III RP swoją pozycję, podważają nakłady, budują nowe rozgłośnie i portale. Są po prostu u siebie. 

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Plaga

Wydawaloby się, że czas zarazy, zagrożenia życia, gdy każdy dzień jest pełen niepewności, strachu, odmieni ludzi i nawet ci najbardziej zajadli, przepełnieni złością, nienawiścią, zatrzymają się na chwilę, zamyślą i spróbują szczerze odpowiedzieć na zasadnicze pytanie – czy mnie wolno tak postępować i w imię czego wolno – które tak często w swoich encyklikach i homiliach stawiał Jan Paweł II. Powraca tu fragment z Ewangelii (Łk 16,19-31), w którym Jezus odpowiada bogaczowi: „Jeśli Mojżesza i Proroków nie słuchają, to choćby ktoś z umarłych powstał, nie uwierzą”.

Dzisiaj świat ludzi zadufanych, cynicznych, żyjących jakby Boga nie było, zaczął drżeć w posadach, ale nie potrafi się zmienić. Za daleko zabrnął we własne kłamstwa, układy, fikcje, przekonanie o swojej racji, nieomyślności. Widzimy to, patrząc na zachowanie niektórych polityków, celebrytów, osób publicznych, którzy powinni być wzorami, autorytetami dla całego społeczeństwa. Ostatnio próbowałam porozmawiać na ten temat ze znajomą dziennikarką, ale ona nie podjęła tematu. Powiedziała krótko: „Każdy ma swoje cierpienie, ale jest cierpienie, które trudno wyrazić słowami. Codzienny ból serca, strach i bezradność. Mój mąż jest alkoholikiem”. Patrzyłam na nią w milczeniu, tą jedną krótką wypowiedzią uświadomiła mi, że można mieć siłę do walki z najgorszym wirusem, biedą, ciężkim życiem tylko wtedy, gdy rodzina, dom, najbliżsi żyją na podstawie zdrowych zasad, gdy mogą na sobie wzajemnie polegać i sobie ufać.

Alkoholizm to straszna plaga. W tym roku wskaźniki dla Polski są przerażające. Praktycznie nie ma rodziny, która nie byłaby w jakiś sposób dotknięta tym problemem. Matka, żona, dzieci, wszyscy cierpią, mają zniszczone życie, często już nawet modlić się nie potrafią, wszystko zostało zatracone. Ukrywają swoje cierpienie przed bliskimi w rodzinie, przed sąsiadami, wstydzą się. Żyją z dnia na dzień w niepewności, drżąc, co jeszcze straszniejszego może wymyślić mąż czy ojciec alkoholik.

Wśród uzależnionych, stoczonych na dno, nie brakuje ludzi wykształconych różnych zawodów, niegdyś pełniących wysokie stanowiska, dyrektorów, prezesów. W dobrobycie zapomnieli o człowieczeństwie, o zasadach, wszystko stało się dozwolone. „Spotkania, kolacje służbowe, wielkie interesy, duże pieniądze, pozorny blichtr, rozpusta, zdrady, a na wszystko jedynym ukojeniem, a w zasadzie, uspieniem mózgu, stawał się alkohol” – napisał jeden z anonimowych alkoholików. „Piłem, wsiadałem do samochodu, nie było dla mnie żadnych barier. Złapali, zabrali prawo jazdy, wykupiłem się, stać mnie było, zapłaciłem tyle, ile kosztował mnie samochód”.

Czytając takie relacje, trzeba pamiętać, że za tymi słowami kryją się niewyobrażalne tragedie. Szczególnie cier-



**Alina
Czerniakowska**

pią dzieci, dorastają w tym domowym piekle i już nigdy nie mogą się z tego podźwignąć, to zostaje w ich psychice. Strach przed każdą życiową decyzją, wstyd, że dowiedzą się koleddy w szkole, na studiach, poczucie niższości i nieufność na całe życie wobec wszystkich spotkanych ludzi. Matki takich dzieci, a żony alkoholików, walczą do końca, za każdym razem, gdy trzeźwieje ich mąż, wierzą, że to ich straszne życie już minęło, już się nie powtórzy, przecież przysięga, obiecuje, przecież on kocha. W tej toksycznej miłości ufają, że mogą pomóc swojemu ukochanemu mężowi.

W zasadzie to samo można przeczytać we wszystkich zwierzeniach żon alkoholików. Takie gehenny trwają nieraz całe życie. Tragedie zamknięte w czterech ścianach wychodzą na jaw, gdy nieleczony alkoholizm zamienia się w znęcanie fizyczne nad rodziną, bijatyki, awantury, nawet zabójstwa. Często pomoc nie nadchodzi znikąd, bo rodzina alkoholika nie chce przyjąć do wiadomości, że ich bliski stał się potworem.

„Szeptalam ustawicznie wszystkie znane mi modlitwy, przytulałam synka, aby nie wydał głosu, siedzieliśmy za drzwiami szafy, a on szalał z nożem w rękę po całym domu” – pisze Maryla Ścibor-Marchocka we wstrząsającej książce autobiograficznej. Wykształcona, utalentowana osoba – poetka, dziennikarka, jak sama dodaje, że była też ogrodnikiem, zdunem, fotografem – matka trójki dzieci odważyła się odkryć prawdę o swoim życiu. Napisała wstrząsającą książkę „Taniec z gronostajem” ku przestrodze innych kobiet, „by nie trwały w takich zaczadzonych związkach, ale natychmiast podejmowały radykalne kroki, dla ratowania siebie i dzieci”.

Problem alkoholizmu może się teraz wydawać nieważny, marginalny, ale przecież to też epidemia pochłaniająca i niszcząca całe rodziny. Nasze polskie statystyki są przerażające, blisko połowa młodocianych sięga po alkohol i nie są to tylko sporadyczne przypadki.

Prymas Tysiąclecia, kardynał Stefan Wyszyński, powtórzył: „Polska będzie trzeźwa albo wcale Polski nie będzie”. To jest ważne zadanie dla naszego rządu. Musi istnieć obowiązek pracy, trzeba od ludzi wymagać, od alkoholików też. Już dawno czytałam, jak rozwiązuje ten problem premier Węgier Viktor Orbán – resocjalizacja poprzez pracę wydaje się słusznym kierunkiem, pożytecznym dla obydwu stron. Nie wolno przyzwalać na zasadę „róbta co chceta”, i w ten sposób narażać na zniszczenie całych rodzin oraz przyszłych pokoleń. O tym wielokrotnie mówił Jan Paweł II, wskazywał na „wolność, która znieprawia i zniewala, zagraża ludzkości”.

*Autorka jest reżyserem filmowym,
scenarzystką i dziennikarką*

Reset

Musi być wojna!” – tak reagowała moja śp. babcia na przejawy ekstremalnej głupoty czy wyuzdania. Mnie – wyluzowanego i tolerancyjnego studenciaka – zdumiewało tak kategoryczne stwierdzenie w ustach osoby, która bądź co bądź przeżyła dwie światowe hekatombie. Przecież ci „najarani” hipisi byli tacy sympatyczni, a minispódniczki – jak najbardziej OK.

Gdy już sam zostałem dziadkiem, zderzyłem się z nienacką z toksyczną ideologią gender i sekundującym jej totalnym zaprzaństwem (zdradą wypisaną na sztandarach!). I nagle zatęskniłem do tego bezpiecznego i normalnego świata mego dzieciństwa. Do tamtych biednych, lecz poukładanych czasów, w których życie nie rozpieszczało ani nas, ani tym bardziej naszych rodziców czy dziadków. A mimo to byliśmy chyba szczęśliwsi, mieliśmy dla siebie więcej czasu, a życie toczyło się jakoś tak... wspólnie. Narodziny, chrzty, pierwsze komunie, imieniny, urodziny, wesela i pogrzeby gromadziły w domach całą rodzinę i przy-



**Lech
Makowiecki**

jaciół. Lubiliśmy się i wspieraliśmy w potrzebie, razem przeżywaliśmy radości i smutki.

Gdy w latach 80. poznałem nowojorskiego guru – „lekarza ludzkich dusz” z doktorskim tytułem – zupełnie nie mogłem pojąć, na czym polega jego praca! A on nie mógł zrozumieć, że gdy jakiś Polak ma problem, to nie idzie z nim na kozetkę do zupełnie obcego mu psychoanalityka, tylko wypłacie się komuś z rodziny, poradzi swych przyjaciół albo odnajdzie pociechę w kościele. I że to działa! W dodatku zupełnie za darmo.

PS Utrata pracy dla mężczyzny mającego na utrzymaniu rodzinę to według opinii ekspertów stres porównywalny ze śmiercią najbliższej osoby. Dziś, gdy niewidoczny wirus niszczy podstawy naszego bytu, wielu ludzi nie ma żadnych oszczędności, a części Polaków grozi widmo bankructwa – nawet milion lajków na FB nie wybawi nas z opresji! Tu potrzebne jest wsparcie w realu. Nasi przodkowie mieli znacznie trudniej od nas. I jednocześnie dużo łatwiej.

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl



JAN POSPIESZAŃSKI

Opustoszałe, a może... spustoszone kościoły

Sytuacja jest kuriozalna – oto ważny pasterz polskiego Kościoła wypowiada się tak, jakby domagał się od władz, by te nie łagodziły rygorów wymierzonych w katolików

Wielu przede mną zwracało już uwagę na asymetrię zarządzeń sanitarnych obowiązujących w miejscach kultu – w kościołach i kaplicach, w porównaniu z innymi miejscami, gdzie grupują się ludzie (np. środkach komunikacji czy sklepach). Restrykcyjne zarządzania dopuszczające uczestnictwo tylko pięciu osób, nawet w dużych, przestronnych świątyniach, gdzie zwykle mieści się ponad tysiącna rzesza wiernych, wydają się nieprzemyślane i nieproporcjonalnie rygorystyczne. Rodzi to u niektórych księży i wiernych naturalny odruch buntu, więc niekiedy zamiast podporządkowania się przesadnej sanitarnej dyscyplinie decydują się łamać zakaz i sprawować liturgię w większych grupach. To, jak słyszymy, wykorzystywane jest przez osobników, których niestety nie brakuje – nazwałbym ich „higieniczne ORMÓ”, składające się z nadaktywnych osobistych wrogów Pana Boga, którzy tropią takie przypadki i donoszą na proboszczów do policji.

Nie wiem, czy w ogóle, a jeżeli tak, to z kim w episkopacie konsultowany był kształt rozporządzeń. Można jednak odnieść wrażenie, że niektórym hierarchom bardziej niż władzom resortu zdrowia zależy, by podkręcać rygory. „Jeżeli słyszymy to, co dzieje się dziś, że jest już ponad 4 tys. osób zakazanych i do 100 zbliża się liczba ofiar, to oczekuję, że w tym tygodniu minister

Szumowski powie, że przedłuży czas restrykcji i taka sytuacja się nie wydarzy” – zakomunikował dziennikarce prymas Polski abp Wojciech Polak w Radiu Zet.

Według wcześniejszych zapowiedzi, wierni mogli się spodziewać, że od 12 kwietnia w mszach św. będzie mogło uczestniczyć 50 osób wraz z kapłanem i asystą. Tymczasem prymas Polak stwierdził, że te rozporządzenia nie były konsultowane z episkopatem. Całą wypowiedź jego można odczytać jako nacisk, aby pozostawić obowiązujące obecnie restrykcje – czyli maksimum pięć osób na mszy. Ksiądz prymas, jak przypuszczam, zdaje sobie sprawę, że tak rygorystyczne ograniczenie w praktyce skutkuje tym, że wielu proboszczów i przełożonych klasztorów uznało, iż lepiej zamknąć kościół, niż liczyć, pilnować, a potem wypraszać wiernych. Sytuacja jest kuriozalna – oto ważny pasterz polskiego Kościoła wypowiada się tak, jakby domagał się od władz, by te nie łagodziły rygorów wymierzonych w katolików. Restrykcji, zdaniem wielu kapłanów i wiernych, zupełnie nielogicznych.

Obchody świętego Triduum Paschalnego w opustoszałych kościołach stawiają przed nami dodatkowe pytania. Czy myśmy już wcześniej, sami, stopniowo nie opuszczali (nie spustoszyli) tych świątyń? Czy zawsze z należytą troską traktowaliśmy wielką tajemnicę wiary – sakrament Eucharystii? Ile w nas, wiernych, ale też niestety wśród

kapłanów, jest niechlujstwa w traktowaniu Najświętszego Sakramentu.

Znam kościoły, gdzie jest codzienna adoracja. Co dzień o godz. 15.00 kapłan dokonuje wystawienia Najświętszego Sakramentu – odmawia, owszem, z kilkoma obecnymi Koronkę do miłosierdzia Bożego, a następnie czmycha z kaplicy. Przyznam ze smutkiem, że przez kilka lat w parafii, gdzie jest sześć kapłanów, tylko raz widziałem wikarego, który przyszedł ot tak, po prostu, by adorować Pana Jezusa wystawionego w monstrancji. Pewien znajomy ksiądz zwrócił uwagę na paradoks. – W obszernej plebanii dziś częściej można napotkać siłownię lub komfortową salę rekreacji niż małą kaplicę, gdzie księża mogliby przyjść na osobistą adorację.

Ojciec Pio nazywał Eucharystię „prerażającą tajemnicą”. Z głębokim skupieniem celebrował każdą mszę, często trwającą kilka godzin. Jedną z jego wypowiedzi brzmi dziś niezwykle poruszająco: „W tych tak smutnych czasach śmierci wiary, triumfującej bezbożności, najbezpieczniejszym środkiem uchronienia się przed tą zarazą, która nas otacza, jest wzmacnianie się pokarmem eucharystycznym. Rzeczą oczywistą jest, że nie może się nim wzmocnić ten, kto miesiącami nie karmi się ciałem nieskalanego Baranka Bożego”. Ojciec Pio miał pewnie na myśli zarazę bezbożności – dziś możemy odczytywać to także dosłownie.

Michał Korsun prezentuje: **Wujek dobra rada**



Wycinki z przeszłości

Straszną historię przytaczał „Tygodnik Ilustrowany Narodowy” z 27 kwietnia 1913 r.:

„Doniosły telegramy, że we Frankfurcie nad Menem aresztowano pod zarzutem żonobójstwa fechmistrza Hopfa. Podejrzenia zostały przez kroki śledcze dowiedzione. Nie należy już wątpić, że Hopf otrul trzy swe żony dla tego, by uzyskać sumy, na jakie one były ubezpieczone. Potwór ten w ludzkiej postaci używał do dopięcia swego zbrodniczego celu bakcyli tyfusowych. Zabił w ten sposób także swoje dziecko, które miał z pierwszą żoną.

W czasie rewizji znaleziono w mieszkaniu mordercy kompletne labolatoryum, a w niem różne instrumenty, służące zwykle do pracy aptekarzom i chemikom. W piwnicy wykryto nadto siedem metalowych puszek z bakcyliami cholery i tyfusu. Poszlaki, że Hopf pozbawiał żony życia przez szczepienie im bakcyli, zapewniły się w pewność.

W ubiegłym roku poślubił obecną swą żonę, czwartą, którą w dwa miesiące po ślubie usiłował otruć. Zamach się jednak nie udał. Aresztowany zeznał w śledztwie, że chciał żonę zabić dla wzięcia po niej sumy asekuracyjnej.

Morderczy proceder był tym łatwiejszy, że Hopf z wykształcenia był aptekarzem.”

Na ilustracji obrazek z tego samego pisma – na szczęście bez związku z przypadkiem mordercy Hopfa.

(mk)



Na czas kwarantanny, lektury do przypomnienia



Leszek Długosz

Juliusz Słowacki 1809–1849

Rozłączenie

*Rozłączeni – lecz jedno o drugim pamięta;
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta;*

*Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje, i skrzą siną błyska.
A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom – i drzewa ogrodu, i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.
Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić światem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwałić i położyć
Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem.*

*Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosom deszczu skalom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem. (...)*

*Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze,
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą – smutno i blade – lecz zawsze...
A ty – wiecznie zagasłaś nad biednym tulaczem;
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilknijemy na chwilę i znów się wołamy
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
w SIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania w SIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań w SIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZA

Kara za bezbożność!

Sam niżej podpisany uważa, że historyczna i społeczna rola religii – zwłaszcza religii chrześcijańskiej – jest w sumie nie tylko wielka, lecz i pozytywna. Nawet jeśli Boga by nie było

Rzecz jasna chodzi o koronawstrząs, którego ludzkość właśnie doświadcza. Twierdę, że ten wstrząs to kara za ludzką bezbożność. W dodatku twierdę to jako badacz socjolog, który nie jest osobą religijną.

PRZYPUSĆMY, ŻE GO NIE MA

Zalóżmy na chwilę, że Boga nie ma. Kompletnie – jak głoszą gorliwi ateści – nie ma. Wcale, ale to wcale. Taki eksperyment myślowy. Naukowcy uwielbiają takie eksperymenty.

To, że Boga nie ma, nie musi się kłócić z faktem polegającym na tym, że religie istnieją. Chociaż co do Boga można mieć wątpliwości, to względem religii nie. Religie są na pewno. Istnieją zorganizowane systemy ludzkiej wiary w *inną* rzeczywistość, w *drugą przestrzeń*, jak pisał Czesław Miłosz.

W odróżnieniu od Boga religie są kwestią wiedzy, a nie wiary. Ateści powiedzą, że religie to ludzki wytwór, gdyż w dziejach różne ludy wymyślały sobie swoich bogów.

PRAKTYCZNOŚĆ RELIGII

Wierzenia religijne mają swoje liczne wymiary praktycznie uchwytne: możemy je badać, mierzyć, opisywać w ramach psychologii, socjologii, ekonomii, neuronauki itd. Prowadzone są badania tego, jak ludzie nabywają wiarę, jak ją tracą, jaką rolę odgrywa wiara w ich psychice. Oraz badania społecznych funkcji pełnionych przez różne religie.

Badacze religii zbudowali sporo, w części poważnie wyglądających, wyjaśnień przemian religii, wyjaśnień wskazujących na konkretne ziemskie źródła wierzeń. Analizując społeczne funkcje religii, uczeni różnią się w swoich ocenach. Jedni uważają, że dzięki religii społeczeństwa są moralnie zdrowsze. Inni twierdzą, że religie oślepiają, jakoby zastępując zdolność do racjonalnej analizy problemów przesądami.

Sam niżej podpisany uważa, że historyczna i społeczna rola religii – zwłaszcza religii chrześcijańskiej – jest w sumie nie tylko wielka, lecz i pozytywna. Nawet jeśli Boga by nie było.

BEZBOŻNOŚĆ BEZ BOGA?

A jeśli Boga nie ma, to czy pojęcie „bezbożność” ma rację bytu? Ma. Właśnie ze względu na owe społeczne funkcje religii. Bezbożność, mówiąc najprościej, to brak religijności. Często także brak szacunku dla tych, którzy odczuwają bojaźń Bożą. Bezbożność to brak świadomości tego, że jesteśmy nader skromną drobiną w oceanie istnienia i mimo wszelkich osiągnięć nauki i techniki nadal bardzo niewiele z tego wszystkiego rozumiemy.

PRZESTROGA, A MOŻE I KARA

Teologicznie rzecz biorąc, można rozwinąć rozmaite argumenty na rzecz tezy, że obecna pandemia i jej skutki (zapaść gospodarki, ludzkie dramaty, możliwe konflikty wojenne) to oznaka Bożego gniewu. Że na naszych oczach Bóg wysyła poważne ostrzeżenie. Jeśli dobrze rozumiem, to taki kierunek myślenia w poprzednim numerze

tygodnika „Sieci” szkicuje Grzegorz Górny. Jako socjolog nie mam tu nic do dodania.

Ale w tym samym numerze są też dwie inne ważne wypowiedzi, które można i chyba należy odczytywać nie teologicznie, ale socjologicznie lub psychologicznie. Mam na myśli rozmowę red. Mai Narbutt z filozofem prof. Jackiem Hołówką oraz felieton pisarza Bronisława Wildsteina „O pokorze”. Sposób myślenia tam przedstawiony widzę tak: bezbożność – choć sam ten termin u żadnego ze wspomnianych myślicieli się nie pojawia – prowadzi do nierealistycznego, niebezpiecznego utopijnego stosunku do świata. Do wiary w ludzką wszechmoc i wolność bez granic.

RACJONALNOŚĆ POBOŻNOŚCI

Tymczasem realistyczny, a zatem racjonalny stosunek do świata musi polegać na uświadomieniu sobie tego, jak słabi, jak ułomni, niedojrzali jesteśmy w obliczu tego, co istnieje. Racjonalny stosunek wobec rzeczywistości uzyskujemy wtedy, gdy poważnie (co nie znaczy bezkrytycznie) traktujemy wielowiekowe tradycje ludzkości skodyfikowane przez największe religie.

To brak takiego realizmu przyczynił się do tego, że cywilizację globalną nieopatrnie rozpędziliśmy tak bardzo, że właśnie wypadła z szyn. Bezbożność – rozumiana choćby tylko socjologicznie – okazała się po prostu nieracjonalna! Przez to niebezpieczna.

Któż miałby karać za bezbożność w świecie bez Boga?! Tym razem natura.

Za co karze? Za iluzję wszechmocy. Za pychę. Za brak pokory.

Andrzej Zybertowicz

CZAS PATRIOTÓW



„Kupowanie polskich produktów
to najprostszy sposób
na wsparcie polskiej gospodarki

– premier Mateusz Morawiecki

**Sprawdź, jak zostać
konsumentem patriotą**

Więcej o akcji:

wGospodarcie.pl



O patriotyzmie gospodarczym czytaj
też w **Gazecie Bankowej** – najstarszym
magazynie ekonomicznym w Polsce

**Korzystaj z e-wydania Gazety Bankowej
na iOS i Android. Szczegóły:**

gb.pl/e-wydanie-gb



W TYM ROKU
ZOSTAJEMY W DOMU.
WIDZIMY SIĘ
W TOKIO ZA ROK!

TY TEŻ
#ZOSTAŃWDOMU

#JESTEŚMYJEDNĄDRUŻYNĄ

#TEAMPOLSKA

PIOTR MAŁACHOWSKI

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej Tokio 2020



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik



Partnerzy
PKOl



Partnerzy Medialni
PKOl



Partner Młodzieżowej
Reprezentacji